

**Jayne Ann Krentz**

**Bransoletka**

# ROZDZIAŁ 1

A.C. Ryerson jechał powoli i ostrożnie. Nie chciał wylądować w rowie. Wyteżał wzrok, usiłując dostrzec cokolwiek przed maską samochodu. Zaklął cicho. Droga była wąska, kręta i prawie niewidoczna w strugach ulewy, która zalewała przednią szybę.

Ogień na kominku, trochę muzyki i szklaneczka szkockiej whisky. Oto, czego teraz potrzebował. Co więcej, miał do tego pełne prawo. Deborah Middlebrook porzuciła go w przeddzień upojnego weekendu. W takiej sytuacji każdy mężczyzna wpadłby w czarną rozpacz. Zasługiwał na odrobinę względów, skoro miał spędzić ten wieczór samotnie.

Srebrzysty mercedes w żółwym tempie pokonał kolejny ostry zakręt. Ryerson znów zaklął, tym razem na widok potężnej dziury w jezdni, którą z trudem udało mu się ominąć. Zamiast raczyć się szkocką i słuchać Mozarta, tłukł się wiejską drogą w czasie szalejącej burzy. Wspaniały początek maja, nie ma co. O tej porze roku powinny już kwitnąć kwiaty i śpiewać ptaki.

Nie dość, że pogoda przypominała raczej listopad, to znalezienie adresu okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Na tej wysepce nikt najwyraźniej nie potrzebował tabliczek z nazwami ulic. Krążył bezskutecznie już od godziny. Będzie miał szczęście, jeśli w drodze powrotnej zdąży złapać ostatni wieczorny prom do Seattle.

A na dodatek sam był sobie winien. Po przeczytaniu kartki od Debby miał ochotę podskoczyć z radości. To wtedy popełnił pierwszy błąd. Nie wykorzystał sprzyjających okoliczności, choć mógł wycofać się od razu. Niestety, rodzice Debby dowiedzieli się, że ich córka zniknęła i wpadli w panikę. Obawiali się, że nieudany romans może ją skłonić do popełnienia jakiegoś lekkomyślnego czynu.

Ryerson usiłował zapewnić Middlebrooków, że Debby jest osobą zrównoważoną, ale nie udało mu się ich przekonać. Próbował delikatnie wytłumaczyć, że ich najmłodsza córka i on wcale nie byli w sobie szaleńczo zakochani. Starsi państwo zignorowali również i to wyjaśnienie.

Teraz wiedział, że użył zbyt subtelnych argumentów. Ale nie było łatwo powiedzieć takim miłym i staroświeckim ludziom, że nie sypiał z ich córką. Bóg raczy wiedzieć, co ściągnąłby sobie na głowę, gdyby tylko poruszył ten drażliwy temat.

Ryersonowi było żal Johna i Leony Middlebrooków. Tak bardzo się o nią martwili. Ochoczo zaproponował więc, że odnajdzie Debby i upewni się, że z nią wszystko w porządku.

I to był właśnie drugi błąd. Oboje natychmiast przystali na propozycję Ryersona. Patrzyli na niego z wdzięcznością. Zbyt późno zauważył, że w ich oczach było jeszcze coś. Nadzieja. Wiedział, że Middlebrookowie liczyli na to, że jego romans z Debby zakończy się ślubem. Nie mógł ich za to winić. Początkowo on również brał pod uwagę takie zakończenie. Ślub wydawał mu się całkiem logicznym rozwiązaniem. Na szczęście w porę się opamiętał, a dzisiejsza wyprawa była jedynie ceną, którą musiał zapłacić. W życiu nie ma przecież nic za darmo.

Rodzice Debby sądzili, że mogła się ukryć tylko u swojej starszej siostry. Telefon w jej domu nie odpowiadał, ale to, oczywiście, o niczym nie świadczyło. Middlebrookowie przypuszczali, że zrozpaczona dziewczyna po prostu nie podnosiła słuchawki. A siostra podobno gdzieś wyjechała.

Nie miał wyboru. Musiał pojechać promem na wyspę w pobliżu Seattle, znaleźć Debby oraz udowodnić światu, że jest cała, zdrowa i wcale nie cierpi z powodu złamanego serca.

Ani myślał od nowa wplątywać się w romans z Debby. Była urocza i atrakcyjna, ale doprowadzała go do szału. Szybko doszedł do wniosku, że oboje są ulepieni z zupełnie innej gliny.

W świetle reflektorów zauważył mały, przekrzywiony drogowskaz. Ryerson zapamiętał tę nazwę. John zaznaczył na odręcznym szkicu, żeby skręcił właśnie tutaj w prawo. Droga zwężyła się jeszcze bardziej. Była to właściwie ścieżka między pochylonymi sosnami.

Pomyślał o tajemniczej siostrze Debby i o jej domu, którego szukał. Najwyraźniej lubiła mieszkać na odludziu. Mieli więc taki sam gust. Weekendowa kryjówka Ryersona znajdowała się dalej na północ, na jednej z wielu wysp archipelagu San Juan, prawie u wybrzeży Kanady, ale jej otoczenie wyglądało podobnie. Do tej drewnianej chaty docierał swoją prywatną motorówką. Innego dojazdu do niej nie było. Virginia Elizabeth Middlebrook mogła przynajmniej korzystać z promu.

Virginia Elizabeth. Te imiona brzmiały niemal po królewsku. Sugerowały staromodny wdzięk osoby, która je nosiła. Była o kilka lat starsza od Debby, przekroczyła więc na pewno trzydziestkę, ale oprócz tego nic o niej nie wiedział. Sporo podróżowała w interesach i dlatego Ryerson nigdy jej nie spotkał. Wszystko wskazywało na to, że i tym razem nie będzie

miał okazji, aby ją poznać. Przejechał jeszcze kilkaset metrów i pomiędzy drzewami zauważył nieduży, parterowy domek, stojący niemal nad brzegiem zatoki. We wszystkich oknach paliły się światła.

W innych okolicznościach taki widok nastroiłby go optymistycznie. Jednak tym razem Ryerson wiedział, że zaraz stanie oko w oko z Debby. Zaparkował mercedesa na podjeździe i zgasił silnik. Przez chwilę siedział bez ruchu, obliczając odległość, którą będzie musiał pokonać w ulewnym deszczu. Nie miał jednak innego wyjścia, jak tylko pobiec prosto na ganek. Parasol leżał w bagażniku. Zanim go wyjmie i tak przemoknie do suchej nitki.

Ryerson szybko podejmował trudne decyzje. Z rozrzewnieniem pomyślał jeszcze raz o whisky, Mozarcie i walorach celibatu. Szybko wyskoczył z samochodu i ruszył pędem w stronę drzwi.

Elegancka tweedowa marynarka prawie natychmiast przesiąkła wodą. Podobny los spotkał zamszowe mokasyny na grubej zelówce.

Trudno, los nie był dziś dla niego łaskawy. Ryerson z rozdrażnieniem nacisnął przycisk dzwonka. Chciał jak najszybciej mieć za sobą tę przykrą rozmowę. Marzył jedynie o tym, żeby wrócić do domu. Sam.

Virginia Elizabeth Middlebrook wyszła właśnie spod prysznic, gdy usłyszała dźwięk dzwonka. Odłożyła ręcznik, którym wycierała mokre włosy i wyjrzała z łazienki. Była pewna, że jej się zdawało. Ale dzwonek zabrzączał ponownie. Zmarszczyła brwi. Nie oczekiwała gości i nikt nie wiedział, że wróciła dzień wcześniej.

To mógł być tylko ktoś od sąsiadów. U Burtonów z naprzeciwka często w czasie burzy wysiadało światło. Pewnie przyszli pożyczyć świece, stwierdziła po namyśle. Ściągnęła mocniej pasek luźnego, frotowego szlafroka, zawiązała na głowie zgrabny turban z ręcznika, wsunęła stopy w puszyste, różowe kapcie i przeszła przez hol do salonu.

Znów odezwał się dzwonek. Tym razem zabrzmiał dość natarczywie.

- Kto tam? - spytała i równocześnie zerknęła przez wizjer. Kobieta, która mieszka sama, musi być ostrożna. Zobaczyła tylko kawałek szerokiego ramienia ubranego w mokry tweed.

- Ryerson. - Za drzwiami rozległ się męski głos. - Kogo innego się, u licha, spodziewałaś? Otwórz, Debby. Twój rodzice są chorzy ze zmartwienia, a ja mam dosyć tego wszystkiego. Powiedzmy sobie wreszcie wszystko do końca i rozejdźmy się.

Zdumiona Virginia odsunęła się od drzwi. Ryerson. Znała to nazwisko. Facet kupił niedawno przedsiębiorstwo jej ojca. Używał także dwóch inicjałów, ale w tym momencie

zupełnie nie pamiętała jakich. A więc to jest ten sam Ryerson, o którym parę razy wspominała przez telefon siostra. Jej aktualny chłopak. Chyba nie był dziś w najlepszym humorze. Stęskniony kochanek przemawia innym tonem. Ciekawe, czym Debby wprowadziła go w taki podły nastrój?

Zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi. Na progu stał potężny, ociekający wodą mężczyzna. Musiała podnieść głowę, żeby mu spojrzeć w oczy. Rzadko jej się to zdarzało. Bez pantofli miała prawie sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Ale ten typ i tak patrzył na nią z góry. Oceniał go na około metr dziewięćdziesiąt. Na oko miał na karku czterdziestkę, a życie chyba go zbyt nie rozpieszczało.

Nagle przypomniała sobie te dwa inicjały: A.C.

Nie ulegało wątpliwości, że A.C. Ryerson był w tej chwili co najmniej zirytowany. W żółtym świetle wiszącej na ganku latarni zauważyła jeszcze zarys silnej szczęki i wystające kości policzkowe. Obejrzał ją od stóp do głów, ze szczególną uwagą przypatrując się różowym kapciom i głowie owiniętej w ręcznik.

- Nie jesteś Debby.

- Jasne, że nie - odparła ostro. Przeszkadzała jej świadomość, że była zupełnie bez makijażu. Świeżo umyta wyglądała ślicznie mając lat osiemnaście, ale w wieku trzydziestu trzech nie można już było liczyć wyłącznie na młodzieńczy wdzięk. - Mam na imię Virginia Elizabeth. A ty jesteś pewnie A.C. Ryerson?

- Zgadłś. Czy zastałem Debby?

- Nie.

- To dobrze - skostatował z zadowoleniem.

Virginię zaskoczyła ta odpowiedź.

- Wróciłam do domu kilka godzin temu i nie widziałam się z Debby. Czy coś się stało?

- Nie sędę, ale wasi rodzice wpadli w popłoch. Wyjaśnię ci wszystko, jeśli wpuścisz mnie do środka.

- Wybacz - uśmiechnęła się przepraszająco. - Proszę bardzo, wejdz. Miałam właśnie zamiar wypić kieliszek czegoś mocniejszego i iść do łóżka. Podróżowałam dziś od szóstej rano i miałam po drodze trzy przesiadki.

- Wiem dobrze, co to znaczy. Po takim dniu trudno się pozbierać. Chętnie bym się do ciebie przyłączył.

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Chcesz się do mnie przyłączyć? - powtórzyła zaskoczona.

- Myślałem, oczywiście, o kieliszku, a nie łożku - odparł łagodnie.

- No tak, oczywiście - wybałała zawstydzona. Czowała, że pieką ją policzki. Okropność. Nie rumieniła się przecież od dawna. - Przepraszam, jestem trochę zmęczona - Wskazała ręką kanapę. - Siadaj, proszę. Czego się napijesz?

- Od dwóch godzin marzę o paru łykach szkockiej. - Podszedł do kominka, obok którego leżał stosik drewna. - Myślałem też o trzaskającym ogniu. Zupełnie przemokłem. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli napalę w kominku?

- Skądże. Twoje marzenia nie są wygórowane.

- Jestem nieskomplikowanym człowiekiem i lubię proste przyjemności.

Poczuła na sobie spojrzenie jasnoszarych oczu i znów się zaczerwieniła.

- Może zdejmiesz z siebie tę mokrą marynarkę? - zasugerowała, żeby zmienić temat.

Przyjął jej propozycję z wdzięcznością. Szybko zrzucił marynarkę, pod którą nosił białą koszulę i starannie dobrany krawat w spokojnym kolorze. Jak na przyjaciela Debby, ubiera się wyjątkowo konserwatywnie, pomyślała ze zdziwieniem. Powiesiła marynarkę na oparciu krzesła.

- Zobaczę, czy mam w domu whisky - mruknęła, znikając w kuchni.

Odetchnęła głęboko. Czowała, że w pokoju atmosfera zrobiła się dziwnie naładowana. Zajrzała do kredensu i wyjęła zakurzoną butelkę szkockiej. Napelniła szklanek do połowy, po czym dołała jeszcze trochę. A.C. Ryerson był potężnym mężczyzną.

Zaskoczył ją swoim wyglądem. Wysoki i dobrze zbudowany, sprawiał wrażenie człowieka, który potrafi wiele znieść. Wielki jak granitowa skała i chyba równie solidny. Czyżby gust młodszej siostry tak bardzo się zmienił? Dotychczas preferowała u mężczyzn styl młodzieżowy. A.C. Ryerson nie wyglądał chłopięco. I był, oczywiście, dużo starszy niż dotychczasowi adoratorzy Debby. Jej dwudziestoczteroletnia siostra zawsze wołała chłopaków w swoim wieku. Łatwiej mogła wodzić ich za nos.

Poza tym Debby lubiła poszaleć. Regularnie chodziła na rockowe koncerty, które kończyły się dobrze po północy. Bez najmniejszego uszczerbku dla zdrowia mogła balować przez cały następny dzień. Towarzysze jej zabaw musieli mieć sporo energii, żeby bawić się równie dobrze, jak Debby.

Virginia intuicyjnie czowała, że A.C. Ryerson nie przepada za muzyką rockową i tańcami do czwartej rano. Nalała sobie trochę wina i z obu drinkami wróciła do salonu. Oczekiwała wyjaśnień.

Ryerson klęczał na jednym kolanie przy kominku i podsycał niewielkie płomyki ognia. Zauważyła, że rozluźnił nieco węzeł krawata. Sięgnął po szklanekę i pociągnął długi łyk

whisky.

- Dziękuję. Właśnie tego potrzebowałem.

- Proszę bardzo.

Postawiła kieliszek z winem na stoliku i usiadła w rogu kanapy. Obserwowała Ryersona. Dołożył do ognia kawałek drewna i wstał. Ależ to ogromny facet, pomyślała. I ta wspaniała, wysportowana sylwetka bez grama tłuszczu. Opiekuńczy i godny zaufania, uznała. Natychmiast sama się zdziwiła, dlaczego właśnie te dwa słowa przyszły jej do głowy. Niewielu mężczyzn, których znała, zasługiwało na takie określenia.

Ryerson ruszył w stronę kanapy, lecz zatrzymał się, bo zauważył na półce odtwarzacz płyt kompaktowych. Wybrał Mozarta. Z satysfakcją pokiwał głową, gdy z głośników popłynęły kryształowo czyste dźwięki fortepianowego koncertu. Usiadł na sofie i wznosił toast:

- Za udane ucieczki.

- Mogę wiedzieć, co panu groziło? - spytała cierpkim tonem.

- Owszem. Rozpustny weekend. - Patrzył teraz na nią leniwie przymrużonymi oczami.

- A tak na marginesie, to przyjaciele nazywają mnie Ryerson. Tylko moja matka używa chrzestnych imion.

- To znaczy?

- Angus Cedric.

- Hmm. Chyba rozumiem, dlaczego ich unikasz. Są trochę staroświeckie, ale ładne.

Brzmia tak solidnie.

- I beznadziejnie tępo? - podpowiedział.

- Wcale nie - zaprzeczyła.

- Dzięki - odparł krótko. - Zostanę przy Ryersonie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Nie jesteś podobna do swojej siostry.

- Wszyscy to mówią, od kiedy przyszła na świat. - Virginia łyknęła odrobinę wina.

Zastanawiała się, do czego zmierza ta rozmowa. - Czy Debby pokłóciła się z tobą?

- Nie. Powiedziałbym raczej, że nasze drogi się rozeszły. Planowaliśmy wspólny wyjazd, ale nagle zmieniła zdanie. Przyznam, że to dla mnie duża ulga.

- Czyli koniec wspaniałego romansu?

- Raczej tak.

- Mama z tatą nie będą tym zachwyceni.

- Ja jestem.

- Zauważyłam. - Ryerson rzeczywiście nie zachowywał się jak cierpiący, odtrącony kochanek. Miała wątpliwości, czy on w ogóle potrafi być romantyczny.

- Nie będę przed tobą ukrywał, Virginio, że o mało nie palnąłem głupstwa. - Pociągnął ze szklanki kolejny łyk i usiadł wygodniej. - Teraz sam się sobie dziwię. Wiesz, że początkowo brałem pod uwagę małżeństwo z Debby? A przecież zupełnie do siebie nie pasujemy. Nie wiedziałem, jak się z tego wyplątać. Na szczęście twoja siostra też poszła po rozum do głowy i postanowiła mnie porzucić. Szkoda tylko, że zrobiła to w taki egzaltowany, teatralny sposób.

- Tak, Debby lubi przedstawienia.

- Miałem okazję przekonać się o tym. Zostawiła mi list. Chyba nawet mam go przy sobie. Proszę, sama przeczytaj.

Virginia szybko przebiegła wzrokiem jego treść.

*"Wybacz mi, Ryerson, ale postanowiłam zrezygnować z tego wyjazdu. Nasza znajomość była błędem. Potrzebuję nieco czasu, żeby to przemyśleć. Doszłam do wniosku, że musimy się rozstać. Między nami wszystko skończone. Nie gniewaj się".*

*Debby*

- No cóż, Debby najwyraźniej uznała, że nie jesteście dla siebie stworzeni. Ty sądzisz podobnie. Nie rozumiem, w czym problem?

- Wasi rodzice bardzo się tym przejęli. Martwią się, bo ich ukochana córeczka zniknęła. Są pewni, że ona strasznie przeżywa nasze rozstanie. - W głosie Ryersona zabrzmiała wyraźna nuta sarkazmu.

- Debby miałyby wpaść w depresję? Mało prawdopodobne.

- Też tak myślę. Ale przypuszczam, że im chodzi o coś innego. Nie ukrywali zadowolenia, gdy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Są rozczarowani, że statek miłości zatonął.

- Rozumiem. Dlatego skłonili cię, żebyś jej poszukał. Pewnie liczyli na wasze cudowne pojednanie.

- Obawiam się, że tak.

- A istnieje taka szansa? - spytała chłodno.

- Raczej nie. Debby miała rację. Ten nasz romans był jednym wielkim nieporozumieniem.

- Ty nie popełniasz błędów?

- Błędów? Nie - odparł szczerze. - Staram się ich unikać.



Uwierzyła mu bez trudu. Przesunęła wzrokiem po atletycznej sylwetce i znów zaczęła przyglądać się twarzy swego gościa. Po namyśle uznała, że Ryerson jest interesującym mężczyzną. Nie był może szczególnie przystojny, ale męskie, ostre rysy przyciągały uwagę. Ciemne włosy wciąż lśniły od deszczu, a światło podkreślało tylko ich rudawy odcień. Ryerson zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się. Dostrzegła w jego oczach błysk inteligencji.

Rozpięta pod szyją elegancka, biała koszula odsłaniała fragment mocno owłosionej klatki piersiowej. Virginia poruszyła się lekko i zakryła stopy połą szlafroka. Zdawała sobie sprawę, że zaczyna odczuwać jakiś trudny do sprecyzowania niepokój. Jego przyczyną była bez wątpienia obecność Ryersona. Ale dlaczego? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Znów zerknęła na owłosiony tors.

- Zastanawiasz się, co twoja siostra we mnie widziała? - spytał obojętnym tonem. Zarumieniła się po uszy. Była zła, że nie potrafi ukryć swoich reakcji.

- Oczywiście, że nie.

- Właściwie nie mam pojęcia, dlaczego wpadłem jej w oko.

- Przyznam, że nie jesteś w guście Debby - powiedziała oględnie.

- Dzięki Bogu. Szkoda, że obydwójce wcześniej nie doszliśmy do tego wniosku. Chociaż pierwsze randki były bardzo miłe. Tylko tyle mogę powiedzieć na swoją obronę.

- Podejrzewam, że od początku mieliście błogosławieństwo naszych rodziców - stwierdziła żartobliwie. - Tata oczami duszy już cię widział w roli zięcia. W ten sposób firma zostałaby w rodzinie. Oboje z mamą liczyli na wasz ślub.

- Chyba tak - mruknął.

- Czy to moi staruszkowie wysłali cię jej tropem?

- Zgłosiłem się sam na ochotnika. Nie wróciła do domu, więc uznali, że musi być tutaj. Skoro jej nie znalazłem, to trudno. Spełniłem swój rycerski obowiązek i odmawiam dalszych poszukiwań.

- A co z twoim męskim ego?

Jego usta wygięły się w ironicznym uśmiechu.

- Nie martw się. Moje ego jakoś to zniesie. Bywało już gorzej.

Nie miała wątpliwości, że Ryerson to człowiek odporny.

Wprost emanował pewnością siebie. Żeby nią zachwiał, trzeba było czegoś więcej niż rozstania z dziewczyną.

- Skoro już spełniłeś dobry uczynek, to mam nadzieję, że teraz wsiądziesz w samochód i wrócisz do Seattle?

- Tak. - Utkwił wzrok w buzującym ogniu i machinalnie obracał szklanę w wielkich dłoniach. - Ruszam w drogę, jak tylko trochę podeschnę. Dzięki za gościnę, Virginio Elizabeth. To miło, że mnie zaprosiłaś. Doceniam również, że nie krzyczałaś na mnie za to, co zrobiłem twojej siostrze.

- A zrobiłaś jej coś?

W słowach Virginii wyczuł jakiś podtekst i spojrzał na nią z ukosa.

- Nie. Nigdy nie poszliśmy razem do łóżka - wyznał bez ogródek. - To miało się zdarzyć podczas tego weekendu.

- Spotykaliście się dość długo?

- Przez miesiąc. I wymieniliśmy jedynie kilka banalnych pocałunków na dobranoc. Trudno o lepszy dowód, że nie było co liczyć na przyływ namiętności. Wyraźnie nie ciągnęło nas ku sobie.

- Och! Nie o to pytałam - powiedziała zmieszana. - Nie chciałam wtykać nosa w wasze sprawy.

- Nie szkodzi. - Rozbawiło go wyraźnie jej zawstydzenie. - Chcę, żebyś знаła całą prawdę. Tak naprawdę niewiele nas łączyło. Przyznaję, że być może to moja wina.

- Twoja wina? - powtórzyła niepewnie. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

Ryerson uśmiechnął się od ucha do ucha. Stwierdził, że Virginia Elizabeth dobrze działa na jego męskie ego. Jej spojrzenie wyraźnie świadczyło o tym, że nie wyobrażała sobie, aby mógł mieć w sypialni jakiegokolwiek problemy. A więc oceniła go wysoko. Cóż to za miła świadomość.

- Nigdy nie miałem dość siły, żeby zwabić Debby do łóżka - wyjaśnił. - Z każdej randki wracałem wykończony. Huczało mi w głowie od tych rockowych decybeli albo padałem na nos ze zmęczenia po paru godzinach szaleństwa na parkiecie. Nie mam już dwudziestu lat. Po całonocnej zabawie marzę o spaniu. Nie o seksie.

- Mielicie jednak zamiar gdzieś wyjechać?

- Podjęliśmy rozpaczliwą próbę ratowania naszego romansu. Bez żadnych szans na powodzenie. Kiedy zdałem sobie z tego sprawę, chciałem porozmawiać z Debby. Akurat wtedy dostałem ten liścik od niej.

- A więc nie była to szaleńcza przygoda?

- No cóż. Pomyliliśmy się. I na szczęście już jest po wszystkim. - Stara whisky była dobrej marki. Z głośników sączyła się cicho łagodna muzyka, a ogień na kominku przyjemnie ogrzewał i rozleniwił. Prawdziwy relaks.

Virginia Elizabeth zasługiwała na swoje imiona, stwierdził w myśli Ryerson. Wysoka,

piękna i cudownie dojrzała. Ze spokojem i opanowaniem przyjęła jego niespodziewaną wizytę i wyjaśnienia. Była osobą rozsądną i inteligentną. Zupełnie inną niż jej postrzelona siostra. Z Virginią Elizabeth można było naprawdę porozmawiać.

Wyglądała uroczo i bezpretensjonalnie, gdy siedziała wtulona w róg kanapy. Zrobiła na nim wrażenie. Złapał się na tym, że podświadomie zaczynał oceniać jej urodę. Zdecydowanie piękne oczy. Piwne, w oprawie ciemnych rzęs, zdawały się sugerować pewną siebie kobiecość. Zauważył, że malowała się w nich jakaś niepokojąca ostrożność. Delikatne rysy i gładka cera, wdzięcznie zarumieniona od ciepła.

Ciekawe, co kryje się pod tym szlafrokiem. Był pewien, że ma pełne piersi i mocno zaokrąglone biodra. Ta kobieta musi mieć wspaniałe ciało, stwierdził z satysfakcją. Rzeczywiście niczym nie przypominała swojej modnie wychudzonej siostry. Virginia Elizabeth na pewno potrafiła rozgrzać w łóżku każdego mężczyznę.

Zaskoczyło go to, o czym myślał. Poprawił się na sofie. Po raz pierwszy od dawna poczuł gwałtowny przyływ pożądania.

- Cieszę się, że żadne z was nie cierpi z powodu złamanego serca i straconych złudzeń.  
- Usłyszał głos Virginii. - W przeciwnym razie sytuacja byłaby niezręczna. Zwłaszcza teraz, gdy wykupiłeś firmę naszego ojca. A przy okazji - dlaczego to zrobiłeś?

- Middlebrook Power Systems jest solidnym przedsiębiorstwem z tradycjami. Trzeba tylko wprowadzić parę zmian, żeby postawić je na nogi.

- Masz zamiar się tym zająć?

- Muszę najpierw sporo zainwestować. Zakłady wymagają gruntownej modernizacji. Silniki i systemy zasilania to moja życiowa pasja. Ucząc się w szkole średniej, dorabiałem na stacji obsługi. Po maturze wylądowałem w wojsku. Przez parę lat naprawiałem czołgi i ciężarówki. W końcu zmadrzałem i skończyłem studia. Po jakimś czasie stwierdziłem, że zarządzanie własnym interesem i usługi w energetyce przynoszą duże dochody. Polubiłem pracę w biznesie. Potrafię rozpoznać firmę, która ma przyszłość. Kiedy John Middlebrook wystawił swoją na sprzedaż, kupiłem ją bez wahania.

- A moja siostra złapała ciebie?

- Przypuszczam, że nie był to całkiem jej pomysł. Chyba jednak maczali w tym palce twoi rodzice.

- Wiem. Mogę zrozumieć ich motywację. Ale co z twoją?

- Czasami mam ochotę, aby się ustatkować. I wydaje się, że instytucja małżeństwa może być całkiem przyjemna.

- Jak dla kogo - odparła sucho. - Najlepiej służy mężczyznom.

Spojrzał na nią uważnie.

- Zdziwiasz mnie. Zawsze myślałem, że zdecydowana większość kobiet pragnie wyjść za mąż. Zwłaszcza kiedy już są... hm... w pewnym wieku... - Urwał raptownie i skrzywił się.

- Szczególnie te biedaczki po trzydziestce? - spytała ironicznie. - To chciałeś powiedzieć? Otóż muszę ci coś wyznać. Nie wszystkie stare panny rozpaczliwie szukają kandydata do ręki. - Bezwiednie zadrżała. - Przeżyłam już jedno małżeństwo i uważam, że było ono klęską. Czegoś się już w życiu nauczyłam.

- Ja też byłem kiedyś żonaty - odparł, trochę zaskoczony pasją, z jaką Virginia podjęła dyskusję. - Nic z tego nie wyszło, ale chętnie spróbowałbym jeszcze raz. Życie we dwoje może dać dużo satysfakcji, jeśli tylko obie strony nie oczekują od siebie cudów i naprawdę chcą być ze sobą.

- Aż tak bardzo wierzysz w potęgę miłości? - spytała cicho.

- Nie - zaprzeczył tonem zupełnie pozbawionym emocji. - W ogóle nie wierzę w miłość. To bzdura i wymysł niepoprawnych romantyków. Nie jestem jednym z nich. Ale wierzę w małżeństwo.

- Dlaczego?

Ryerson uznał, że ta rozmowa przybiera całkiem nieoczekiwany kierunek. Może właśnie dlatego zaczynała go wciągać.

- Jak już mówiłem, małżeństwo ma wiele zalet. Przyznaję, że za pierwszym razem było rezultatem pociągu fizycznego i młodzieńczego optymizmu. Niestety, szybko dał o sobie znać brak dojrzałości i sprecyzowanych oczekiwań. Moja żona zaczęła żałować tego, co straciła, wychodząc tak młodo za mąż. Nasz związek rozleciał się szybko. Wierzę, że następnym razem będzie inaczej.

- Czyli jak?

- Teraz już wiem, czego chcę. W moim wieku ceni się wygodne, ustabilizowane życie i uroki domowego ogniska. Kiedy przenieśliśmy się z Portland do Seattle i kupiłem zakłady twego ojca poczułem, że wreszcie odnalazłem swoje miejsce. Do szczęścia brakuje mi jeszcze udanego, spokojnego związku z kobietą. Chciałbym się ożenić z kimś, na kogo mógłbym liczyć. Kto potrafi przyjąć gości firmy. Kto wypije ze mną wieczornego drinka i pogawędzi o wydarzeniach dnia. Debby zupełnie nie nadawała się do tej roli. Musiałem chyba upaść na głowę.

- Albo znów był to tylko pociąg fizyczny - zauważyła z uśmiechem.

- Potrafię już zapanować nad moim pociągiem fizycznym. - W tej chwili wcale nie był

pewien, czy to prawda. Wciąż czuł w lędźwiach szczególnego rodzaju napięcie. Zastanawiał się, czy Virginia zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo rozchylił się u góry jej szlafrok. Głęboki dekolt ujawniał kuszący zarys miękkiego, apetycznego ciała.

- A więc chcesz po prostu małżeństwa dla wygody?

- Masz mi to za złe?

- Cóż, jesteś przynajmniej szczery - odparła z wahaniem. - W pewnym sensie nawet się z tobą zgadzam. Osobiście nie miałabym nic przeciwko sympatycznej i wartościowej przyjaźni z mężczyzną. Na co dzień daję sobie świetnie radę sama, ale czasem byłoby cudownie móc pogadać z bratnią duszą. Nie mam jednak zamiaru wychodzić w tym celu za mąż.

- Preferujesz wolne związki? - spytał ze śmiertelną powagą,

- Mówiłam o przyjaźni z mężczyzną. Nie miewam przygód. I chyba nie chciałabym ich mieć. A jeśli już, to romans oparty na przyjaźni, a nie hormonach.

Nie wierzył własnym uszom.

- Dawno się rozwiodłaś?

- Jestem wdową. Mój mąż zmarł kilka lat temu.

- Kilka lat temu? - spytał ze zdumieniem.

- Pobraliśmy się, gdy skończyłam studia. W dwa lata później zginął w wypadku samochodowym.

- I ty nigdy... to znaczy od tego czasu nie zdarzyło ci się zaangażować w, hmm... - urwał widząc, że wprawia ją w zakłopotanie. Naprawdę trudno było sobie wyobrazić, że ta kobieta nie była z nikim związana przez tyle lat.

- Jakoś nie mogłam trafić na autentyczną przyjaźń. Ani na kogoś, w kim potrafiłabym się zakochać.

- A więc wierzysz w miłość? - spytał bardziej ostro, niż zamierzał.

- O, tak. Wierzę. Ale nie sądzę, żebym sama była zdolna do wielkiej namiętności. To dobre dla innych, takich jak moja siostra. - Skrzywiła się leciutko. - Nie oczekuję wspaniałych uniesień. Wolę przyjaźń.

- I nie chciałabyś wyjść za mąż za takiego hipotetycznego przyjaciela?

- Nigdy.

Całkiem nieracjonalnie zapragnął przekonać Virginie, że nie ma racji. Zaraz jednak odprężył się i zachichotał.

- Ja popieram małżeństwo, ale nie wierzę w miłość. Ty zupełnie na odwrót. Oboje natomiast doceniamy znaczenie przyjaźni. Uważam, że to interesujące. A nawet dosyć

zabawne. - Spoważniał. - Wiesz, twoja siostra wciąż jeszcze jest w tym wieku, kiedy miłość jawi się jako stan permanentnej, egzaltowanej szczęśliwości, pełnej wzniosłych przeżyć.

- Owszem, wiem.

- Szczerze mówiąc - ciągnął - nie potrafiłbym jej tego zapewnić nawet wówczas, gdybym był dużo młodszy. Może z racji swojej pracy stałem się przyziemnym nudziarzem. Masz pojęcie, że dieslowski silnik nie zmienił się od pięćdziesięciu lat?

- Dobry, wypróbowany produkt?

- Przypomina małżeństwo. Działa bez zarzutu dopóty, dopóki nie oczekuje się po nim zbyt wiele i nie stawia zbyt dużych wymagań. Czy tak było w twoim przypadku, Virginio Elizabeth? A może patrzyłaś na wszystko przez różowe okulary? Spodziewałaś się cudów?

Zesztywniała, a w jej piwnych oczach przez chwilę zamigotał gniew.

- Nie lubię rozmawiać z obcymi o swoich prywatnych sprawach - ucięła krótko.

Uznał, że należy się wycofać. W pokoju zapanowała niezręczna cisza. Ryerson rozpiął jeszcze jeden guzik koszuli i odchylił głowę na oparcie kanapy. Chyba powinien zbierać się do wyjścia, ale jakoś nie miał ochoty wstać. Whisky, muzyka i ciepło płynące od kominka sprawiły, że poczuł się przyjemnie odprężony. Gdyby jeszcze Virginia usiadła trochę inaczej a dekolt jej szlafroka rozchylił się jeszcze bardziej obiecująco. Czego trzeba więcej?

- Już późno. Dzięki za gościnę, Virginio. Muszę wracać do Seattle - przerwał milczenie, ale nie ruszył się z miejsca.

- Ostatni prom odpływa dopiero za półtorej godziny - odparła z wahaniem.

- To mnóstwo czasu. Teraz wiem, jak jechać, więc droga do przystani zajmie mi najwyżej kwadrans.

- Może zaczekaj, aż burza się skończy. W taką pogodę kiepsko się prowadzi samochód.

- Tak. Poza tym nawierzchnia obfituje w niespodzianki. Jakies dwa kilometry stąd jest prawdziwe jezioro.

- Znam ten odcinek. Tam zawsze po deszczu stoi woda. Minie parę godzin, zanim spłynie.

Oboje znów spojrzeli na zegar i przez chwilę siedzieli bez słowa.

- Dlaczego nigdy nie miałem okazji cię poznać? - zapytał w końcu. - Twoja rodzina wspominała o tobie, ale podobno sporo ostatnio podróżujesz. Chyba mieliśmy zostać sobie przedstawieni na party w przyszłym tygodniu. Często wyjeżdżasz służbowo?

- Na ogół nie. Kieruję komputerowym systemem odzyskiwania informacji w Carrington Miles and Associates. Znasz tę spółkę?

Skinął twierdząco głową.

- Duże przedsiębiorstwo z siedzibą w Seattle. Ma przedstawicielstwa w całej północno-zachodniej części Stanów.

- Zgadza się. Chcieli zastosować jednolity system komputerowy w swoich filiach. Nadzorowałam wprowadzanie go i stąd te liczne wyjazdy. Na szczęście praca jest niemal zakończona.

- Myślę o tym, żeby skomputeryzować w Middlebrook Power Systems proces kontroli dokumentacji. Może powinienem zatrudnić cię jako konsultanta?

- Firma jest pod tym względem beznadziejnie zaniedbana. Mój ojciec nie był zwolennikiem nowoczesnych metod zarządzania - odparła z uśmiechem,

Zadziwiła Ryersona inteligentnym monologiem na temat współczesnych technik komputerowych. Opowiadała tak interesująco, że słuchał z prawdziwą przyjemnością. Dołał sobie trochę whisky i wrócił na kanapę. Teraz on podzielił się z Virginią planami dotyczącymi Middlebrook Power Systems. Szczegółowo przedstawił jej swoje zamiary dotyczące poprawy jakości wyrobów i poszerzenia rynków zbytu. Virginia okazała się wdzięczną słuchaczką. Szkoda tylko, że kiedy nalewał sobie drinka, poprawiła zapięcie szlafroka...

Gdy skończył mówić o perspektywach rozwoju przedsiębiorstwa, Virginia krzyknęła, widząc która jest godzina.

- Nie zdążysz na ostatni prom.

- Do licha, chyba masz rację - mruknął. Nie złapał jednak marynarki i nie pognał do drzwi. - Może to i lepiej - stwierdził po chwili. - Przecież wlałem w siebie tyle alkoholu.

Zmarszczyła lekko brwi.

- Mamy na wyspie kilka niedrogich zajazdów. Spróbuj wynająć pokój.

- Dobry pomysł.

Żadne z nich nie wykazywało najmniejszej ochoty, aby wstać. Obydwoje patrzyli w ogień. W końcu Virginia odezwała się z wahaniem:

- Właściwie mógłbyś zostać na noc tutaj, o ile zechcesz spać na sofie. Jest może trochę za mała, ale...

- To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Drobiazg. Jesteś w końcu przyjacielem rodziny.

- Miło, że tak myślisz.

Czterdzieści minut później Ryerson wyciągnął się na kanapie. Była dla niego zdecydowanie za wąska, ale wygodna, a pościel pachniała lawendą. Słyszał, jak jego uroczą

gospodyni krząta się w sypialni, gasi światło i kładzie się do łóżka. Pozwolił swoim myślom pożeglować do jej sypialni. Oto Virginia w białym, skromnym negliżu, który pasuje do jej osobowości. Niespiesznie zdejmuje bieliznę, stopniowo ujawniając wszystko to, co przedtem zakrywał szlafrok.



## ROZDZIAŁ 2

Obraz wykreowany przez wyobraźnię stawał się coraz bardziej realistyczny. Znowu powróciło napięcie w dolnej części ciała i Ryerson uznał, że najwyższa pora spad. We śnie widział wysoką kobietę z dojrzałymi, pełnymi piersiami i przyjemnie zaokrąglonymi udami. Uśmiechała się do niego i chciała wziąć go w ramiona.

Stracił niewątpliwie cały miesiąc na randki z niewłaściwą osobą. Od początku należało umawiać się z jej siostrą.

Virginia obudziła się rano z dziwnym uczuciem. Miała wrażenie, że z jej życia raz na zawsze zniknęła cała dotychczasowa nieustępliwość i surowość. Zbiło ją to wyraźnie z tropu. Zastanawiała się, czy rzeczywiście noc spędzona pod jednym dachem z tym potężnym mężczyzną może mieć jakikolwiek wpływ na jej spokojną, ustabilizowaną egzystencję. Po namyśle uznała, że jest to absolutnie niemożliwe. Nie wydarzyło się przecież nic szczególnego. Pozwoliła przespać się na kanapie człowiekowi, z którym jej ojciec prowadził interesy. To wszystko. Nic innego za tym się nie kryło.

Lekko poirytowana odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Zawijając po drodze pasek szlafroka, pomaszzerowała do łazienki. Drzwi były zamknięte. Głośny szum wody świadczył o tym, że ktoś brał prysznic. Mężczyzna w jej łazience. Coś takiego nie zdarzyło się od lat. Wycofała się do salonu.

Zauważyła, że jej gość zdążył już schować pościel. Pod stolikiem stała para ogromnych mokasyń, a na krześle wisiała biała koszula. Nic więcej nie zdradzało obecności mężczyzny w jej domu.

Woda przestała szumieć i Virginia nadstawiła ucha. Ryerson prawdopodobnie wycierał się teraz po kąpieli. Kiedy zaczęła się zastanawiać, czy włosy na jego piersi tworzą poniżej talii trójkąt, uznała, że najwyższy czas zaparzyć kawę. Zaczynała ponosić ją wyobraźnia.

Kilka minut później skrzypnęły drzwi od łazienki. Virginia wyjmowała z szafki filizanki i nie słyszała, kiedy wszedł do kuchni. Wyczuła jednak za plecami obecność Ryersona.

- Dzień dobry - powiedział cicho.

W niskim, głębokim głosie było słycać poranną chrypkę. Brzmiała zmysłowo. Virginia odwróciła się, przytrzymując oporne filiżanki.

- Dzień dobry.

Nie była całkiem pewna, czy rankiem wyda się jej równie interesujący, jak poprzedniego wieczoru. Blask ognia na kominku potrafi każdemu dodać uroku. Ale Ryerson wyglądał w dziennym świetle znakomicie. Widok nagiego, męskiego torsu dodatkowo wzmocnił jej zafascynowanie. Ostatnim mężczyzną, który stał tutaj półnagi, był jej mąż. Wspomnienie jego nagości nie obudziło w niej żadnego przyjemnego dreszczu.

Ryerson działał na nią zupełnie inaczej. Jego brązowe włosy o rudawym odcieniu lśniły po umyciu, a szare oczy wydawały się teraz wręcz srebrzyste. Miał na sobie tylko spodnie i Virginia stwierdziła, że gęste owłosienie układało się na jego piersi dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała. Pasek zakrywał część tego ciemnego trójkąta.

- Nie gniewasz się, że ogoliłem się twoją maszynką? - Potarł dłonią podbródek.

- Oczywiście, że nie - odparła szybko. - Proszę, nalej sobie kawy, a ja skorzystam z łazienki.

- Dzięki. - Nie sięgnął jednak po dzbanek. Z uwagą przyglądał się jej głowie.

- Czy coś nie tak?

- Skądże. - Uśmiechnął się. - Właśnie przypomniałem sobie, że wczoraj byłaś opatulona w ręcznik. Nie miałem pojęcia czy jesteś brunetką, czy blondynką.

Machinalnie podniosła rękę i przygładziła brązowe, sięgające ramion włosy.

- Muszę coś z tym zrobić. Nie zdążyłam się uczesać. - Pospiesznie odstawiła filiżankę na blat i chciała wyminąć Ryersona.

Nawet nie drgnął, żeby ją przepuścić. Położył dłoń na jej ramieniu i ten dotyk podziałał na nią elektryzująco. Zatrzymała się spłoszona.

Patrzył hipnotyzującym wzrokiem, a jego palce zagłębiły się w ciemnych, splątanych włosach Virginii. Jej serce waliło jak szalone.

- Dziękuję ci, Ginny - odezwał się łagodnie. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak przyjemnie spędziłem wieczór. Whisky, kominek, muzyka, a zwłaszcza twoje towarzystwo - wszystko było doskonałe.

Uśmiechnęła się niepewnie. Kiedy przestała być dla niego Virginią Elizabeth, a została Ginny? Zdziwiło ją, że to pieszczotliwe zdrobnienie zabrzmiało w jego ustach tak przyjemnie. Wczoraj przy kominku zdarzyło się rzeczywiście coś zadziwiająco intymnego.

- Och, to nic wielkiego. Przykro mi, że musiałeś jechać na próżno taki kawał drogi przy tej pogodzie.

- Ja nie żałuję.

Zamilkli oboje. Wyczuwało się coraz większe napięcie między nimi. Nagle Ryerson pochylił głowę i odnalazł usta Virginii.

Wstrzymała oddech, nie wiedząc, czego się spodziewać. Nie była kobietą zmysłową. Mąż dał jej to jasno do zrozumienia zaraz po ślubie. Nie krył rozczarowania. Ale Ryerson nie oczekiwał prawdopodobnie od niej zbyt wiele. Poza tym chodziło tylko o zwykłą, przelotną pieśczętę.

Myśli przelatywały jej chaotycznie przez głowę, gdy poczuła jego wargi na swoich. I nagle aż westchnęła z ulgą. Pocałunek tego mężczyzny wydał się jej czymś najbardziej naturalnym pod słońcem.

Odpowiedziała całkiem instynktownie. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego. Jego usta były twarde, ciepłe i subtelnie wymagające. Miały cudowny smak. Zdała sobie sprawę, że pragnienie takiego pocałunku dręczyło ją od dawna. Właściwie przez całe życie.

Odruchowo oparła dłonie na jego nagich ramionach. Z przyjemnością przesunęła palcami po gładkiej skórze, pod którą wyczuwała silne mięśnie. Ryerson westchnął.

- Muszę ci o czymś powiedzieć, Virginio. Wczoraj wieczorem zrozumiałem swój błąd. Powinienem już od dawna spotykać się z tobą.

Odsunęła się nieco i spojrzała w srebrzystoszare oczy. Ona także dokonała dzisiaj odkrycia. Wszystko wyglądało inaczej niż zwykle. Cały świat nabrał blasku.

- Prawie się nie znamy... - Skarciła się w myśli za ten banał. Poza tym to wcale nie była prawda. Coś jej mówiło, że zna Ryersona całkiem dobrze. Byli przecież tak bardzo do siebie podobni.

- Chciałbym wiedzieć o tobie dużo więcej - powiedział. - Ty i ja mamy ze sobą wiele wspólnego. Na pewno możemy zostać dobrymi przyjaciółmi. - Przez chwilę bawił się kosmykiem jej włosów. Znów zamierzał ją pocałować, gdy nagle usłyszeli zgrzyt klucza w zamku. Do pokoju wpadł podmuch chłodnego powietrza.

- Ginny! O Jezu, to ty, Ryerson? Co tu się, u licha, dzieje?

Virginia drgnęła gwałtownie, słysząc głos siostry. Spojrzała ponad ramieniem Ryersona w stronę frontowych drzwi.

- Cześć, Debby - odparła tak spokojnie, że aż ją to zdziwiło.

- No, no, no - mruknęła Deborah Middlebrook tonem, w którym zaskoczenie mieszało się z przykrym rozczarowaniem. - Chyba mnie wzrok zawodzi. - Wkroczyła do pokoju, wnosząc aurę wielkiego świata. Wyglądała jak prawdziwa modelka. Miała na sobie obcisłe, skórzane spodnie, które musiały kosztować majątek i trykotową bluzę naszywaną koralikami.

Potrząsnęła jasnymi, ekstrawagancko ściętymi włosami. - Skąd się tu wzięłeś, Ryerson? Próbujesz uleczyć złamane serce? Przyznaję, że jestem zdruzgotana.

Odwrócił się leniwie i posłał jej znudzone spojrzenie.

- Mam nadzieję, że zadzwoniłaś do rodziców. Martwią się o ciebie.

- Odezwę się do nich później. - Nie umknęło jej uwagi, że siostra była w szlafroku, a Ryerson bez koszuli. Pokręciła głową ze zdumieniem. - Co za scena. Spędziłeś tutaj noc, Ryerson? Z moją siostrą? Cała rodzina padnie z wrażenia, gdy się o tym dowie. Ginny nie spała z nikim, od kiedy została wdową. A ciebie na dodatek wcale nie zna. - Nagle spoważniała, a w jej głosie zadźwięczała wyraźna nuta podejrzliwości. - Słuchaj, jeśli napastowałeś moją siostrę, to będę musiała wezwać gliny.

Na policzki Virginii wypłynął krwisty rumieniec. Od śmierci męża wszyscy Middlebrookowie zamęczali ją swoją troskliwością. Ta nadopiekuńczość zaczynała ją już drażnić.

- Dostyc tego - powiedziała ostrzegawczo.

- Chwileczkę - parsknęła Debby. - Skąd mogę wiedzieć, że to nie jakieś jego wstrętne sztuczki. - Wbiła w Ryersona oskarżycielski wzrok. - Jeżeli ją wykorzystasz, żeby w ten sposób dać mi po nosie, to z całą pewnością będziesz miał wkrótce kłopoty. Rodzice się wściekną i tata pozwie cię do sądu.

- Na miłość boską, Debby - przerwała Virginia. - Przestań przez chwilę paplać. Nie wiesz, co tu się dzieje. I wcale nie musisz mnie chronić przed Ryersonem.

- Mam co do tego spore wątpliwości. Niby jesteś starsza ode mnie, ale w sprawach męsko-damskich kompletnie zielona. Całe twoje doświadczenie to dwa lata chybionego małżeństwa. Nie podejrzewam, żeby Ryerson chciał cię uwieść z chęci zemsty, bo ma klasę. Ale nigdy nic nie wiadomo.

- Zapewniam cię - powiedziała Virginia z godnością - że zarówno uwodzenie, jak i zemsta są w tym przypadku absolutnie wykluczone. Więc bądź uprzejma zamknąć wreszcie buzię.

- Święta racja. Przebrałaś miarękę, Debby. Daję ci słowo, że Ginny i ja świetnie się rozumiemy.

- Naprawdę? - Popatrzyła na nich sceptycznie. - No dobrze, ale od kiedy pozwalasz mu nazywać się Ginny?

- Nie pytałem o pozwolenie - wtrącił, nim Virginia zdążyła się odezwać. - Ale Ginny nie ma nic przeciwko temu. Prawda, Ginny?

- Hm, nie, skądże, A.C.

- No tak wiedziałem, że mnie to spotka - stwierdził żałośnie.

- Nikt nie mówi do niego A.C. - wyjaśniła Debby i pociągnęła nosem. - Czyżby zapach kawy? Chętnie się napiję.

Wcześniejsze podniecenie Virginii ustąpiło. Zastanawiała się teraz, czy powinna czuć się winna. Chyba nie. Wystarczyło jedno spojrzenie na Debby. Jej mina świadczyła o tym, że dziewczyna na pewno nie jest w rozpacz. Raczej dobrze się bawiła, a dociekliwe pytania wynikały jedynie z troski o dobro siostry.

Może wzruszyłoby to Virginie, gdyby nie fakt, że wcale nie potrzebowała takiej opieki. Starła się od dawna wyjaśnić to rodzinie. Z mężczyznami radziła sobie całkiem dobrze. Co prawda w taki sposób, że po śmierci męża postanowiła nie angażować się w żadne trwałe związki. Przerazała ją wizja kolejnego niepowodzenia. Każdy nowy związek również mógł zakończyć się fiaskiem.

- Pewnie chcielibyście porozmawiać - mruknęła. - Idę się ubrać. - Nie czekając na odpowiedź, poszła do sypialni. Usłyszała jeszcze, jak Debby mówi:

- Zanim pogadamy o naszych złamanych sercach, Ryerson, najpierw muszę sobie strzelić kawę.

Wyciągnęła z szafy to, co jej akurat wpadło w rękę. Włożyła granatowe spodnie z miękkiej wełny i bluzkę w żółto-białe paski. Zaczesała włosy gładko do tyłu i związała na karku aksamitną wstążką. Jeszcze delikatny makijaż i z zadowoleniem stwierdziła, że jej twarz nie zdradza już przeżyć dzisiejszego poranka. Jest taka, jak zwykle - pogodna i spokojna.

Dobiegały ją przytłumione głosy Ryersona i Debby. Lekki ton rozmowy świadczył o jej przyjacielskim charakterze. To z pewnością nie była wielka namiętność i oboje najwyraźniej odczuli ulgę, że romans skończył się wreszcie.

Kiedy kwadrans później wróciła do kuchni, pachniało jajecznicą i grzankami. Ryerson serwował śniadanie. Można by sądzić, że od lat tutaj mieszka, uznała po cichu. Co dziwniejsze, ta myśl wcale nie wydała się jej przykra.

Debby siedziała przy stole popijając kawę. Najwyraźniej pogodziła się już z obecnością Ryersona.

- Podobno wiesz już o naszych niedoszłych planach weekendowych?

- Coś niecoś. Szkoda tylko, że zrezygnowałaś z nich w tak dramatyczny sposób. Mama z tatą bardzo wzięli sobie do serca całą sprawę.

- Nie przypuszczałam, że moja kartka wpadnie im w ręce. Zaznaczyłam na kopercie, że to dla Ryersona.

- Mogłaś przewidzieć, że dostarczą ją wtedy, gdy twój ojciec będzie u mnie w biurze - powiedział szorstko.

- Nie musiałeś przy nim czytać!

- Zrobiła to moja sekretarka. Na jej biurko trafia tylko służbowa korespondencja. Biedna pani Clemens. Z wrażenia aż upuściła list na podłogę. Wasz ojciec go podniósł i wręczył mi. Niestety, wcześniej zauważył twój podpis. Miał prawo pytać, co, u licha, znaczy ta rozkoszna notatka. Powiedziałem mu prawdę.

- O Jezu! - Debby pokręciła głową. - To dlatego chciałeś mnie odszukać. Staruszkowie narobili dużo szumu?

- Martwili się o ciebie.

- Gdzie się od wczoraj podziewałaś? - spytała Virginia.

- Byłam u koleżanki w Bellevue. Mogłam u niej zostać tylko do dziś, a chciałam zniknąć na cały tydzień. Podejrzewałam, że mama z tatą nie będą zachwyceni tym zerwaniem. Mieli nadzieję na nasz ślub. Za parę dni im przejdzie, ale teraz są na pewno źli.

- To prawda.

- Przyjechałam tutaj, bo myślałam, że jeszcze nie wróciłaś. Chyba nie będzie ci przeszkadzało, jeśli pomieszkam parę dni?

- Virginii może to nie przeszkadzać, ale mnie tak - nieoczekiwanie odezwał się Ryerson. - Zmykaj do rodziców zaraz po śniadaniu.

- A niby dlaczego?

- Nie chcę, żebyś plątała się pod nogami, kiedy mam okazję lepiej poznać Ginny - wyjaśnił chłodno.

Ręce Virginii zdrząły lekko, gdy sięgała po talerz. Napotkała wzrok Ryersona. Uśmiechnął się do niej nieznacznie.

- Ojej, w ogóle nie zamierzasz opłakiwać naszej wielkiej, utraconej miłości? - narzekała Debby. - Chociaż przez kilka dni?

- Z pewnością nie. W moim wieku to strata czasu. - Przysunął sobie nakrycie i polał jajecznicę keczupem. - Miałem sporo szczęścia, że nie ogłuchłem od tego ryku podczas rockowych występów. Zjadaj śniadanie i już cię nie ma.

- Znam cię od miesiąca, a nie miałam zielonego pojęcia, że umiesz gotować.

- I to najlepiej świadczy, jak niewiele wiedzieliśmy o sobie.

- Nie mogę zaprzeczyć. Po ostatnim koncercie sama zrozumiałam, że nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Przez całą drogę powrotną narzekałeś, że bolą cię uszy.

- Twój muzyczny gust rujnował mi zdrowie.

- Pociesz się, że moja siostra słucha czego innego. Ale porzuć nadzieję na ożenek z Ginny. Ona postanowiła nie wychodzić za męża. Prawda Ginny?

Virginia spiorunowała ją wzrokiem.

- Uważam, że Ryerson ma rację. Skończ jeść, Deb i wracaj do domu.

- A to co znowu? Jakiś spisek? Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo. Mam za sobą ciężkie przejścia.

- Jesteś młoda - wycedził. - Szybko dojdiesz do siebie.

- Och, naprawdę? - spytała z przekąsem. - A co z tobą?

Spojrzał na Virginie.

- Ja? Będę potrzebował mnóstwa sympatii, pociechy i zrozumienia.

- Coś mi się wydaje, że wiem, u kogo będziesz tego szukał. Ginny, chyba nie pozwolisz mu chlipać na twoim ramieniu?

Virginia z trudem ukryła lekki uśmiech.

- Mężczyzna, który umie gotować, dostanie od kobiety wszystko, czego zechce - palnęła bez namysłu.

- Muszę o tym pamiętać - powiedział z przewrotnym błyskiem w oku. - Zjedz jeszcze trochę, Ginny.

- Dziękuję. Mógłbyś mi podać keczup?

- Boże, ale romantycznie - jęknęła młodsza siostra. - Będzie z was wspaniała para.

Debby opuściła ich w godzinę później. Zrobiła to niezbyt chętnie. Głośno utyskiwała na konieczność powrotu do swojego mieszkania, ale kiedy machała im ręką na pożegnanie, w jej oczach malowało się autentyczne zainteresowanie.

Virginia patrzyła przez chwilę na mały sportowy samochód skręcający z podjazdu na drogę między sosnami. Potem odwróciła się do Ryersona. Na jego wargach igrał leniwy uśmieszek.

- Dwoje ludzi tego samego pokroju - powiedział z wyraźnym zadowoleniem. - Co ty na to, Virginio?

Gdzieś w głębi duszy usłyszała kuszącą zapowiedź szczęścia. Nie chciała w nią uwierzyć, ale i nie potrafiła jej się oprzeć. Zrobiła unik i odpowiedziała wymijająco:

- Trochę za wcześnie, żeby o tym mówić.

- Nie dla mnie. Tobie jednak dam tyle czasu, ile tylko zechcesz. - Pieszczotliwie pogładził ją po policzku. - Nie będziemy o niczym decydować natychmiast. Jesteśmy dorośli i nie musimy się spieszyć.

- Tak - powiedziała. - Mamy czas. - Tyle mogła zaryzykować. Przecież Ryerson nie

prosił o wiele.

- Mam wrażenie, jakbym cię znał od dawna, Virginio. - Przesunął palcem wzdłuż jej szyi i linii ramienia. - Wczoraj powiedziałeś, że czasem pragniesz przyjaźni z mężczyzną.

- To prawda - potwierdziła z przekonaniem. Czowała, że przyjaźń z Ryersonem jest całkiem realna. A później - kto wie - może zmieni się w coś innego, bardziej intymnego? Virginia wiedziała, że obce jej jest uczucie wielkiej namiętności. Po raz pierwszy od śmierci męża zatęskniła jednak za ciepłym i dającym poczucie bezpieczeństwa związkiem.

Spróbowała powstrzymać swoje galopujące myśli. Wszystko toczyło się zbyt szybko. Na razie powinno jej wystarczyć, że oboje z Ryersonem świetnie się rozumieją. Po raz pierwszy w życiu łączyła ją taka zachwycająca duchowa więź z mężczyzną. Potrzebowała jednak czasu, aby w pełni zrozumieć to nadzwyczajne zjawisko i móc się nim prawdziwie cieszyć.

- Bez pośpiechu - obiecał jeszcze raz. - Wiem, że ty i ja zostaniemy w końcu bliskimi przyjaciółmi, Ginny.

Przyjaciele. To był wspaniały pomysł. Uśmiechnęła się radośnie.

W ciągu następnych trzech tygodni często przychodziły jej do głowy słowa „bez pośpiechu”. Myślała o nich w pracy. Wieczorem tuż przed zaśnięciem. Zauważyła, że powtarza je półgłosem, biorąc prysznic. Były kojące i napawały optymizmem.

„Bez pośpiechu”. Wreszcie spotkała człowieka, który zgodził się, żeby ich znajomość powoli, stopniowo przekształciła się w prawdziwą przyjaźń. Nie stawiał żadnych wymagań. Dał jej to, czego najbardziej potrzebowała. Czas. Ona i Ryerson najpierw zostaną dobrymi przyjaciółmi. Dopiero wtedy zdecydują wspólnie, czy zaryzykować związek oparty na seksie.

Od ich pierwszego spotkania minął prawie miesiąc. Któregoś dnia Virginia umówiła się z siostrą na lunch. Debby przyszła do restauracji obładowana zakupami. Zgrabna sylwetka dziewczyny przyciągała uwagę. Przyczyniła się do tego również czerwona spódniczka mini i pasujące do niej krótkie bolerko. Debby lubiła awangardowe stroje. Z wyraźną dezaprobatą przyjrzała się prostemu kostiumowi Virginii i jej gładko uczesany włosom. Nie powiedziała jednak ani słowa. Przywykła do tego, że starsza siostra hołduje konserwatywnej modzie.

- Opowiadaj - zażądała, gdy obie usiadły przy stoliku. - Jak tam wspaniały romans? Wszyscy wiemy, że jesteście prawie nierozłączni. Mama z tatą są pełni obaw, ale ja widzę waszą przyszłość w różowych kolorach. Ty i Ryerson pasujecie do siebie jak ulał.

- To bardzo wielkodusznie z twojej strony - mruknęła Virginia i wbiła wzrok w kartę. Wybrała spaghetti z oliwkami, kaparami i bazylią. Ostatnio zdecydowanie poprawił się jej apetyt. Do niedawna jadała o tej porze tylko sałatkę lub owocowy jogurt. - Nie ma mowy o



żadnym płomiennym romansie. Ryerson i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Daj spokój, Ginny. Możesz mi wyznać, co naprawdę razem robicie. Nikomu o tym nie powiem.

- No cóż, w sobotę byliśmy w operze - wyjaśniła spokojnie. - We wtorek zjedliśmy wspólnie obiad. Mamy zamiar wykupić karnet na muzyczne spotkania w filharmonii, ale to jeszcze nic pewnego. Poza tym chcemy zobaczyć wystawę kaktusów w oranżerii Volunteer Park.

- O Boże, litości! - jęknęła Debby, wznosząc oczy ku niebu. - Wystawa kaktusów! Przecież nie o to pytam i dobrze o tym wiesz. Psiakość, powiedz mi, czy z nim sypiasz?

- Zawsze przechodzisz tak od razu do rzeczy?

- Pewnie. Większość ludzi uważa, że na tym polega mój wdzięk. Bądź ze mną szczerą, droga siostrze.

Virginia spojrzała na nią z pobłażliwym uśmiechem.

- Twoje pytanie, co prawda, nie zasługuje na odpowiedź, ale odpowiem na nie, bo wiem, że dostaniesz białej gorączki. Nie sypiam z Ryersonem. Oboje uznaliśmy, że mamy mnóstwo czasu i nie będziemy się nawzajem popędzać. Bardziej nam zależy na przyjaźni, niż na tym, żeby zostać kochankami.

- Hmm. - Debby w zamyśleniu stuknęła długim, starannie opiłowanym paznokciem o blat stołu. - On jest miłym facetem, ale zauważyłam, jak na ciebie patrzył. Inaczej niż na mnie. Coś ci powiem. Ryerson ma w planie znacznie więcej niż przyjaźń. Rozmawiałaś z nim o swoim małżeństwie?

- Oboje mamy to doświadczenie za sobą i nie rozmawiamy na ten temat.

- Pytam, czy on wie, jak fatalnie układało się twoje małżeństwo z Jackiem?

Uśmiech znikł z twarzy Virginii.

- Nawet ty nie wiesz, jakie to było okropne.

- Widzisz, obserwowałam, jak od śmierci Jacka unikasz mężczyzn. Łatwo się było domyśleć, że cierpisz z powodu jakiegoś urazu. Teraz wszyscy w rodzinie wiemy, że chodzisz na randki. I bardzo się z tego cieszymy. Chcemy dla ciebie jak najlepiej, ale trochę się martwimy, co będzie dalej.

- Wiem - odparła z westchnieniem. - Każdy z was próbuje mnie chronić. To bardzo wzruszające, ale zupełnie niepotrzebne. Ryerson i ja dobrze się rozumiemy. On nie ma zamiaru żądać ode mnie czegoś, na co nie jestem jeszcze gotowa.

- Tak wysoko cenisz jego cierpliwość?

- Tak - przyznała. - Cieszę się, że mam kogoś, kto nie żąda od razu wszystkiego.

Był dla niej taki czuły, troskliwy i delikatny. Niczego jej nie narzucał. Ich znajomość rozwijała się w tempie ustalonym przez Virginie. Miała szczęście, że spotkała na swojej drodze A.C. Ryersona.

„Bez pośpiechu”. Te jego własne słowa zabrzmiały jak drwina. Jak mógł obiecać Virginii coś równie trudnego? Chyba musiał wtedy stracić rozum.

Umawiał się z nią od czterech tygodni i cały czas zżerała go niecierpliwość. Po miesiącu spotykania się z Debby wcale nie narzekał, że ten związek nie został przypieczętowany. Teraz sprawy miały się zupełnie inaczej. Bez przerwy odczuwał brak seksualnego spełnienia.

Wstał zza biurka i podszedł do okna. Z wieżowca rozciągał się widok na południową, uprzemysłowioną część Seattle. Ryerson był zadowolony, że Middlebrook Power Systems mieści się właśnie tutaj. Sąsiedztwo wielkich zakładów, na przykład Boeinga, było niezwykle ważne. Nie wątpił, że uda mu się wszystkie plany, które wiązał ze swoją firmą, zrealizować. Sprawy zawodowe układały się więc obiecująco.

Natomiast życie prywatne wymagało wielu poprawek. Cały problem w tym, że Ginny była taka ostrożna i wyraźnie bała się zaangażować uczuciowo. Nie winił jej za to. Sam podchodził do wszystkiego podobnie. Znali się dopiero miesiąc. Gdyby minęły już ze trzy, miałby uzasadnione podstawy, żeby spekulować, czy znajomość rozwija się we właściwym kierunku.

Ale on pragnął Virginii. Natychmiast. Każdego dnia zmagał się z tą dręczącą go świadomością i nic nie mógł na to poradzić.

Prymitywna część jego osobowości została rozbudzona i domagała się swoich praw. Ryerson nie wątpił, że w przyszłości oboje z Ginny zechcą tego samego. Jednego nie wiedział. Kiedy to nastąpi.

Virginia naprawdę lubiła spędzać z nim wolny czas. Odwiedzał ją prawie co wieczór, choć rozkład jazdy promu doprowadzał go do szału.

Zauważył też, że coraz bardziej zmysłowo reaguje na jego delikatne pieszczoty. Nie broniła się, ale gdy dotykał jej piersi drżała słodko, co dodatkowo wzmagало jego pożądanie. Posłusznie rozchyłała usta, ale jej pocałunkom brakowało doświadczenia. Wydawało mu się, że zachowaniem Virginii kierują dwa sprzeczne uczucia - chęć i obawa. Nie potrafił tego zrozumieć.

W końcu zawsze umiała znaleźć delikatny, ale skuteczny sposób, żeby uniknąć pójścia z nim do łóżka. A Ryerson, pomny tego, co wcześniej obiecał, nie chciał jej do niczego

zmuszać.

Z całej siły zacisnął palce na ramie okiennej. Zadrżał. Wiedział, że już długo nie wytrzyma, a w żaden sposób nie mógł przewidzieć, jak długo jeszcze Ginny będzie trzymała go na dystans. Jak na razie nie miała ochoty przekroczyć tej narzuconej im obojgu bariery intymności.

Jak najszybciej znaleźć sposób przełamania jej oporu? Ich platoniczna przyjaźń była dla Virginii wyraźnie zbyt wygodna. Może oboje powinni gdzieś razem wyjechać? Romantyczna sceneria i chwilowe oderwanie od codzienności mogło zdziałać cuda. Skłonić do innego spojrzenia na ich związek.

Wrócił do biurka, podniósł słuchawkę i wystukał numer biura podróży.

Virginia siedziała na tarasie i patrzyła w stronę zatoki pełnej cumujących jachtów. Ryerson niespodziewanie zaprosił ją dzisiaj do siebie na obiad, który sam przygotował. Łosoś z rusztu smakował wybornie. Pili właśnie kawę, gdy posłaniec dostarczył dwa bilety lotnicze.

- Wyjeżdżasz gdzieś w interesach? - spytała zaskoczona, bo nic o tym nie wspominała.

- Nie. - Popatrzył jej uważnie w oczy. - Oboje wyjeżdżamy. Ty i ja. Nie służbowo, lecz dla przyjemności. Chcę spędzić z tobą kilka dni tylko we dwoje. Mówiłaś, że jeszcze masz parę dni urlopu. Pojedziesz ze mną, Ginny?

Zastygła bez ruchu. Intuicja mówiła jej, że w ich wzajemnych stosunkach coś zaczyna się zmieniać. Czowała to i jednocześnie się bała.

- Dokąd?

- Na Toralinę czyli małą wysepkę na Morzu Karaibskim blisko wybrzeży Meksyku. Zarezerwowałem miejsca w doskonałym hotelu. Co wieczór dancing, kasyno, znakomite jedzenie i dużo piasku na plaży. Przy odrobinie szczęścia te dwie ostatnie rzeczy podadzą nam oddzielnie. Co o tym wszystkim sądzisz? Możesz pojechać ze mną?

Przełknęła nerwowo ślinę. Propozycja Ryersona całkiem ją oszołomiła. Dopiero przedwczoraj wmawiała Debby, że niewinna przyjaźń z mężczyzną jest możliwa.

Nie miała wątpliwości, o co mu chodziło. Ten wyjazd stwarzał możliwości, aby ich związek stał się bardziej intymny. Ryerson oczekiwał, że w hotelu będą mieszkać razem w jednym pokoju i spać w jednym łóżku.

Zdała sobie sprawę, że wraz z zaproszeniem dawał jej wyraźnie szansę odmowy. Zapytał przecież, czy będzie mogła wyjechać na ten urlop. To ona miała zdecydować, czy jest już gotowa przekroczyć ten próg.

Czy w ogóle potrafi to zrobić? I kiedy? Jak długo jeszcze chciała zwlekać? Parę

tygodni? Miesiący? Kładąc przed nią na stole bilety, pytał ją o to bez stów. Może więc nadszedł już czas, aby obydwójce poznali wreszcie odpowiedź. Uważała go za swego najlepszego przyjaciela, ale jeśli nie potrafi ofiarować mu tego, czego tak bardzo pragnął? Im szybciej się o tym przekonają, tym lepiej.

- Chcę pojechać z tobą na Toralinę - powiedziała cicho, dziwiąc się własnej śmiałości.

## ROZDZIAŁ 3

Virginia odczuwała chyba większe zdenerwowanie niż panna młoda przed nocą poślubną. Wciąż musiała sobie powtarzać, że to przecież zupełnie coś innego. Miała po prostu spędzić pierwszą noc wspólnie z Ryersonem.

Obiecywała sobie, że nie wpadnie w panikę. A mimo to trzęsła się cała ze strachu. Skojarzenia z jej własnym ślubem działały na nią porażająco. Niektórzy ludzie boją się pajaków lub latania samolotem. Ją przerażała już sama myśl o małżeństwie.

Próbowała o tym nie myśleć. Absolutnie nie powinna wspominać tego koszmaru, jakim okazał się związek z Jackiem.

Teraz przecież była zupełnie bezpieczna. Nie brała z nikim ślubu. Chodziło jedynie o romans. Ryerson w niczym nie przypominał jej nieżyjącego męża. Z nim łączyła ją przyjaźń. Znali się jak mało kto i mieli ze sobą tak wiele wspólnego.

To wszystko powtarzała sobie mnóstwo razy od chwili, gdy zgodziła się pojechać z nim na Toralinę. W ferworze przygotowań do wyjazdu potrafiła przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze. Wreszcie przyjechali tu i znów odezwały się w niej stare obawy. Tropikalne powietrze było aromatyczne i ciepłe. Mimo to Virginia czuła lekki chłód, który raz po raz ogarniał jej ciało.

Nie wychodziła za mąż. Zamierzała tylko kochać się z mężczyzną, który na pewno nie oczekiwał od niej zbyt wiele.

Był niepokojąco męski. Ostrzegała ją o tym kobieca intuicja. I zmysły. Miała niewielkie doświadczenie, ale potrafiła wyczuć u Ryersona potężną siłę jego seksu. Właśnie dlatego zdecydowała się na tę podróż. Oboje musieli poznać również i to oblicze ich przyjaźni.

Zaciągnęła zamek letniej sukienki z żółtego jedwabiu w kwieciste wzory. Kupiła ją specjalnie z myślą o wyjeździe na Toralinę. Szeroki, kloszowy dół kreacji falował wokół kostek, a wąskie mankiety bufiastych rękawów znakomicie podkreślały smukłość jej rąk. Łódkowaty dekolt odsłaniał obojczyki i ramiona. Debby usiłowała ją namówić do kupienia bardziej odważnego fasonu, ale Virginia nie zgodziła się paradować z niemal gołym biustem.

Rozpuściła włosy i przeciągnęła po nich grzebieniem. Spływały gładkimi falami po

obu stronach twarzy.

Włożyła jeszcze pantofle na wysokich obcasach i podeszła do okna. Daleko, aż po horyzont, widać było turkusowe morze. Bliżej rozciągał się szeroki pas złocistego piasku. Cały kurort leżał wśród łagodnych wzgórz porośniętych bujną roślinnością. W tym otoczeniu budynki hotelu odcinały się oślepiającą białą ścian od zielonego tła i czerwieni dachówki. Toralina wyglądała jak prawdziwa wyspa z bajki. To było wręcz wymarzone miejsce do rozpoczęcia płomiennego romansu i w tym celu Ryerson ją tutaj przywiózł.

Odwróciła się od okna. Wiedziała, czego teraz potrzebuje. Dużego drinka.

Przeszła przez umeblowaną wiklinowymi sprzętami sypialnię, usiłując nie patrzeć na ogromne łóżko i otworzyła drzwi do saloniku. Wzięła głęboki oddech, bo Ryerson odłożył „Wall Street Journal” i wstał. Patrzyła na niego bez słowa, chłód gdzieś w głębi duszy coś w niej drgnęło.

Pomyślała z rozmarzeniem, że Ryerson jest naprawdę atrakcyjnym mężczyzną. Prezentował się znakomicie w tradycyjnym czarnym smokingu i białej koszuli.

- A więc tak wygląda twój wakacyjny roboczy kombinezon - powiedziała żartobliwym tonem. - Wyglądasz wspaniale.

Przez moment patrzył na nią badawczo, a potem uśmiechnął się.

- To ty jesteś wspaniała. - Podeszedł bliżej, ciesząc oczy jej urodą. - Bardzo egzotyczna i trochę tajemnicza.

- Czuję się tak, jakbym nie była sobą - przyznała.

- Ja także. Od kiedy tu przyjechaliśmy, ani razu nie pomyślałem o silnikach diesla. Miejmy nadzieję, że tropik okaże się dla nas łaskawy, Ginny. Może to jest właśnie to, czego nam trzeba. - Wsunął wielką dłoń pod jej rozpuszczone włosy, schylił się i czule pocałował ją w szyję.

Virginia przymknęła powieki i znów poczuła znajomy dreszcz podniecenia. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła w spojrzeniu Ryersona zarówno nienasycenie, jak i wielką czułość. Zebrała się na odwagę, żeby zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju od dłuższego czasu.

- Ryerson - szepnęła - muszę cię o coś spytać. O coś ważnego.

Skinął głową.

- O co tylko chcesz.

- Czy ty... to znaczy, jeśli... jeśli nam się nie powiedzie i wszystko okaże się błędem, czy nadal będziesz moim przyjacielem?

- Ginny - cmoknął ją w czubek nosa - o co się martwisz, kochanie? Jesteśmy

przyjaciółmi, a zostaniemy kochankami. Nie ma mowy o niepowodzeniu. Zobaczysz.

- Ale gdyby nam się nie udało... Jeśli nie zostaniemy kochankami, to nasza przyjaźń na tym nie ucierpi? - Musiała to wiedzieć.

We wzroku Ryersona malowała się niezachwiana pewność, którą chciał przekazać Virginii.

- Naprawdę tak bardzo się tym denerwujesz?

- Trochę - szepnęła. W jej ustach zabrzmiało to jak wyznanie stulecia.

- Ginny, jesteśmy przyjaciółmi od pierwszego spotkania. Nic tego nie zmieni. Fakt, że będziemy się kochać, zbliży nas do siebie jeszcze bardziej. A teraz co powiesz o takiej propozycji, jak wieczór w raju? - Jego oczy prosiły wyraźnie o więcej niż tylko kolacja we dwoje.

- Mówisz dziś zupełnie inaczej niż poważny specjalista od systemów zasilania. - Próbowała humorem pokryć niepokój i jednocześnie zmienić temat.

Przesunął delikatnie palcem po jej nagim ramieniu.

- A twój wygląd zupełnie nie pasuje do osoby zajmującej się techniką komputerową.

Zrobiła zabawną minę.

- Nie przypominaj mi o tym. Myślisz, że przesadziłam z tą sukienką?

- Uważam, że jest doskonała.

Wyszli z pokoju i ruszyli obrośniętą kwiatami ścieżką w kierunku głównego budynku hotelowego, ukrytego za bujnymi krzewami i kępą palm. Cały teren hotelu przypominał tropikalną dżunglę, tyle że pociętą wygodnymi drózkami, które prowadziły do poszczególnych apartamentów. Goście nie mogli tu narzekać na brak prywatności.

- Wypijmy drinka na tarasie - zaproponował. - Później pójdziemy na kolację. Kasyno otwierają dopiero o dziewiątej.

- Lubisz hazard?

- Raczej nie. Czasem grywam w pokera. Ten wyjazd to dla mnie najbardziej ryzykowne hazardowe zagranie. A dla ciebie?

Bez trudu zrozumiała oczywistą aluzję i mocno się zarumieniła.

- Dla mnie też - przyznała cicho. Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Nie musisz obawiać się o wynik. Wygrasz na pewno.

Gdyby tylko mogła zrewanżować się mu tym samym...

W barze panował spory tłok. Znaleźli mały stolik w rogu tarasu i Virginia poprosiła o duży koktajl. Ryerson wolał whisky.

Po kilku łykach tequili zdenerwowanie Virginii zaczęło powoli ustępować. Niemrawa

początkowo rozmowa potoczyła się teraz o wiele swobodniej.

Kolację zjedli na świeżym powietrzu. Turystyczny folder zawierał rzetelne informacje. Jedzenie okazało się bowiem smaczne i wykwintne. Podano zupę z małży, rybę w cytrynowym sosie i owoce. Virginia czuła się teraz o wiele lepiej. Seattle zostało daleko. Jej przeszłość także. Ta wyspa miała magiczne działanie. Butelka wina, którą Ryerson zamówił do posiłku, zwielokrotniła tylko ten efekt.

- Chyba mam dzisiaj szczęście - oznajmił Ryerson, gdy skończyli deser. - Chodźmy do kasyna.

Nie różniło się ono niczym od wszystkich tego rodzaju przybytków hazardu. Wzdłuż ścian stały rzędy „jednorękich bandytów”, a przy stolikach obciążniętych zielonym sukniem krupierzy w smokingach rozdawali karty.

Ubrani odświętnie goście bawili się znakomicie. Virginia odniosła wrażenie, że znalazła się w zupełnie innym - nie znanym jej - świecie. Przez chwilę patrzyła, jak Ryerson gra w black-jacka, po czym sama spróbowała szczęścia przy automatach. Za pierwszym pociągnięciem z automatu wysypała się garść sztonów dziesięciodolarowej wartości. Dołączyła je do wygranej Ryersona.

- Miałaś rację - przyznała ze śmiechem. - Trzeba wykorzystać dobrą passę. - Od hostessy serwującej drinki wzięła kieliszek szampana. Nie mogła pozwolić, aby zniknęło poczucie cudownej bez troski.

Podniosła alkohol do ust, ale Ryerson przytrzymał ją za przegub. Patrzył na nią z mieszaniną rozbawienia i troski.

- Ostrożnie. Możesz łatwo przebrać miarę, jeśli będziesz tak dużo pić.

Zmarszczyła brwi.

- Przebrać miarę? Och, masz na myśli szampana. Nie martw się, Ryerson. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek. Obiecuję nie zemdleć w twoich ramionach.

- Mam pewne wątpliwości. - Zaczęła protestować, gdy zabrał kieliszek, ale położył jej palec na wargach. - Nie jesteś przyzwyczajona do takich szaleństw. Dzisiaj przeholujesz, a jutro będziesz chora. Kac to straszna rzecz. Szkoda, żebyśmy stracili tyle czasu.

On nic nie rozumie, pomyślała z niechęcią. Guzik ją obchodziło jutrzejsze samopoczucie. Chciała przebrnąć przez tę noc i nie ośmieszyć się.

- Nie martwi mnie myśl o małym kacu.

- Czyżby? To raczej niepodobne do mojej Virginii Elizabeth.

- Może wcale nie chcę być dzisiaj Virginią.

- W kogo zatem zamierzasz się wcielić?



- W kobietę, jakiej pragniesz.

Jego rozbawienie zniknęło w jednej chwili.

- Pragnę ciebie, Ginny. Naprawdę nie musisz udawać kogoś innego.

- Tak ci się wydaje - mruknęła. Rozejrzała się po sali i wpadła na genialny pomysł. -  
Chodźmy zobaczyć, jak grają w pokera.

Ryerson dał się posłusznie zaprowadzić do odgrodzonego sznurem podium. Przy zielonym stoliku siedziało kilku mężczyzn. Jeden z nich, rudy, około trzydziestki, był wyjątkowo pochłonięty grą. Liczba leżących przed nim sztonów rosła w szybkim tempie.

Jego partnerzy po kolei rezygnowali z dalszych zmagania i w końcu rudy został sam z pulą wygranej. Zebrał sztony, a kiedy podniósł głowę, Virginie zdumiało jego spojrzenie. Niebieskie oczy lśniły jak w gorączce. Ich właściciel musiał mocno przeżywać karciane zwycięstwo. Zauważył, że odchodzą i odezwał się:

- Hej, proszę pana, któremu towarzyszy dama w żółtej sukni. Wygląda pan jak człowiek, który lubi ryzyko. Zagramy partyjkę?

Ryerson spojrzał na niego przez ramię i grzecznie odmówił:

- Dziękuję, może innym razem.

- Jestem do usług, ale dlaczego nie dziś? A przy okazji - nazywam się Brigman. Harry Brigman. Mam dzisiaj swój dzień.

- Ja także - stwierdził Ryerson z uśmiechem. Ścisnął lekko dłoń Virginii. - Ja także - powtórzył.

- No to zbierzmy kilku graczy i przekonajmy się, co będzie - kusił Brigman.

Virginia zauważyła, że Ryerson się waha.

- Zagraj, jeśli chcesz.

- To zabawne, ale czuję, że mógłbym teraz wygrać.

- Wobec tego musisz spróbować. Ja popatrzę, - Wiedziała, że z premedytacją usiłuje odwlec moment powrotu do pokoju.

Brigman obserwował ich z uwagą.

- Taka piękna kobieta jest najlepszą maskotką, przyjacielu.

- Może i tak - przyznał Ryerson obojętnym tonem. Spojrzał na Virginie i musnął wargami jej usta. Już się zdecydował. Wszedł na podium i usiadł przy stoliku. Odwrócił się jeszcze, żeby sprawdzić, czy Virginia jest w pobliżu.

Oparła łokcie o drewnianą balustradę i uśmiechnęła się do niego uspokajająco. Partia pokera może potrwać nawet parę godzin, pomyślała. Mnóstwo czasu, żeby wykrzesać z siebie trochę więcej odwagi.

Gra rzeczywiście ciągnęła się długo. Po rozdaniu kart Ryerson szybko zapomniał o obecności Virginii. Przyglądała się im przez chwilę, lecz niewiele z tego rozumiała. Nie знаła zasad pokera. Poszła więc do baru po kolejnego drinka.

Po powrocie zauważyła, że wszyscy mężczyźni zdjęli marynarki. Można było wyczuć, że przy stoliku panuje ogromne napięcie. Uznała za dobry znak, że najwięcej sztonów zebrał Ryerson.

Podziwiała jego opanowaną technikę gry. Potrafił zachować twarz bez wyrazu. Nie ujawniała ona żadnych uczuć. Natomiast zachowanie Brigmana dobitnie świadczyło o narastającym zdenerwowaniu. Zaczynał przegrywać i był tym wyraźnie zaskoczony.

Dwie godziny później sytuacja zaczęła się wyjaśniać. Jedynie Ryerson i Brigman jeszcze grali. Na czole Brigmana błyszczały kropelki potu. Wytarł je drżącą ręką i coś powiedział.

Obaj z Ryersonem rozłożyli swoje karty na stole. Z miejsca, gdzie stała, Virginia niewiele widziała, lecz od razu zrozumiała, jaki jest wynik. Wystarczyło spojrzeć na obu graczy. Harry Brigman przegrał i to bardzo wysoko. Zerwał się z krzesła i mruknął cicho kilka słów. Następnie odwrócił się i sztywnym krokiem wyszedł z kasyna. Ryerson wstał powoli i rozprostował zeszywniałe ramiona. Podeszedł do Virginii.

- Wrócę za kilka minut.

- Dokąd idziesz?

- Brigman i ja musimy pogadać w cztery oczy. Zostań tutaj.

Czekała niecierpliwie. Cóż takiego wydarzyło się w czasie gry, że wymagało to rozmowy na osobności? Już miała wyjść za obu mężczyznami, gdy wrócił Ryerson. Brigmana z nim nie było.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? - spytała przyciszonym głosem.

Oczy Ryersona błyszczały skrywanym podnieceniem.

- Brigman spłacił swój dług, to wszystko.

- Ale dlaczego musieliście wyjść na zewnątrz?

- Cicho. Później ci powiem. Chodźmy stąd.

Wziął ją pod ramię i wyprowadził z kasyna. Ogarnęło ich balsamiczne, tropikalne powietrze. Kiedy znaleźli się za kępą wysokich krzewów, Ryerson sięgnął do kieszeni.

- Spójrz.

Trzymał w ręku nieduże etui pokryte zielonym aksamitem. Wyglądało na bardzo stare. Widok puzderka dziwnie ją ożywił.

- Co to jest?

Bez słowa podniósł wieczko. Zamarła z wrażenia. Nie mogła oderwać wzroku od tego, co zobaczyła,

Była to bransoletka. Niewiarygodnie piękna. Virginia w niemym zachwycie podziwiała jej niezwykłą urodę. W złotej, misternej oprawie spoczywały przejrzyste szmaragdy, otoczone rojem małych brylancików. Cała bransoletka emanowała niezwykłym blaskiem.

Virginia poczuła niespodziewane podniecenie i zamęt w głowie. Przez długą chwilę miała wrażenie, jakby patrzyła na przedmiot z innej rzeczywistości, należący równocześnie do przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Odezwała się w niej nagle chęć posiadania. Zachłanność, jakiej Virginia do tej pory nie знаła. Ten klejnot należał do niej i Ryersona. Wiedziała to z absolutną pewnością.

Otrząsnęła się jakoś z tego zauroczenia.

- Przecież to bransoletka.

- Szmaragdy i brylanty w bardzo starej oprawie. Tak przynajmniej twierdzi Brigman.

- Myślisz, że mówi prawdę?

- Trudno powiedzieć. Nie znam się na biżuterii.

- Jest oszałamiająca. Cudowna. Nawet jeśli to imitacja, to i tak nigdy w życiu nie widziałam piękniejszej ozdoby.

- Jeżeli to imitacja, to znakomicie wykonana. Ma nawet certyfikat wystawiony przez jubilera. - Pod aksamitną poduszczką rzeczywiście leżał złożony w kostkę kawałek papieru. - Nie określa jej wartości, ale potwierdza, że cacko pochodzi z siedemnastego wieku.

- Niesamowite.

- Też tak pomyślałem. Kiedy Brigman mi ją pokazał, wiedziałem, że muszę mieć tę bransoletkę. Przyjąłem ją jako spłatę całości długu.

- Aż tyle przegrał?

- Był mi winien dziesięć tysięcy dolarów.

Virginia osłupiała z wrażenia.

- Dziesięć tysięcy?! - jęknęła. - Aż tyle wygrałeś?

- Mówiłem ci, że wierzę w swoją gwiazdę. - Uśmiechnął się do niej odrobinę frywolnie.

- Tak, ale dziesięć tysięcy! Wprost nie mogę uwierzyć. A jeżeli nie są prawdziwe?

Zamknął pudełeczko i wsunął do kieszeni.

- Jeśli są prawdziwe, to ta błyskotka ma o wiele wyższą wartość, niż dziesięć tysięcy. Brigman był w sytuacji bez wyjścia. Nie miał dziesięciu tysięcy dolarów. Przyznam, że ten

uroczy drobiazg w pełni mnie zadowala. - Uśmiechnął się z satysfakcją. - Wypijmy jeszcze drinka. Czuję, że mi się przyda.

- Mnie także - przyznała. Kręciło się jej w głowie na samą myśl o tej partii pokera. - To zupełnie do ciebie niepodobne - mruknęła, wciąż oszołomiona.

- Co takiego?

- Grać o tak wysokie stawki.

- Droga Virginio, wieczór dopiero się rozpoczyna, a mnie dziś sprzyja szczęście - stwierdził triumfująco.

Puściła tę uwagę mimo uszu nie wiedząc, jak zareagować. Poza tym udzielił się jej radosny nastrój Ryersona. Bransoletka była rzeczywiście nadzwyczajna.

- Kto wie, może jestem tą twoją maskotką - szepnęła odważnie.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię.

Tańczyli do pierwszej. Virginia stwierdziła ze zdziwieniem, że coraz mniej przerażają ją myśl o zakończeniu wieczoru w sypialni. Przeciwnie, zaczęła nawet odczuwać nieznane i stopniowo narastające podniecenie. Wyparło ono niepokój, który nurtował ją przez cały dzień.

Zaczynała wierzyć, że wszystko będzie dobrze. Przyjaźń mogła przecież wzbogacić się o dodatkowy element czyli seks. W tańcu odruchowo przytuliła się do Ryersona, a on objął ją jeszcze mocniej. Przez materiał wyczuła kant pudełeczka z bransoletką. Stwierdziła również, że nie była to jedyna twardość, która dawała o sobie znać.

Orkiestra grała właśnie powolną, zmysłową melodię. Virginia kołysała się w takt muzyki, z głową opartą o szerokie męskie ramię i z na wpół przymkniętymi oczami, gdy usłyszała jego szept.

- Wracajmy do pokoju, kochanie. Już późno i pora się przekonać, czy szczęście mnie nie opuściło.

Delikatne i nierealne poczucie radosnego oczekiwania lekko zbladło. Próbowala się temu nie poddawać, ale na próżno. Znow powrócił szarpiący niepokój. Nie była jeszcze gotowa. Zerknęła na zegarek i powiedziała z udanym ożywieniem:

- Przecież dopiero pierwsza. Światowi ludzie nie chodzą o tej porze spać.

- Będą musieli nam wybaczyć - mruknął. Ujął ją za ramię i wyprowadził z parkietu.

Uznała, że musi się jeszcze napić.

- Co powiesz na drinka pod gwiazdami? - spytała radosnym tonem. Spojrzał na nią przeciągle.

- Oczywiście, jeśli chcesz.

- Bywalcy kurortów z pewnością tak robią.

- Nie mam zamiaru psuć tego wizerunku.

Usiedli na tarasie i zamówili brandy.

- Ślicznie tutaj, prawda? - orzekła i łyknęła potężny haust alkoholu. Zapieкло w gardle, że o mało się nie zakrztusiła.

- Tak, morze wygląda nieźle. Ale ty jesteś najpiękniejsza - powiedział cicho.

Odwróciła głowę i stwierdziła, że jego oczy mają taki sam kolor, jak srebrzysta tafla wody. W jego spojrzeniu nie było śladu żartu ani chęci flirtowania. Wiedziała, że jej pragnął i ta potrzeba była wyraźnie wypisana na jego twarzy. Virginia podniosła kieliszek do ust. Przytrzymał ją za rękę.

- Naprawdę musisz aż tyle wypić, żeby mieć ochotę iść ze mną do łóżka? Jestem twoim przyjacielem, Virginio. Możesz powiedzieć, jeśli nie chcesz się ze mną kochać.

Ogarnęła ją rozpacz. On nie był niczemu winien. Uśmiechnęła się słabo.

- Chyba jestem trochę zdenerwowana.

Odwzajemnił uśmiech. W jego oczach błysnęło zrozumienie.

- Jeśli to cię pocieszy, to ja czuję to samo. To wszystko przypomina początek miodowego miesiąca, prawda?

Zesztywniała, a następnie z trudem opanowała swoje przerażenie. Nie czekała jej przecież noc poślubna. Ryerson miał na myśli coś zupełnie innego. To był tylko niezręczny dobór słów, który tak na nią podziałał.

- Ty także jesteś zdenerwowany?

- Tak.

Trochę się uspokoiła.

- Rzeczywiście jesteśmy do siebie podobni. Nawet martwimy się o to samo.

- Uważam, że przestaniemy się martwić, gdy zaczniemy się kochać - zasugerował ostrożnie.

Zwilżyła językiem wargi. Świadomość, że i Ryerson ma jakieś obawy, nieco ją pocieszyła. Zdecydowanym gestem odstawiła kieliszek z resztką brandy.

- No dobrze, skoro sądzisz, że jakoś damy sobie radę, to nie traćmy ani chwili - wyrecytowała z determinacją. Zerwała się gwałtownie i wyciągnęła do Ryersona rękę.

- Masz rację. Nie zwlekajmy już. Jeśli jesteś gotowy, to czekam.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Nie musimy się aż tak spieszyć. Może chcesz jeszcze trochę tutaj posiedzieć...

- Nie, naprawdę nie. Co masz zrobić jutro, zrób dziś - zacytowała znane powiedzenie,

choć w jej głosie zabrzmiał alarmujący ton. Podjęła decyzję. Zrobiła to już w momencie, gdy zgodziła się na ten wspólny wyjazd. - Zaprosiłeś mnie tutaj w określonym celu i wiedziałam o tym od samego początku. Byłam tchórzem i mam tego dość. - Chwyciła Ryersona za rękę i zmusiła, żeby wstał. - Nadeszła chwila prawdy.

- Jakiej prawdy?

- Och, nieważne. - Pociągnęła go w stronę wyjścia i niemal wypchnęła na zewnątrz. - Najważniejsze, to nabrać rozpędu. Iść razem z falą i nie stracić odwagi. Zwyciężyć albo umrzeć.

Szedł za nią posłusznie w stronę apartamentu.

- Nie rozumiem cię, Virginio. Może jest coś, o czym najpierw powinniśmy porozmawiać, kochanie?

- Teraz nie pora na rozmowy - odparła dzielnie.

- Skoro tak mówisz. Ale możemy zwolnić tempo. Sama mówiłaś, że mamy przed sobą całą noc.

Zatrzymała się raptownie i okręciła na pięcie, niemal go przewracając.

- Przecież to był twój pomysł. Czyżbyś zmienił zdanie?

- Nie, Ginny, nie zmieniłem. Tylko trochę dziwi mnie twój niezrozumiały pośpiech.

- A nie powinien - stwierdziła wojowniczo. - Ja jestem gotowa. Ty jesteś gotowy. Więc zróbmy to wreszcie.

- Dobrze - zgodził się gładko. - Nie będę się spierał z tym logicznym rozumowaniem.

- Wyjął klucz i otworzył drzwi. Odsunął się na bok, a Virginia weszła do środka, pociągając go za sobą. Z rozmachem zatrzęsła drzwi.

Odwróciła się natychmiast i stanęła naprzeciwko. Trzęsła się cała z podniecenia i strachu jednocześnie. Nie miała pojęcia, które z tych uczuć wprawiało ją w taki stan.

Patrzyła Ryersonowi prosto w oczy. Sięgnęła do mankietów i szybko rozpięła małe guziczki. Przyglądał się jej z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Potem z trudem usiłowała poradzić sobie z opornym suwakiem na plecach.

Odwaga ją opuściła, gdy jedwab zaczął opadać do talii. W popłochu złapała górę sukienki i przytrzymała na obfitym biuście.

- Chcesz, żebym ci pomógł? - spytał poważnie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, skądże. Przepraszam cię na chwilę. - Wpadła do sypialni i zaczęła szaleńczo przeszukiwać komodę, usiłując znaleźć nocną koszulę, którą kupiła specjalnie na ten wyjazd. Musiała tu gdzieś być. Doskonale pamiętała, że wyjęła ją z walizki. Przycisnęła sukienkę do

piersi i schyliła się, żeby sprawdzić w dolnej szufladzie. Usłyszała za sobą kroki.

Zerwała się na równe nogi i przy okazji uderzyła głową o metalowy uchwyty.

- Cholera! - Jęknęła, rozcierając bolące miejsce. Kwiecisty jedwab zsunął się aż do bioder, ujawniając skromny, bawełniany stanik i gumkę równie przyzwoitych, białych majteczek. Chwyciła delikatny materiał i zasłoniła nim bieliznę.

- Dobrze się czujesz? - spytał Ryerson. Zauważyła, że był bez marynarki i rozluźnił węzeł krawata. W ręce trzymał etui z bransoletką.

- Świetnie - zapewniła bez tchu.

- Ginny, naprawdę wszystko w porządku? - Rzucił krawat na oparcie krzesła.

- Oczywiście, że tak. Nie ma powodów do obaw. Sytuacja jest zupełnie jasna. Dwoje dobrych przyjaciół... ma zamiar przespać się ze sobą. Było do przewidzenia, że tak się skończy, prawda?

Podszedł bliżej. Powoli rozpinał guziki białej koszuli.

- Owszem, mogliśmy oczekiwać, że do tego dojdzie. - Spojrzał w jej szeroko otwarte, niespokojne oczy. - Pragnę cię od dnia, kiedy się poznaliśmy.

Przełknęła nerwowo.

- Jesteś całkiem pewien?

Zmrużył lekko oczy, studiując w zamyśleniu jej twarz.

- Absolutnie - zapewnił. - Ale wszystko nie ma sensu, jeśli ty nie chcesz tego samego. Pragniesz mnie, Ginny?

- Tak - wydyszała. - Tak, pragnę cię. - Mówiła prawdę. Po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że go pożąda. Nie powiedziała tego, żeby mu sprawić przyjemność. Rzeczywiście chciała iść z Ryersonem do łóżka. Ale pożądać tego człowieka i móc go usatysfakcjonować, to były dwie zupełnie różne rzeczy.

- A więc nie ma problemu.

- Optymista z ciebie - mruknęła pod nosem.

- Kochanie, to ja. Twój przyjaciel, pamiętasz?

Gapiała się na jego nagą, szeroką pierś.

- Żaden z moich przyjaciół nie wyglądał tak jak ty - usłyszała swój słaby głos. Jej spojrzenie przesunęło się w dół po ciemnych, skręconych włosach. Silny, agresywny zarys jego ciała poniżej talii był tego najlepszym dowodem. Ryerson z pewnością nie przypominał nikogo z jej dotychczasowych znajomych. Był wielkim mężczyzną a jego pożądanie było równej jemu miary. I ona musiała je zaspokoić. Nie mogła dzisiaj zawieść, tak jak wtedy po ślubie z Jackiem. Teraz nie zniosłaby swojej porażki.

- Ginny, kochanie, daję ci słowo, że żadna z moich przyjaciółek ani trochę nie była podobna do ciebie. Żadna nie działała na mnie tak jak ty.

- Och, Ryerson. - Zapomniała o opadającej sukience i padła w jego ramiona.

Zaśmiał się cicho, z wyraźnym zadowoleniem i ulgą.

- Nie powinnaś się martwić - zamruczał, obejmując ją mocno.

Otworzył za jej plecami pudełeczko, wyjął bransoletkę i zapiął na przegubie ręki Virginii. Rzucił etui na blat komody i przyjrzał się wspaniałym szmaragdom.

- Jest stworzona dla ciebie - powiedział cicho.

Nie wiadomo dlaczego uznała, że miał rację. Ten piękny przedmiot pasował do jej ręki, jakby został wykonany specjalnie dla niej. Jakiś impuls kazał jej nosić go zawsze w obecności Ryersona.

Bransoletka okazała się nieoczekiwanie ciepła. To było zadziwiające. Virginia spodziewała się raczej dotyku chłodnego metalu.

- Chcesz, żebym ją miała na ręce? Teraz? W łóżku? - spytała niepewnie.

- Sądzisz, że to zbyt perwersyjny pomysł?

- Ależ nie. Może raczej nieco egzotyczny. Po prostu nigdy przedtem nie miałam na sobie biżuterii w łóżku.

- A ja nigdy nie kochałem się z kobietą w szmaragdach i brylantach. Ta noc będzie nadzwyczajna dla nas obojga. - Dotknął delikatnie ramienia Virginii, głaszcząc jej jedwabistą skórę.

Przywarła do niego całym ciałem. Wszystko będzie dobrze, o ile nie straci pewności siebie. Uścisk Ryersona sprawiał jej wyraźną przyjemność. Jego ramiona były ciepłe i silne. Ozdoba na ręce dziwnie dodawała odwagi. Virginia nie czuła już strachu, lecz delikatnie narastające podniecenie. Zaczęła wierzyć, że jakoś da sobie radę.

Najważniejsze, to zachować spokój.

Absolutnie nie wolno jej wpaść w panikę.

W pośpiechu ściągnęła koszulę z ramion Ryersona, powoli rozpięła pasek i suwak u spodni. W trakcie ich zdejmowania przypomniała sobie o butach. Cóż za dziwaczna sytuacja, pomyślała zmieszana. Przykłęka i zaczęła rozwiązywać sznurowadła. Ryerson wsunął palce w jej włosy. Ta pieśczoła wydała się jej wyjątkowo zmysłowa i wywołała przyjemny dreszcz podniecenia.

Czekał cierpliwie, aż zdejmie z niego ubranie. Starania Virginii trochę go rozbawiły, ale były niezwykle podniecające. Kiedy został tylko w slipach, zrobiła krok w tył. Potężna i bardzo męska sylwetka nieco zbiła ją z tropu.



- Hej, przecież to ja - przypomniał łagodnie. Powoli uniósł jej twarz. Srebrzyste oczy płonęły żądzą. - Teraz ty pozwól mi się rozebrać - szepnął nagle. Przyciągnął ją do siebie delikatnie, lecz stanowczo. Poczowała twardość jego ciała. Wciągnęła w płuca wyrafinowany zapach wody kolońskiej. Odezwało się w niej coś nieznanego.

Powoli zsunął w dół jedwabną sukienkę. Upadła na podłogę obok jego spodni i koszuli. Virginie poraziła myśl, że jest niemal całkiem naga.

Z przerażeniem spojrzała w twarz Ryersona, szukając śladu rozczarowania.

- Jesteś piękna - powiedział głosem nabrzmiałym od pożądania. - Wyglądasz jak marzenie każdego mężczyzny. - Uwolnił jej pełne piersi z białego staniczka i wziął w swoje dłonie ich miękki ciężar. Kciukami zaczął pieścić ich różowe koniuszki. Virginia zadrżała i przymknęła oczy.

Dotyk jego rąk był naprawdę cudowny.

Silne i wrażliwe dłonie Ryersona ześlizgły się delikatnie po jej biodrach. Objął mocno kształtne pośladki. Jęknął i jakby nie mogąc się dłużej pohamować, namiętnie ją pocałował.

Na razie wszystko szło dobrze, ale wciąż czekało ją najgorsze. Chciała to już mieć za sobą. Prawda musi w końcu wyjść na jaw.

Uwolniła się z jego ramion i rzuciła w stronę komody. Tym razem natychmiast trafiła na koszulę. Nie była zbyt seksowna - biała, z długimi rękawami i bez najmniejszego dekoltu.

Virginia zasłoniła się nią gwałtownie i ściągnęła majteczki. Następnie jednym susem wskoczyła do łóżka. Naciągnęła prześcieradło aż po samą brodę. Spróbowała uśmiechnąć się zapraszająco.

- Mam wyrzuty sumienia, że nie dałem ci więcej brandy.

- Chodź szybko, Ryerson. Nie zwlekajmy już dłużej.

- Jeśli chcesz kochać się w ten sposób - mruknął nieco zdziwiony. - Jestem gotowy, jak rzadko kiedy. Tak bardzo cię pragnę, moja słodka Ginny.

Szybko zdjął trykotowe slipy. Widok silnie podnieconego męskiego ciała odebrał jej resztkę odwagi. Ryerson bez wątpienia był niezwykle męski.

Położył się obok niej. Zadrżała, gdy ją obejmował, ale bardziej niż kiedykolwiek chciała doprowadzić do końca to, co zaczęła.

Promień księżyca padł na bransoletkę. Szmaragdy rozjarzyły się światłem. Virginia zauważyła ten błysk. Dodał jej śmiałości. Powtórzyła sobie po cichu, że postępuje właściwie.

Widziała nad sobą zarys potężnych ramion. Poczowała, że Ryerson próbuje rozsunąć jej uda. Całą siłą woli powstrzymała panikę.

Będzie dobrze. Boże drogi, musi być dobrze. Przecież to tylko Ryerson. Nie przeżyje, jeśli nie uda się jej go zaspokoić.

Pochylił się nad jej ciałem i zaczął całować piersi. Wstrzymała oddech. Delikatny drażniący dotyk języka sprawił jej rozkosz, ale nie potrafiła się cieszyć tym nowym doznaniem. Martwiła ją myśl o tym, co miało za chwilę nastąpić. Zesztywniała, kiedy zsunął rękę i dotknął wewnętrznej strony jej uda.

- Ginny?

- Tak, Ryerson? - Przyłgnęła do niego, nieświadomie wbijając mu paznokcie w ramiona.

- Powinnaś się rozluźnić.

- Nie potrafię - jęknęła żałośnie. - Wiesz, że jestem trochę zdenerwowana.

- Chyba miałem rację mówiąc, że to jest jak początek naszego miodowego miesiąca. I noc poślubna. Na dodatek wiktoriańska.

Zamarła. Co się stanie, jeżeli Ryerson straci teraz cierpliwość

- Nie bądź na mnie zły. Staram się, jak potrafię - szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Ujął delikatnie jej twarz w dłonie. W jego spojrzeniu malowało się teraz zarówno pożądanie, jak i ogromna troska.

- Wcale nie jestem zły. Próbuję jedynie zrozumieć, co tu się dzieje, do licha.

- Mieliśmy się kochać - przypomniała, szczękając zębami. - Na co czekasz?

Patrzył na nią przez chwilę przymrużonymi oczami.

- Zaraz się za to wezmę - odparł. - Ale na swój sposób.

Miała ochotę krzyknąć.

- Nie lubisz, gdy kobieta okazuje się stroną aktywną? - zadrwiła. W jej głosie usłyszał nienaturalne tony. - Myślałam, że mężczyźni uwielbiają szybkie tempo.

Potrząsnął głową. Na jego wargach zagościł przelotnie słaby uśmiech.

- Uwierz mi, nie mam nic przeciwko szybkości. Najpierw jednak musisz dotrzymać mi kroku.

- O czym ty mówisz? - spytała zmieszana.

- Chcę doprowadzić cię do odpowiedniego stanu podniecenia.

Chwylił jej dłonie i przytrzymał jedną ręką nad jej głową.

- Ryerson, co ty robisz?!

- Wybacz, kochanie, ale upuściłaś mi trochę krwi.

Przestraszyła się, bo dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak mocno wbiła paznokcie w

jego ciało.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie przepraszaj - odparł. Wolną ręką powoli rozdzielił jej uda i wsunął między nie kolano. - Na wszystko przyjdzie czas. Kiedyś na pewno twoje pazurki na plecach sprawią mi przyjemność. Teraz jednak zajmujemy się zupełnie czymś innym.

- Nie rozumiem.

- Nie szkodzi. Rozluźnij się, kochanie. Wyobraź sobie, że siedzisz przy komputerze, zbierając informacje.

- Przy komputerze! - Wbrew sobie samej parsknęła śmiechem.

- Lepiej - pochwalił i znów zaczął ją całować.

Nie spieszył się. Chciał przypomnieć Virginii każdy pocałunek, jaki wymienili od początku swojej znajomości. Zawsze sprawiało jej to przyjemność. To wiedział na pewno.

Westchnęła leciutko. Dobrze знаła wargi Ryersona. Na razie nie musiała niczego się obawiać. Poddawała się pieszczocie i chętnie rozchyliła usta.

Przez dłuższy czas nie domagał się od niej niczego więcej. Jakby zamierzał tylko całować ją aż do rana. Jęknęła cicho i przestała myśleć o tym, co miało nastąpić później. Wreszcie odezwały się jej zmysły, wprawiając stopniowo Virginie w stan przyjemnego oczekiwania. Dotychczasowy niepokój powoli ją opuszczał.

- O właśnie. To jest moja prawdziwa, seksowna Ginny. Kochanie, nawet nie wiesz, jak na mnie działasz. Od dawna pragnęłam być z tobą tak blisko.

Przemawiał do niej cicho i z przekonaniem. Dodawał jej otuchy. Najsilniej działał na nią ton jego głosu. Był przepojony namiętnością. Ryerson wielokrotnie powtarzał, jak bardzo jej pragnie i co zamierza z nią zrobić. Ze zdumieniem zauważyła, że działa to na nią coraz silniej.

Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego. Z wahaniem pozwoliła sobie odkrywać te nowe doznania.

Dała się unieść fali podniecenia. Dłonie Ryersona wędrowały leniwie po jej ciele, budząc w niej coś niezwykłego i naglącego. Wciągnął ją tajemniczy wir, któremu uległa bez protestu. Obróciła się w ramionach Ryersona, nieświadomie pragnąc otrzymać od niego jeszcze więcej.

- Tak, Ginny. Właśnie tak,

Jego ręka powędrowała w dół jej brzucha aż do miękkiego wzgórka między udami. Virginii nagle wróciła świadomość. Wiedziała już, czego się może spodziewać. Była na to przygotowana. Ale nagle znów pojawiło się dobrze jej znane napięcie. Otworzyła szeroko

oczy i szarpnęła uwiecznionymi nadgarstkami.

Trzymał ją mocno i szeptał coś uspokajająco.

- Chcę cię dotykać - zapewnił.

- Nieprawda - zaprzeczyła. - Wiem, o co ci teraz chodzi. Ja chcę tego samego. Kochaj się ze mną. Jestem gotowa.

Sprawił palcem to gorące i wilgotne już miejsce pomiędzy jej udami. Zadrżała gwałtownie.

- Rzeczywiście, jesteś o wiele bardziej gotowa, niż parę minut temu - przyznał z satysfakcją. - Ale jeszcze mnie nie dogoniłaś. A przecież chciałaś podobno objąć prowadzenie. Pamiętasz?

- Tak, ale...

- Cii... kochanie. - Zamknął jej usta głębokim pocałunkiem. - Naprawdę mamy przed sobą całą noc. Przysięgam, że w tej chwili jedynie pragnę cię dotykać.

Uznała po namyśle, że mówił prawdę. Chciał ją tylko pieścić. Zyskała więc trochę czasu. Rozluźniła się i nie powstrzymała go, gdy szerzej rozchylił jej nogi.

Pieszczoty Ryersona stały się teraz o wiele śmielsze. Jego palce błądziły delikatnie po wilgotnym wnętrzu, penetrowały je i sprawdzały reakcje. Podniecało ją to coraz bardziej i wywoływało odczucia, jakich Virginia do tej pory nie знаła. Zaczęła się instynktownie poruszać, mobilizując go do coraz bardziej intymnych pieszczot. Niezadowolona, gdy się wycofywał.

Znów spróbowała oswobodzić ręce. Nie po to jednak, żeby go odepchnąć. Teraz chciała skłonić do spełnienia obietnic, które wcześniej składał.

Uwolnił jej ręce i jęknął z zadowolenia, gdy natychmiast przyciągnęła jego rękę do tego pulsującego pożądaniem miejsca.

- O tak, dziecinko - zamruczał zadowolony. - Pokaż mi, czego chcesz. Pokaż mi dokładnie, jak mocno i głęboko mogę cię dotykać.

Nie mogła już dłużej tłumić tego nowego, zachwycającego doznania. Wygięła się spazmatycznie w łuk. Zaszlochała i kurczowo przyciągnęła Ryersona do siebie.

Nie czekał już dłużej. Przycisnął ją swoim ciałem i wszedł w nią gwałtownie akurat wtedy, kiedy Virginię wstrząsnął ekstatyczny dreszcz.

Poczuła go w sobie i głośno krzyknęła. Ta inwazja wprawiła ją w zachwyt i wywołała jeszcze jedną falę intensywnej rozkoszy. Virginia przyłgnęła do Ryersona i silnie oplótła go nogami. Szeptem powtarzała bez końca jego imię, gdy zagłębiał się w nią raz po raz.

Teraz on wyprężył się nagle i wykrzyczał jej imię. A gdy minęło to najwyższe

upojenie, przywarł do niej całym ciałem i oboje odpłynęli w błogi sen.

Promienie księżycy znów spoczęły na szmaragdach i brylantach. Zapaliły w nich żywe błyski. Złota bransoletka na przegubie ręki Virginii była cieplejsza niż kiedykolwiek.

## ROZDZIAŁ 4

Ryerson obudził się tuż przed wschodem słońca. Przez chwilę leżał nieruchomo. Obok siebie wyczuwał zarys ciepłego, kobiecego ciała. Przez nie domknięte żaluzje przesączało się blade światło poranka.

Nigdy w życiu nie czuł się lepiej niż dziś.

Wyobraził sobie, że on i Ginny są jedynymi mieszkańcami odległej planety, którą trzeba zaludnić. Ten pomysł wydał mu się całkiem interesujący. Jego realizacja wymagałaby, oczywiście, dużo wysiłku. Prawdopodobnie musiałyby spędzać większość czasu w bardzo monotony sposób, leżąc w łóżku z Virginią.

Virginia poruszyła się lekko i promień słońca zapalił błyski na szmaragdach. Ryerson leniwie zsunął prześcieradło i odkrył ją aż do talii. Z przyjemnością patrzył na rozsypane na poduszce włosy, pełne piersi i łagodnie zaokrąglone ramiona. Uśmiechnął się z zachłanną satysfakcją. Naga Ginny była wspaniała - jak bujna, pogańska bogini. Bransoletka potęgowała jeszcze to wrażenie. Już sam tylko widok ciała tej kobiety zaczynał go podniecać.

Cofnął się myślami do wydarzeń minionej nocy. Intensywnością doznań przewyższała jego wszystkie dotychczasowe doświadczenia erotyczne. To oczywiste, pomyślał z rozbawieniem. Nigdy przedtem nie kochał się z dziewczyną, z którą łączyła go prawdziwa przyjaźń.

Pierwszy raz spotkał kogoś takiego, jak Ginny. Zachwyciła go swoim oddaniem i namiętnością oraz niezwykłą kobiecą intuicją. Pasowali do siebie idealnie pod każdym względem. Zastanawiający wydawał się tylko początkowy niepokój Virginii. Jak mogła tak w siebie wątpić? A może jej obawy dotyczyły jego osoby? Czyżby przyczyną dziwnego zachowania się Virginii była myśl, że on się nie sprawdzi? Że nie dorówna w łóżku wspomnieniom jej współżycia z mężem?

Chyba jednak nie miał powodów, aby się tym martwić. Przypomniawszy sobie jej reakcje. Początkowo była wyraźne skrepowana, ale w końcu zdołała nad tym zapanować. Uległa mu całkowicie. Teraz należała do niego. Ciekawe, czy jego gwałtowna, rosnąca zachłanność nie będzie kolidować z jej definicją przyjaźni?

Napłynęła kolejna fala wspomnień. Zmysły Ryersona zareagowały natychmiast. Nie

mogło być inaczej, bo pomyślał o tym, w jaki sposób otoczyła nogami jego biodra. Jak kurczowo przyłgnęła do niego w chwili najwyższej rozkoszy. Jej oczy rozszerzyły się najpierw ze zdumienia, a potem przymknęły w momencie najwyższej ekstazy. Pamiętał, że z niemym oszołomieniem poddała się w końcu rozbudzonej żądzy swego ciała. Zupełnie jakby nie była już mężatką i nie miała tego rodzaju przeżyć. Całkiem możliwe, że jej mąż niewiele w łóżku potrafił.

Ryerson spojrział na prześcieradło, którym był przykryty od pasa w dół i uśmiechnął się. Dostyc już tego fantazjowania. Najwyższy czas, żeby Adam zbudził swoją Ewę.

Obrócił się na bok, zamierzając ją pocałować, ale coś go powstrzymało. Pierwszy ranek po wspólnie spędzonej nocy zdarza się tylko raz. Chciał nacieszyć się tą niepowtarzalną chwilą.

Virginia wyglądała tak niewinnie, a jednocześnie zmysłowo. Leżała odwrócona do niego plecami. Gęste, brązowe włosy miała odgarnięte z czoła, a długie rzęsy rzucały cień na policzki. Prześcieradło, którym była przykryta w dół od pełnych piersi, skrywało kuszącą krągłość bioder. Virginia Elizabeth była wspaniale zbudowana.

A na dodatek jej ciało miało na niego zadziwiająco silny wpływ. Nigdy nie zależało mu na tym, żeby jakakolwiek kobieta, z którą się kochał, drżała bezradnie w jego ramionach. Nigdy też tak bardzo nie pragnął od kobiety całkowitego oddania. Tak było aż do wczoraj.

Virginia znów się poruszyła i podciągnęła jedną nogę w górę. Ryerson oparł się na łokciu. Odruchowo przejechał palcami po kamieniach wspaniałej bransoletki. Pochylił się i pocałował ciepłe, nagie ramię.

- Obudź się, kobieto. Mamy dużo pracy.

Przeciągnęła się rozkosznie. Na ustach zagościł przelotny uśmiech, bo zdała sobie sprawę, gdzie i z kim jest. Było coraz widniej, a powietrze wpadające przez okno przynosiło zapach morza i tajemniczy aromat egzotycznych kwiatów.

Pamiętała, że tej nocy fale miłości ogarnęły ją całą, uniosły wysoko na swoich spienionych grzbietach i rzuciły na złocisty brzeg. Przeżyła coś niesłychanie podniecającego i erotycznego. W końcu poznała smak przygody, o jakiej przedtem nigdy nie śniła. Do tej pory nie wierzyła, że takie doznania są w ogóle możliwe. Uchyliła leniwie jedno oko.

- Jakiej pracy? - powtórzyła ziewając. - Jesteśmy przecież na wakacjach.

- Tak ci się wydaje. Musimy zaludnić całą planetę. - Objął pierś i drażnił różowy koniuszek wewnętrzną stroną dłoni.

- Musimy co zrobić? - Spojrzała na niego zdumiona.

- Spokojnie. Damy sobie radę. O ile weźmiemy się zaraz do dzieła.

- Chyba chcesz mojej zguby, Ryerson.

- Skądże. Teraz już nie pozwolę ci się wymknąć.

W jego oczach było tyle zmysłowego zadowolenia, że aż się zaczerwieniła.

- Co to za pomysł z tym zaludnianiem?

- Och, po prostu nieszkodliwe fantazjowanie. Musiałem jakoś zabić czas, czekając aż wasza wysokość obudzi się. Zresztą spójrz za okno. Wokół nas jest prawdziwa bezludna wyspa.

Zerknęła leniwie.

- Uhm. Rozumiem, co masz na myśli. - Przykryła jego ruchliwą rękę swoją i spojrzała na niego uważnie. - Rzeczywiście odnoszę wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w innym świecie. Sama też czuję się inaczej niż zwykle. Nie sądzisz, że ten tydzień będzie zupełnie wyjątkowy?

- Na pewno. - Zsunął z niej prześcieradło jeszcze niżej. Kciukiem przez cały czas pocierał delikatnie koniuszek piersi, który szybko twardniał. - Co to znaczy, że czujesz się inaczej?

Zawahała się, myśląc o radosnych przeżyciach tej nocy.

- Powiedzmy, że nie czuję się jak osoba nadzorująca wdrażanie systemów komputerowych.

- Ja też nie myślałem dzisiaj o silnikach diesla. Nie odpowiedziałas mi jednak na moje pytanie.

Wiedziała, do czego zmierzał i postanowiła się wykręcić. Miała nadzieję, że uśmiech, jaki zaprezentowała, był dostatecznie zapraszający. Z rozmysłem zaczęła bawić się skręconymi włosami na jego klatce piersiowej i spojrzała znacząco na jego przykryte biodra.

- Szkoda czasu na pytania. Uważam, że masz ważniejsze sprawy.

- Szybko się uczysz - zauważył z frywolnym uśmiechem. - Skąd ci przyszło do głowy, że przy pomocy seksu możesz rozproszyć moją uwagę?

Otworzyła szeroko oczy jak wcielenie niewinności.

- Nie mam o tym zielonego pojęcia. Czy to na ciebie tak właśnie działa?

Udał, że się nad tym poważnie zastanawia.

- Czy ja wiem. Może i tak. Chwilowo. Jeśli naprawdę się postarasz.

Odrzuciła prześcieradło i wsparła na łokciu.

- Jestem niezwykle pracowita – zapewniła. Popchnęła go lekko. Ryerson posłusznie przewrócił się na wznak i czekał. W jego spojrzeniu malowało się zmysłowe wyzwanie. Patrzyła na niego z pewnością siebie, którą zdobyła tej nocy. Już teraz wiedziała, jak Ryerson



zareaguje na każde jej dotknięcie. Ta świadomość była niezwykle podniecająca i dawała poczucie władzy nad nim.

Bez żadnych zahamowań przesunęła palcami aż do jego ud. Poczwała, że był gotowy. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Pieściła go delikatnie, aż Ryerson jęknął i chciał przyciągnąć ją do siebie. Wymknęła się lekko z jego rąk, śmiało pochyliła głowę, a jej wargi i język przystąpiły do równie podniecających pieszczot jak te, którymi wcześniej on ją obdarzył.

Wciągnął gwałtownie powietrze.

- Och, Ginny, sama nie wiesz, co robisz.

- Naprawdę? A więc co ja robię?

- Igrasz z ogniem. - Chwycił ją i posadził na sobie w taki sposób, żeby udami objęła jego biodra. Uznała, że ta pozycja jest zadziwiająco wygodna. Oparła się na kolanach i patrzyła na niego z zadowoleniem. Uśmiech Ryersona świadczył o tym, że doskonale wie, co ona odczuwa. Teraz on zaczął ją głaskać i pobudzać te wszystkie ukryte, tajemnicze miejsca, które szybko robiły się coraz cieplejsze i bardziej wilgotne. Virginia odchyliła do tyłu głowę i westchnęła. Wtedy pogłębił intymny dotyk.

- Przysuń się trochę bliżej, kochanie. - Powoli naprowadził ją na swoją wyprężoną męskość. Opuścił ją ostrożnie i wypełnił sobą. - To jest cudowne. Tak bardzo podniecające. Zostałaś chyba stworzona specjalnie dla mnie. Tak doskonale do siebie pasujemy.

Virginia rozkoszowała się jego pożądaniem, czując jednocześnie, jak Ryerson zatapia się głęboko w jej wnętrzu. Teraz zaczęła się wolno poruszać, a jego palce pracowicie kontynuowały rozpoczętą grę.

Gorące spełnienie nadeszło szybko. Ogarnęło ich na kilka wspaniałych chwil, które zdawały się nie mieć końca. Virginia opadła bezsilnie na pierś Ryersona. Nigdy nie spotkało jej nic lepszego. Dotychczas wątpiła w swoją kobiecość. Dziś po raz pierwszy przekonała się, że potrafi zaspokoić mężczyznę i w zamian otrzymać od niego to samo.

Po namyśle zdecydowała, że dobrze jest być dozgonną przyjaciółką A.C. Ryersona.

Nie było jej dane zbyt długo cieszyć się tymi rozważaniami. Ryerson wrócił na ziemię o wiele za szybko. Klepnął ją lekko w pośladek i ułożył na pościeli. Wstał z łóżka, przeciągając się energicznie.

- Teraz mała kąpiel i pora coś zjeść. Umieram z głodu.

- Zawsze jesteś rano taki żwawy?

- Żwawy? - Uniósł znacząco jedną brew. - Rano bywam wygłodzony. Zazwyczaj marzę o śniadaniu, ale dzisiaj czuję ochotę na ciebie i na śniadanie. A ponieważ to pierwsze

już dostałem, więc...

- Teraz marzysz tylko o pełnym talerzu - dokończyła żalonym tonem.

Pochylił się nad nią z przewrotnym uśmiechem.

- Przecież wymieniałem cię na pierwszym miejscu. Nie narzekaj. Jeśli będziesz grzeczna, to może wezmę cię ze sobą pod prysznic.

Rzuciła mu powłóczyście spojrzenie.

- Rozumiem, że będzie to atrakcyjne.

Parsknął śmiechem i chwycił ją w ramiona.

- Zaraz się przekonasz - odparł wyniośle i zaniósł ją do łazienki.

Nie broniała się. Od czasów dzieciństwa nikt nie nosił jej na rękach. Była teraz zbyt oszołomiona, żeby się odezwać.

Musiała później przyznać, że wspólna kąpiel miała swoje dobre strony.

Wszystkie te urocze poranne przyjemności nie mogły, niestety, sprawić, aby Ryerson zapomniał o swoich pytaniach. Zyskała tylko trochę na czasie. Po śniadaniu wyszli na spacer wzdłuż brzegu. Pogodziła się już z myślą, że bliscy przyjaciele na ogół opowiadają sobie szczerze o własnych problemach. Była już przygotowana psychicznie na tę rozmowę.

Ryerson wziął ją za rękę.

- Chciałbym wiedzieć - zapytał ostrożnie - co cię gnębiło, kiedy wieczorem wszelkimi sposobami usiłowałaś dodać sobie odwagi, zanim poszłaś ze mną do łóżka.

Skrzywiła się.

- Nie było aż tak źle. Przynajmniej niezupełnie.

- Było dokładnie tak.

- Już ci mówiłam. Zdenerwowałam się. Minęło dużo czasu od śmierci mego męża. No, czułam się trochę niezręcznie.

- Uważam, że byłaś śmiertelnie przerażona. Zgodziłaś się ze mną przespać i chciałaś jak najszybciej mieć to poza sobą. Czego się obawiałaś?

Kopnęła piasek bosą stopą i przez chwilę patrzyła na morze. Miał prawo wiedzieć. Jak na kobietę w jej wieku i z małżeńskim doświadczeniem, zachowywała się przecież zupełnie dziwnie.

- Trudno mi to wyjaśnić.

- Chodziło o mnie? Bałaś się, że nie spełnię twoich oczekiwań? - spytał bez ogródek.

Spojrzała na niego z bezgranicznym zdumieniem.

- Ależ skąd!

- Więc wytłumacz mi to, Ginny. Potrafię cierpliwie słuchać.

- Wiem. Przyznaję, że potwornie się bałam.

- Tak przypuszczałem. Ale dlaczego?

- Wydaje ci się, że jestem pewną siebie, dojrzałą kobietą, ale w tej jednej dziedzinie brakuje mi śmiałości. A raczej brakowało. Aż do wczoraj. - Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. - Ryerson, chcę żebyś wiedział, jak wiele tobie zawdzięczam.

Otoczył ją ramieniem.

- Nie muszę ci mówić, że ja czuję to samo.

- Cieszę się.

- To miało jakiś związek z twoim małżeństwem, prawda?

- Zdziwił cię mój niepokój?

- Zauważyłem coś więcej, Ginny. Sam byłem zdenerwowany, ale twój stan graniczył z paniką. Ta decyzja musiała cię cholernie dużo kosztować. Dlaczego?

Marzyła, żeby już mieć tę rozmowę za sobą.

- No dobrze, skoro pragniesz poznać każdy drastyczny szczegół... Mówiąc krótko, moje małżeństwo okazało się tragicznym błędem. A ja, dzięki swojej naiwności uwierzyłam, że to wyłącznie moja wina.

- Co cię skłoniło do takiej oceny?

Jej twarz przybrała surowy wyraz.

- Lepiej zacznę od początku. Jack pracował dla mojego ojca. Uznano go za wschodzącą gwiazdę. Szybko wspinał się po szczeblach kariery. Kiedy zaczął się do mnie zalecać, rodzina stwierdziła, że nasze małżeństwo to wspaniały pomysł. Przyznaję, że Jack zawrócił mi w głowie. Był przystojny i czarujący. Wiedziałam, że trochę za mało go znam, ale wszyscy za nim przepadali i moje obawy szybko wydały mi się śmieszne.

- Jednym słowem zignorowałaś swój instynkt, polegając na ocenie innych?

- Nie całkiem tak było. Naprawdę wierzyłam, że jestem w nim zakochana. Inaczej bym za niego nie wyszła. Jack potrafił zafascynować swoją osobą. Ale nasz związek od początku nie miał żadnych szans. Wszystko zaczęło się już podczas naszej nocy poślubnej. Jack zdołał jakoś wypełnić swoją - hm - małżeńską powinność, lecz daleki był od pełnego sukcesu. Ja także przeżyłam gorzkie rozczarowanie. Myślałam, że nie potrafię zaspokoić swego męża. On robił co mógł, żeby mnie utwierdzić w tym przekonaniu. Wmówił mi, że nie ma we mnie za grosz seksu. Stosował różne metody, żeby straciła wiarę w siebie. W tej dziedzinie wykazywał autentyczny talent. Umiał manipulować ludźmi i dyktować im swoje warunki. Zrozumiałam o wiele za późno, że trafiłam na oszusta.

- Wyszłaś po prostu za łobuza. - Objął ją mocniej. - Zdarza się.

- Pewnie tak. Jack postawił sprawę jasno - nie byłam dla niego ideałem kobiety. Nie robił tajemnicy ze swoich upodobań. Jak na jego gust byłam za wielka i za obfita. Wolał dziewczyny drobne i delikatne. Zważyłam w sobie. Przez całe miesiące próbowałam zrozumieć, co zrobiłam źle i dlaczego on w ogóle się ze mną ożenił. Ustępowałam mu na każdym kroku i bezskutecznie usiłowałam go jakoś ułagodzić. Sądziłam, że tak postępuje dobra żona. Byłam idiotką. Trochę trwało, zanim poznałam prawdę.

- Jaką prawdę?

- Jack wziął ze mną ślub z jednego powodu. Liczył na to, że mój ojciec przekaze Middlebrook Power Systems swojemu kochanemu zięciowi.

- A więc sprawa się wyjaśniła. Dlaczego, u licha, nie wystąpiłaś o rozwód?

- Przez jakiś czas łudziłam się, że uratuję nasze małżeństwo. Wydawało mi się, że nie powinnam tak od razu zrezygnować. Wszyscy wokół z zachwytem twierdzili, że Jack jest wspaniały, a ja wygrałam los na loterii. Ale w końcu się załamalam. Poszłam do adwokata i wszczęłam kroki rozwodowe. Jack wpadł w szal, kiedy mu o tym powiedziałam. Zagroził, że zrujnuje mojego ojca.

- Jak, do cholery, mógł to zrobić?

- Miał duże wpływy. Pod pretekstem pomagania tacie praktycznie przejął kontrolę nad firmą. Mógł ją łatwo zniszczyć. Zdążyłam już wtedy przekonać się, co naprawdę potrafi. Nie cofnęłyby się przed niczym.

- Powiedziałaś o tym ojcu?

- Bałam się, że mi nie uwierzy. Uwielbiał Jacka. Chwilowo zrezygnowałam z rozwodu. Wierzyłam, że z czasem znajdę jakieś rozwiązanie. Nie sypiałam z Jackiem, ale jemu wcale to nie przeszkadzało. Nigdy nie ukrywał, że w łóżku jestem beznadziejna i zupełnie go nie pociągam. Znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. Myślałam, że zwariuję. Postanowiłam jednak porozmawiać z tatą. Wtedy dotarła do mnie wiadomość, że Jack zginął w wypadku. To okropne, ale poczułam ulgę. Nagle byłam wolna.

- Po dwóch latach piekła. Dlatego postanowiłaś nigdy więcej nie ryzykować.

Odetchnęła głęboko. Ryerson był pierwszym człowiekiem, który znał całą prawdę o tym, co przeszła.

- Później mój ojciec wyznał, że od jakiegoś czasu miał co do Jacka spore zastrzeżenia, ale nie chciał mi nic mówić. Cóż za ironia losu.

- Moja biedna Ginny. Nic dziwnego, że zniechęciłaś się do małżeństwa. Tamten związek utwierdził cię w fałszywym przekonaniu, że jako kobieta nie jesteś nic warta.

- Owszem.

Zatrzymał się i ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie.

- Virginio Elizabeth, jak mogłaś tak zwątpić w siebie?

Przytuliła policzek do jego ręki.

- Po śmierci Jacka postanowiłam, że nie wyjdę drugi raz za mąż. Małżeństwo nic dla mnie nie znaczy. Natomiast zawsze będzie symbolizowało pułapkę. Czasem pragnęłam jednak mieć dobrego kolegę, przyjaciela.

- Byle nie kochanka?

- Bałam się - przyznała uczciwie. - Byłam przekonana, że nie potrafię zaspokoić mężczyzny. Kiedy zjawileś się u mnie, uznałam, że mógłbyś zostać moim przyjacielem. Nie wiedziałam jednak, co zrobię, jeśli zażadasz czegoś więcej. Co gorsza, zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później będę musiała podjąć taką decyzję.

- I próbowałaś ją opóźnić?

- Usiłowałam zyskać na czasie. Byłeś bardzo tolerancyjny, ale zauważyłam twoją niecierpliwość. Zrozumiałam, czego naprawdę pragniesz, gdy kupiłeś te bilety. Umierałam ze strachu na myśl o tym, co nastąpi. Próbowałam sobie wmówić, że jeśli się postaram, a ty nie będziesz zbyt wiele wymagać, to może jakoś przez to przebrnę i cię nie zniechęcę.

Niecierpliwie potrząsnął głową.

- Teraz rozumiem, dlaczego potrzebowałaś trzech koktajli, pół butelki wina i jeszcze trochę brandy. Ależ z ciebie głuptasek - dodał kłiwie. - Seks powinien przynosić radość, a nie zmieniać człowieka w kłębek nerwów.

- Ani mi była w głowie własna przyjemność - przyznała. - Z przerażeniem myślałam o tym, w jaki sposób zniosę twoją pogardę. Wciąż sobie powtarzałam, że przecież jesteśmy przyjaciółmi, ludźmi podobnymi do siebie i że ty nie oczekujesz cudów. Tyle, że ja nie potrafiłam wykrzesać z siebie nawet maleńkiego płomyczka.

- Mylisz się - zaprzeczył. - Oczekiwałem cudu. Za każdym razem, gdy cię całowałem, czułem narastającą napiętność. Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że wspólnie potrafimy osiągnąć prawdziwą rozkosz.

Zaczerwieniła się aż po nasadę włosów.

- To miło, że miałeś do mnie tyle zaufania, bo ja wcale w siebie nie wierzyłam.

Objął ją i z czułością przytulił jej głowę do swego ramienia.

- Czy spodobały ci się te fajerwerki, kiedy je już odkryłaś, kochanie?

Wyczuła w jego słowach męską satysfakcję i zachichotała.

- Doskonale wiesz, że tak. I na pewno zamierzasz sobie przypisać całą zasługę?

W jego śmiechu odezwał się zmysłowy ton.

- Wspaniałomyślnie mogę i ciebie pochwalić. Jesteś najbardziej seksownym stworzeniem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. - Pocałował ją namiętnie i mocniej przygarnął. Przestał się uśmiechać. - Ginny, przeżyłem z tobą coś niezwykłego - powiedział ze wzruszeniem. - Będziemy razem bardzo szczęśliwi.

Rozluźniła się w jego ramionach. Początek romansu okazał się sukcesem. Znalazła odpowiedniego mężczyznę. Dobry przyjaciel został jej kochankiem.

Szmaragdy i brylanty bransoletki rozbłysły w słońcu.

Po południu Virginia zajrzała do hotelowego butik. Natychmiast zauważyła uroczą sukienkę. Nawet Debby pochwaliby ten wybór. Poprzednio Virginia nigdy nie zwróciła uwagi na taki strój. Zielony fatałaszek z delikatnej, lekko przejrzystej bawełny miał na dole kilka obszytych złotą lamówką falbanek, a w talii tęczową szarfę. Najbardziej interesująca była jednak góra.

Virginia nigdy w życiu nie miała żadnego ciuszka z tak śmiałym dekoltem. Nie zastanawiając się kupiła tę sukienkę.

Włożyła ją na siebie wieczorem. Wyszła z sypialni, a Ryerson podniósł głowę znad gazety. Był wyraźnie zaskoczony, a po chwili w jego oczach błysnęło pożądanie.

- Śliczna, prawda? - Okręciła się na jednej nodze, chcąc zademonstrować falbaniastą spódnicę. - Jest wymarzona do tańca. No i bransoletka wspaniale do niej pasuje.

- Owszem - odparł krótko. - Ale na miłość boską tylko czegoś nie upuść.

- Dlaczego?

- Jeśli się schylisz, góra tej szmatki z ciebie spadnie.

- To tylko tak się wydaje. Ta sukienka wspaniale się trzyma.

Uniósł sceptycznie brwi i powoli przesunął palcem wzdłuż linii wycięcia. Virginia zdrząła rozkosznie.

- Znam się trochę na technice. Możesz mi wierzyć, że nie jesteś w tym bezpieczna. Więc pamiętaj, żeby siedzieć prosto.

- Nie zapomnę - obiecała słodko i wyprostowała ramiona. Gdy wychodzili, odwróciła głowę i uśmiechnęła się do własnych myśli.

Wieczorne powietrze było nasycone zapachem kwiatów. Przez cienkie podeszwy sandałków Virginia czuła ciepło rozgrzanej od słońca terakoty. Właśnie miała zamiar coś na ten temat powiedzieć, gdy przed nimi ktoś wyszedł na ścieżkę.

- Halo, Brigman.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Na ich widok wyraźnie się uspokoił. Zerknął szybko w stronę przegubu Virginii.

- Dobry wieczór. Czyżby na kolację?

- Mieliśmy zamiar wypić najpierw drinka - wyjaśnił Ryerson.

- Świetny pomysł. Mogę się przyłączyć?

Ryerson zawahał się i Virginia wiedziała, że usiłował znaleźć jakiś powód, żeby odmówić. Najwyraźniej nic sensownego nie przyszło mu do głowy.

- Jasne - zgodził się szorstko.

- Dzięki. Widzę, że wygrana przypadła pani do gustu. - Znów spojrzał na bransoletkę. Beznamiętny głos rasowego hazardzisty prawie nie ujawniał ukrytego napięcia. - Muszę przyznać, że szmaragdy i brylanty dodają kobiecie urody. Ryerson, kiedy da mi pan szansę rewanżu? Chciałbym odzyskać tę błyskotkę.

Virginia odruchowo ukryła rękę w fałdach sukienki. Ryerson powiedział coś niezobowiązującego.

- Często grywa pan w pokera? - spytała.

- Tak zdobywam środki na utrzymanie - odparł, wzruszając lekko ramionami.

- Żyje pan z kart?!

- No cóż, jestem w tym dobry. Zarabiam tyle, że stać mnie na mieszkanie w takim luksusowym miejscu, jak to. - Machnął dłonią w kierunku eleganckiego kompleksu hotelowych budynków. - Nie narzekam. Takie życie jest ciekawe, a jedyne, czego nie mogę znieść, to nuda. Na Toralinie czy gdzie indziej - wszędzie tu na wyspach można znaleźć chętnych do gry. Nikt nie ma za złe, jeśli paru gości siądzie przy zielonym suknie i ustali własne zasady. Szczerze mówiąc, na ogół nie przegrywam. Pan mnie wczoraj zaskoczył, Ryerson. Nigdy bym nie podejrzewał, że trafiłem na zawodowca.

- Bo nim nie jestem. - Ton głosu Ryersona był chłodny. - Po prostu miałem szczęście.

Brigman w zamyśleniu przymrużył oczy. Nie wydawał się przekonany.

- Cóż, moja oferta jest aktualna. Proszę mi dać znać, jeśli znów poczuje pan ten fart. Myślę, że wygram dziś dostatecznie dużo, żeby się z panem zmierzyć. Z chęcią się odegram.

- Dziękuję za propozycję. Pomyślę o niej.

- Koniecznie. Muszę przyznać, że ta bransoletka miała dla mnie szczególne znaczenie.

Wie pan, to rodzinny klejnot, prezent od mojej babki i zarazem maskotka.

- Rozumiem.

Virginia odetchnęła z ulgą, gdy Brigman usiadł w najdalszym kącie baru. Dotknęła bransoletki, jakby chciała sprawdzić, czy jest bezpieczna.

- Nie lubię tego typu - stwierdziła, gdy znaleźli wolny stół. - Wyczuwam w nim jakiś fałsz. Trochę przypomina mi Jacka. Chyba nie masz zamiaru dać się namówić na pokera? Nie

zagrasz o bransoletkę?

- Nie martw się. Straciłem zainteresowanie hazardem. Wczoraj dziwnie ciągnęło mnie do gry, ale dziś już mi przeszło. Ta bransoletka musi zostać z nami. Zaczynam traktować ją jako symbol.

- Symbol czego?

Spojrzał na nią poważnie przez szerokość stołu, który ich rozdzielał.

- Nie jestem pewien. Może jako symbol tego, co odnaleźliśmy wspólnie, gdy się kochaliśmy. Szmaragdy i brylanty pasują do namiętności, prawda?

Oczy zapłonęły jej szczęściem. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Ryersona.

- Myślę, że trudno o lepszy wybór.

Zamiast odpowiedzieć w jakiś serdeczny sposób, Ryerson zmarszczył nagle brwi i syknął:

- Usiądź prosto, Ginny. Widać ci prawie cały biust.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś taki pruderyjny - zauważyła, ale posłusznie wyprostowała plecy.

- Kobieta, która nosi skromną, bawełnianą bieliznę nie powinna mieć mi tego za złe.

Zamrugła niepewnie oczami zastanawiając się, czy mówił serio, ale dostrzegła w jego oczach błysk humoru. Odetchnęła.

- Hm, zrobiłam postępy. Przyjrzyj się dobrze, Ryerson. Nie mam dzisiaj na sobie stanika od Searsa.

- Rzeczywiście. - Zatrzymał wzrok na przyjemnych okrągłościach, które ujawniał ogromny dekolt. - Cofam słowa o pruderii. A więc co masz na sobie pod tym ciuszkiem?

- Zupełnie nic - przyznała radośnie. Oparła brodę na złożonych dłoniach. W rezultacie góra sukienki opadła jeszcze niżej. - Poza tym mam wrażenie, że nie jestem dzisiaj taka, jak zwykle.

Z trudem oderwał wzrok od jej piersi. Spostrzegł, że patrzy na niego poważnie, więc powstrzymał się od bezwstydnego komentarza i zamiast tego odparł:

- Wiem, co masz na myśli. Ja także czuję się jakoś inaczej.

- Może to początek naszego przeobrażenia.

- Jakiego przeobrażenia?

- Chodzi mi o to, że obojgu nam się wydaje, jakbyśmy rozpoczęli nowe życie. Odezwała się w nas jakaś awanturzysta nuta czy coś w tym rodzaju. - Wzruszyła ramionami.

- Przestań się tak wiercić.

- Byłoby zabawnie, gdyby się okazało, że dała o sobie znać nasza prawdziwa natura -



ciągnęła w zamyśleniu. - Być może naszym przeznaczeniem jest być parą egzotycznych włóczęgów, podróżujących z wyspy na wyspę.

Patrzył na nią z lekkim rozbawieniem.

- Skąd wzięlibyśmy pieniądze na takie życie?

- Ty przecież tak dobrze grasz w pokera. Brigman z tego właśnie żyje.

- Nie łudź się - odparł ze śmiechem. - Daleko mi do Brigmana. Wczoraj coś mnie podkuśiło i zaryzykowałem. Wciąż nie rozumiem, dlaczego. Okazało się, że mam szczęście nie tylko w kartach. - Puścił do niej oko. - Coś ci powiem. Nie zajechalibyśmy daleko, polegając na moich karcianych talentach. Zostanę raczej przy silnikach.

- Tak w ciebie wierzyłam, Ryerson. Na pewno dałbyś sobie radę, gdybyś tylko zechciał spróbować.

- Naprawdę? A co będzie, kiedy pierwszy raz wszystko przegram?

- Wręcę ci miłą nagrodę pocieszenia - obiecała, pochylając się w jego stronę.

- Sukienka prawie się zsunęła z ciebie i jeżeli natychmiast nie przestaniesz się wiercić, to sam wezmę dwie takie nagrody.

Posłała mu olśniewający uśmiech.

Zamówił whisky takim głosem, że kelnerka serwująca napoje nieomal podskoczyła.

Tego wieczoru czuł się, jakby go ktoś zaczarował. Miał za sobą doświadczenia w dziedzinie seksu i udane przyjaźnie, ale nigdy nie przeżywał czegoś tak magicznego, jak to, co łączyło go z Virginią. Czuł, że zaczyna go oplatać lśniąca, niewidzialna pajęczyna.

Odezwały się w nim jakieś nieznane, pierwotne instynkty. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był taki zaborczy. Bez przerwy kontrolował głębokość jej dekoltu. Łapał się na tym, że patrzy agresywnie na innych mężczyzn.

Na ogół nie dyktował kobiecie, w co ma się ubierać, ale przed północą zdecydował, że więcej nie pozwoli Virginii włożyć tej sukienki. Wyglądała w niej fantastycznie i właśnie to było najgorsze. Z jej wzrostem i figurą zwracała powszechną uwagę. Wydawało mu się, że wszyscy pożerają wzrokiem jego dziewczynę.

Szczególnie złościł go pewien mężczyzna. Ryerson zauważył go jeszcze przy barze. Był bardzo wysoki, a więc pasował do Virginii. Już samo to wystarczyło, żeby się zdenerwował. Ten przystojniak posiadał jeszcze inne, równie irytujące walory. Wysportowane, smukłe ciało, jasno-brązowe włosy oraz wąsy i ciemne oczy. Kobiety uwielbiały taki typ męskiej urody. Białe spodnie i błękitny blezer kojarzyły się z wielkim, luksusowym jachtem. Świeżo odkryta zaborczość Ryersona została wystawiona na ciężką próbę, gdy mężczyzna kolejny raz odwrócił się w stronę Virginii.

- Och, za chwilę mnie zgnieciesz - jęknęła, gdy Ryerson przyciągnął ją gwałtownie do siebie.

- Próbuję zasłonić twoją goliznę.

- Przyznaj, że podoba ci się ta sukienka.

Przybrał najbardziej ponury wyraz twarzy. Taką miną potrafił przerazić każdego.

- Ten ciuch wyładuje jeszcze dzisiaj w koszu.

- Tak ci się tylko wydaje - odparła przekornie.

- Zobaczymy - mruknął, świadomy porażki. Tak łatwo nie dała się zastraszyć.

Orkiestra przestała grać i poprowadził Virginie do stolika. Zamierzał właśnie kontynuować wykład na temat nieodpowiednich strojów, gdy obok pojawił się mężczyzna w niebieskim swetrze.

- Pozwoli pan, że wypożyczę panią na następny taniec? - zapytały wąsy. Pytanie zostało oficjalnie skierowane do Ryersona, ale obcy patrzył na Virginie, która uśmiechała się niewinnie.

- Nie pozwolę - odburknął i dodał pierwsze z brzegu wyjaśnienie, jakie przyszło mu do głowy. - Ta pani i ja jesteśmy w podróży poślubnej. Nie mam ochoty się dzielić.

- O, przepraszam, że przeszkodziłem - odparł intruz, patrząc znacząco na dłoń Virginii. - Nazywam się Ferris. Dan Ferris. Nie zobaczyłem obrączki, więc uznałem, że...

- Źle pan uznał - uciał Ryerson.

- Panie Ferris - powiedziała grzecznie. - On jest w złym humorze, bo nie podoba mu się moja sukienka.

Ferris z galanterią skinął głową. Pod wąsami błysnęło mnóstwo białych zębów.

- Osobiście uważam, że jest prześliczna.

- Proszę wybaczyć - powiedział szorstko Ryerson. - Chcielibyśmy zostać sami.

- Oczywiście. Rozumiem. Moje gratulacje z okazji ślubu. W tej sytuacji nie mam żadnych szans - dodał z żalem Ferris.

- Och, nie było żadnego ślubu. - Virginia odezwała się tak słodko, że Ryerson miał ochotę ją udusić.

- Chyba słyszałem coś o podróży poślubnej?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Ryerson niemal zgniół jej rękę. Jednocześnie rzucił Ferrisowi złowrogie spojrzenie.

- Zerwaliśmy z tradycją. Kto powiedział, że miodowy miesiąc musi być po ślubie? Dobranoc, panie Ferris.

- Wszystko jasne. Już znikam. - Uniósł obie ręce w geście poddania. Zerknął jeszcze

raz na Virginie. - Ta sukienka jest naprawdę ładna.

- Miło, że komuś przypadła do gustu - mruknęła, gdy wmieszał się w tłum.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzn w tej Sali z chęcią powiedziałyby ci to samo, co on, gdyby mieli okazję. - Wstał i pociągnął Virginie za sobą. - Wychodzimy.

- Dokąd idziemy?

- Na przechadzkę po plaży.

- O północy?

- Muszę się rozruszać - stwierdził ponuro. - Co prawda wolałbym zmusić Ferrisa, żeby zjadł swoje wasy, ale ostatecznie niech będzie spacer.

- Cóż za wspaniałomyślność.

Szli w milczeniu w stronę ciągnącego się bez końca pasa białego piasku. Księżyc świecił jasno nad ich głowami. Zatrzymali się bez słowa i zdjęli buty.

- Naprawdę jesteś zły z powodu tej sukienki? - spytała w końcu.

Objął ją mocniej.

- Martwi cię, że zaczynam się zachowywać jak zazdrosny samiec? - rzucił gwałtownie. - Może zrobiłem z siebie durnia, ale to nie moja wina. Zadziwia mnie moja zazdrość.

- Ubrałam się tak, żeby cię uwieść - przyznała ze skruchą. - Pewnie trochę przesadziłam.

Poczuł, że całe agresywne napięcie stopniowo go opuszcza. Zatrzymał się i przytulił ją.

- Wygląda na to, że ostatnio oboje zmieniliśmy się bardzo.

- Dlaczego powiedziałaś Ferrisowi, że jesteśmy w podróży poślubnej?

- Sam nie wiem - odparł, zaskoczony dziwnym tonem swego głosu. Nie potrafił wyjaśnić, czemu palnął coś takiego. - Chciałem go po prostu szybko splawić.

- Ach tak.

Zmierzył jej pieszczotliwym ruchem włosy.

- Myśl o małżeństwie wciąż cię przeraża?

- Wiesz, że nie mam przyjemnych wspomnień. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Ale jestem zachwycona romanssem.

- Ja także - zamruczał. Pocałował ją, próbując po raz kolejny smaku jej warg.

Zanurzyła palce w jego włosy. Przycisnął ją jeszcze bardziej, żeby poczuć dotyk wspaniałych piersi. Zsunął dłonie na jej pośladki, a ustami błędził po gładkiej szyi. Cudownie było mieć ją tak blisko. Wiedział, że znów jej pragnie.

Podniósł głowę. W oddali błyszcząły światła hotelu. Oprócz ich dwojga na plaży nie było żywej duszy.

- Ryerson, co robisz? - Niecierpliwymi palcami rozpiął suwak na jej plecach.

- Kąpiel w taką noc dobrze nam zrobi.

- Chyba nie możemy się kąpać. Nie mamy kostiumów.

- Jesteśmy na tej planecie sami, nie pamiętasz?

- Jak mogłam zapomnieć? - Westchnęła z przyjemnością i znów objęła go za szyję.

Sukienka upadła na piasek u jej stóp.

Ryerson zrzucił z siebie ubranie, nie zważając na to, że się pogniecie. Wziął ją w ramiona i zaniósł do ciepłego, srebrzystego morza.

Nieważne, że wizja ślubu była dla Virginii taka przykra. On miał wrażenie, że spędza z tą kobietą miodowy miesiąc. I zamierzał właściwie go wykorzystać.

# ROZDZIAŁ 5

Woda była miękka i gładka jak jedwab. Virginia uznała, że równie rozkoszne były tylko pieszczoty Ryersona. Kąpiel nago w morzu działała podobnie na jej zmysły. Pozbyła się starych zahamowań równie szybko jak ubrania.

Pływała i nurkowała wokół Ryersona. W srebrzystym świetle księżyca przypominała nimfę. Nigdy nie czuła się tak swobodnie. Nagle ujawniła się jakaś nieznana strona jej osobowości. A Ryerson był teraz na jej łasce - bezbronny mężczyzna, na którym mogła wypróbować różne sztuczki.

Prześlizgiwała się między falami i krążyła wokół swojej ofiary, prowokując śmiechem i dotykiem. Ryerson odpowiedział pierwotnymi odruchami namiętności, które wstrząsnęły Virginią do głębi.

Na słodką udrękę zareagował zwodniczą nieudolnością, aż skusił ją, żeby lekkomyślnie podpłynęła bliżej. Wykorzystując chwilową nieostrożność, schwycił ją mocno.

- Mam cię, wodna damo. I co teraz zrobisz? - Trzymając ją w talii, uniósł nieco w górę. Musiała oprzeć się o niego, żeby zachować równowagę. Napawał się do woli swoim zwycięstwem.

Virginia spojrzała na niego z figlarną zmysłowością.

- Dobre pytanie - zamruczała. - Jakie masz życzenia? - Powoli i z rozmysłem zataczała kręgi na jego mokrych ramionach. - Wygrałeś. Jestem na twoje rozkazy. - Woda falowała delikatnie wokół nich i pieniać się uderzała o jej uda. Uśmiechnięta Virginia przypominała pogańskie bóstwo. Na ten widok Ryerson wstrzymał z wrażenia oddech.

Księżycowa poświata ujawniała wypisane na jej twarzy pożądanie.

- A więc jesteś moja?

- Twoja - zgodziła się miękko i dotknęła jego policzka. - Co mam zrobić, mój panie? Chcę sprawić ci przyjemność.

- Po raz pierwszy mogę rozkazywać wodnej nimfie. Muszę najpierw wypróbować różne pomysły, żeby się przekonać, które są najlepsze.

- Ależ oczywiście, próbuj. - Poczowała, że jej podniecenie sięga zenitu. - Mogłabym ci coś zasugerować?

- Co zechcesz - szepnął. - Zrób wszystko, na co tylko masz ochotę. Powiem ci, co jest najbardziej skuteczne.

- Jak ci się to podoba? - Koniuszkami palców zaczęła leciutko drażnić jego twardniejące sutki. Ryerson zadrżał.

- To z pewnością działa - zapewnił. - Opuścił ją niżej, żeby mogła stanąć na piaszczystym dnie.

Virginia uśmiechała się teraz jeszcze bardziej tajemniczo i eksperymentowała coraz śmielej. Przesunęła dłonie niżej i zatopiła palce w twardych mięśniach jego pośladków. Otarła się o niego całym ciałem tak, aby poczuł je piersi.

- A to?

- Doceniam twoje sugestie - powiedział głosem w którym wyraźnie już brzmiała żądza. - Ale mam kilka własnych.

- Powiedz, jakich - szepnęła - zrobię, co zechcesz.

- Naprawdę?

- Tak, Ryerson, Pragnę cię uszczęśliwić. Oddaję się pod twoje rozkazy,

- Dotykaj mnie - poprosił ochryple.

- Gdzie? Tutaj?

- Niżej. - Z diabelskim wyrazem twarzy i nadzwyczaj precyzyjnie wyjaśnił, którą część jego ciała i w jaki sposób powinna pieścić.

Postanowiła, że nie uda mu się tak łatwo jej zawstydzić. Śmiało i bez wahania zrobiła to, o czym mówił. Przewrotny uśmiech Ryersona natychmiast zniknął.

- O, właśnie tak. Dokładnie tam chciałem poczuć twoje śliczne rączki, kochanie. - Westchnął, gdy delikatnie go ścisnęła. - Tak, kotku. Trochę mocniej. Doskonale, jeszcze szybciej.

Dała mu to, czego chciał. Niedawno odkryta moc sprawiała jej wyjątkową radość. Całowała słoń od morskiej wody pierś Ryersona, doprowadzając go jednocześnie do stanu pełnej gotowości seksualnej.

Obejmował jej plecy i zmrużonymi oczami obserwował i jak jego ciało ogarnia coraz większe podniecenie. Pchnął biodra do przodu, aby jeszcze mocniej poczuć rękę Virginii.

Jego impulsywna reakcja w pełni zaspokoila jej kobiecą intuicję. A więc potrafiła pobudzić Ryersona. Ta świadomość ekscytowała ją więcej niż cokolwiek innego. Nabrała powietrza i zanurkowała pod powierzchnię wody.

Palce Ryersona zacisnęły się mocno na jej włosach, gdy wzięła w usta tę najbardziej intymną część jego ciała. Wyprężył się gwałtownie. Czują, że był bliski spełnienia.

- Ginny! - Szarpnął ją gwałtownym ruchem w górę. - Jesteś rzeczywiście czarownicą. Rzuciłaś na mnie urok i teraz musisz skrócić moje cierpienia.

- Cierpienia? - Roześmiała się cicho. - Nie wiedziałam, że cierpisz. Chciałam cię tylko zadowolić.

- Będziesz więc musiała skończyć to, co zaczęłaś.

- Oczywiście. Nie mogłabym przecież zostawić cię w takim stanie.

Pocałował ją namiętnie.

- Obejmij mnie nogami - polecił stłumionym od emocji głosem.

Bez protestu zrobiła, co kazał. Woda uniosła ją wyżej, ale ręka Ryersona, którą podłożył pod jej pośladki, pomogła zachować odpowiednią pozycję. Poczula, jak wsuwa w nią najpierw dwa palce i gwałtownie westchnęła, gdy bez wahania wszedł w nią głęboko. Przyłgnęła do niego, kryjąc twarz na jego piersi. Morze zafalowało wokół nich i ustaliło rytm, do którego ich ciała automatycznie się dostosowały.

W chwili nieuniknionego spełnienia Virginia zaszlochała z rozkoszy. Niemal w tej samej chwili usłyszała chrapliwy okrzyk Ryersona. Później była już tylko cisza.

- Powinniśmy płynąć do brzegu - odezwał się w końcu Ryerson.

- Dlaczego? Tutaj jest mi zupełnie dobrze. - Nie otwierając oczu, przytuliła się do niego mocniej.

- Nie możemy tu zostać. Mamy mały problem, który robi się coraz większy. - Ostrożnie spróbował wyplątać się z jej uścisku.

- Powiedziałeś, że coraz większy? - spytała z zainteresowaniem i znów oplotła go nogami.

- Nie ten, o którym myślisz. Zupełnie inny. Nadchodzi przyływ i woda robi się coraz głębsza.

Virginia otrzeźwiała natychmiast. Spieniona woda sięgała jej już do ramion.

- Wielkie nieba! Mogliśmy skończyć w zabawny sposób. Tylko pomyśl, o czym plotkowałiby ludzie na naszym pogrzebie.

- Chyba o nowej, interesującej wersji „zaginionych w morzu”. Ruszaj się, kobieto.

Kolejna fala dosięgła właśnie ich rzuconej na piasek garderoby. Virginia ze śmiechem usiłowała wciągnąć na siebie sukienkę.

- Uważałeś, że ta szmatka zbyt wiele pokazuje. Ciekawe, czy ci się bardziej spodoba, gdy jest całkiem mokra.

Skrzywił się na ten widok. Cieniutki materiał przyklejał się do ciała i ujawniał dokładnie wszystkie wypukłości. Nawet przy blasku księżyca mógł dostrzec sterczące sutki, a

gdy Virginia odwróciła się tyłem, jej pełne pośladki wyglądały tak, jakby były nagie.

- Do licha, na pewno nie możemy wejść do hotelu głównym wejściem. Przejdziemy przez ogród. - Zapiął spodnie i sięgnął po koszulę.

Wzięli się za ręce i pobiegli wzdłuż plaży. Wślizgnęli się w bujną roślinność jak dwoje kochanków wracających z potajemnej schadzki.

- Chyba jesteśmy do tego stworzeni - stwierdziła entuzjastycznie Virginia, gdy Ryerson pomógł jej przejść przez gęstwinę potężnych paproci. - Świetnie potrafimy zakradać się po kryjomu.

- Mam nadzieję, że to pierwszy i ostatni raz - odparł z lekką irytacją w głosie. - Osobiście nie lubię nigdzie przemykać się chyłkiem. Gdybyś nie włożyła dzisiaj tej nędznej imitacji sukienki, to nie musielibyśmy... - urwał nagle.

- Co takiego? - Omal na niego nie wpadła. Złapał ją i przytrzymał.

- Nie tylko my kryjemy się dziś po krzakach. Widzę tam dwie osoby. Zaczekajmy, aż przejdą.

Stała posłusznie obok niego i czuła, że wilgotna tkanina zaczyna ją ziębić. Wielka kępa paproci całkiem ich zasłaniała, ale można było zauważyć przedzierających się przez krzewy dwóch mężczyzn. Zastanawiała się, dlaczego unikają wyłożonej terakotą ścieżki.

Virginia dostrzegła jedynie zarys pochylonych ku sobie głów, ale natychmiast rozpoznała ich głosy. Harry Brigman i Dan Ferris. Sądząc z tonu rozmowy, miała ona raczej gwałtowny przebieg. W pewnej chwili dał się słyszeć podniesiony głos Ferrisa.

- Do cholery, Brigman, płaczemy się tu o wiele za długo. Mam tego dość. Już się zabawiłeś. Zgarnęliśmy, co trzeba. Powinniśmy stąd spływać.

- Nie ma pośpiechu. Mówiłem ci ze sto razy, że musimy złapać oddech. Dlaczego nie tutaj, na Toralinie? Poza tym pełno tu nadzianych frajerów. Tylko grać.

- Na innych wyspach też są kasyna. Do diabła, ty nawet nie potrzebujesz kasyna. Możesz rozłożyć karty wszędzie, byle dyskretnie.

- Lubię to miejsce - upierał się Brigman. - Mam fart, od kiedy tu przyjechałem.

- Ale przerzuciłeś z tym Ryersonem. Ile dokładnie wtedy straciłeś, co?

- Nie tyle, żeby cię to miało obchodzić. Chwilowy pech. Facet miał szczęście. Zdarza się. Ale ten gość nie jest zawodowcem. Zdażę się odegrać, zanim wyjedzie. A teraz wybacz, ale umówiłem się przy stoliku. Ty także powinienesz wejść w swoją rolę.

Odpowiedź Ferrisa przytłumił szelest gałęzi.

- Już sobie poszli - szepnął Ryerson. - Chodźmy, tam jest dróżka. Starajmy się tylko nie hałasować.



- Jakie to podniecające. Zastanawiam się, czy... Och, nie! - zawołała, próbując utrzymać równowagę, ponieważ mokre falbanki zaczepiły o chropawy pień palmy. - Psiakość, moja sukienka. Zniszczyłam ją całkowicie.

Ryerson odwrócił się, żeby pomóc jej uwolnić spódnice. Zerknął machinalnie w kierunku, gdzie zniknęli obaj mężczyźni.

- Cholera. Niewiele nam pomogło chodzenie po krzakach.

- Dlaczego? - spojrzała w tę samą co on stronę i zauważyła na ścieżce Dana Ferrisa. Był sam. Musiał usłyszeć jej okrzyk, bo natychmiast się zatrzymał i obejrzał przez ramię. - Ojej. Trudno, nic się przecież nie stało. Nie jestem naga. - Pomachała radośnie Ferrisowi, który kiwnął głową i znikł za zakrętem.

- Oczywiście, nie jesteś naga - warknął zgryźliwie. - Tylko prawie naga. Dobrze, że Ferris stał dość daleko. Przez ten mokry materiał widać niemal wszystko.

Uniosła brwi widząc, w co wpatruje się Ryerson.

- Jedynie człowiek, który widzi w nocy jak kot, mógłby zobaczyć to, o czym mówisz,

- Ja mam właśnie taki wzrok.

- Albo zbyt wybujałą wyobraźnię. Wiesz, nie miałam pojęcia, że ci dwaj się znają.

- Ja też nie. Teraz najwyraźniej unikali ludzi. To ciekawe - odparł w zamyśleniu. - No chodź, weźmiemy gorący prysznic. Trzęsiesz się z zimna.

- Skąd wiesz?

Zachichotał i przesunął kciukiem po sterczącym koniuszku jej piersi.

- Przecież mówiłem, że widzę w ciemności.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Virginia poczuła skrupuły. Wchodząc na parkiet, obronnym gestem dotknęła bransoletki. Zerknęła na Brigmana, siedzącego przy stoliku.

- Myślisz, że to naprawdę jest jego rodowy klejnot?

- Możliwe, ale głowę dam, że nie należy do rodziny Brigmana. - W głosie Ryersona zabrzmiało takie przekonanie, że uspokoiła się nieco.

- Czemu tak sądzisz?

- Dlaczego miałyby włączyć się po Karaibach z cennym, pamiątkowym przedmiotem? Tego typu rzeczy każdy trzyma w sejfie. Brigman jest zawodowym hazardzistą, Ginny. Wygrał od kogoś to świecidełko. Teraz należy do nas. Jak wojenny łup.

Westchnęła z ulgą i spojrzała na drogocenne kamienie.

- Należy do nas - powtórzyła.

- Niech pozostanie symbolem początku naszego romansu - podsumował.

Virginia wpatrywała się w lśniące na jej przegubie szmaragdy i brylanty. Kiedy podniosła głowę, w jej uśmiechu pojawiła się odrobina niepewności.

- Zastanawiam się, czy po powrocie sprawy między nami będą wyglądały tak samo.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć?

Poruszyła się niespokojnie w jego ramionach.

- Nie wiem - przyznała. - Na Toralinie wszystko wydaje się zupełnie inne i nierzeczywiste. Po prostu myślę o tym, czy ten nastrój przetrwa, gdy stąd wyjedziemy.

Uniósł jej twarz, żeby musiała patrzeć mu w oczy. W jego spojrzeniu malowała się niezachwiana pewność.

- Jesteśmy tacy sami, jak przed wyjazdem. Zmieniło się tylko jedno. Na Toralinie zaczęliśmy się ze sobą kochać. I wierz mi - to na pewno nie ulegnie zmianie, gdy wrócimy do Seattle.

We śnie kochał się z Virginią. Zmysłowe obrazy przesuwaly się z wolna pod powiekami Ryersona, gdy nagle coś go obudziło. Nie był to poranny brzask, ponieważ za oknem niebo dopiero zaczynało szarzeć. Ze snu wyrwał go odgłos lekkich kroków skradających się po podłodze pokoju od strony balkonu. Ktoś włamał się do ich apartamentu. Po chwili szmer umilkł.

Ryerson usiadł bezszelestnie, Virginia musiała wyczuć jego ruch, bo odwróciła się na bok. Przykrył jej usta dłonią. Za trzepotała gwałtownie powiekami.

W pokoju było prawie ciemno, ale dostrzegła jego ostrzegawczy znak. Leżała spokojnie, patrząc na niego trochę przestraszona. Wiedział, że zrozumiała.

Z saloniku znów dobiegł ich cichy dźwięk. Tym razem usłyszała go również Virginia. Zamarła bez ruchu, ale milczała, gdy odjął rękę od jej warg.

Gestem nakazał jej zostać w łóżku, a sam powoli zsunął się na podłogę i wstał. Na palcach podszedł do lekko uchylonych drzwi. Przez szparę dostrzegł błysk miniaturowej latarki. Jakaś postać mignęła mu w polu widzenia. W drugiej ręce mężczyzna nic nie trzymał. Nie był więc uzbrojony.

Ryerson sięgnął w bok i wymacał blat toaletki. Wyczuł palcami suszarkę do włosów. Na upartego można było posłużyć się nią, jak bronią. Powolutku zaczął otwierać drzwi. Równocześnie usłyszał, że ktoś zamyka szufladę.

Ryerson nie zauważył pistoletu, ale kiedy dawał susa do pokoju, przemknęła mu przez głowę pewna myśl. Co zrobi, jeśli napastnik wyciągnie nóż? Zawahał się. Ten osobnik mógł

przecież zaatakować Virginie. Nie mógł do tego dopuścić. Człowiek przy biurku odwrócił się gwałtownie. Twarz miał zasłoniętą maską z pończochy. Wyrzucił teraz obie ręce w górę, chcąc odparować ewentualny cios i skoczył na balkon. Ryerson spóźnił się o ułamek sekundy. Złodziej zniknął w ciemnym gąszczu ogrodu.

Ryerson ruszył za nim, ale powstrzymał go jakiś szelest w sypialni. Przy drzwiach stała Virginia, ściskając w dłoni jako broń pantofel na wysokim obcasie. Miała na ręce bransoletkę. Nigdy jej nie zdejmowała na noc.

- Zadzwoń do recepcji - polecił krótko. - Niech wezwą policję.

Parę minut później uznał, że bieganie na golasa po ogrodzie nie jest najlepszym pomysłem. Gęste zarośla ułatwiły włamywaczowi ucieczkę. Dalsze poszukiwania były bezcelowe. Hałas zwrócił uwagę młodego kelnera, który wracał do hotelu po zrealizowaniu czyjegóż zamówienia.

- Mógłbym dostać serwetkę? - spytał ponuro Ryerson, gdy młody mężczyzna popatrzył na niego osłupiały.

- Oczywiście, sir. - Chłopak natychmiast się opanował. Wystarczająco długo pracował w hotelu i wiedział, że nie powinien się niczemu dziwić. Zręcznie chwycił z tacy dużą, różową serwetkę i wręczył ją Ryersonowi.

- Dziękuję. Mieszkam w apartamencie 316. Proszę przekazać, że należy się panu dodatkowy napiwek. Niech dopiszą do mojego rachunku. - Pomaszerował do pokoju, zasłaniając się z przodu serwetką. Najważniejsze, pomyślał, to sprawiać dostatecznie nonszalanckie wrażenie.

Toralińscy policjanci zareagowali w typowy sposób. Było im przykro, lecz niewiele mogli pomóc. Z prawdziwym smutkiem przyznali, że takie przypadki czasem się zdarzają. Zwłaszcza ostatnio zanotowali sporo kradzieży. Istna plaga. Stwierdzili jeszcze, że to pewnie robota ubogich miejscowych rybaków, którzy po kilku kolejkach tequili zdecydowali się ukraść coś bogatym amerykańskim turystom. Policja, oczywiście, zajmie się tym włamaniem, ale brak rysopisu sprawcy niezmiernie utrudni konkretne działania. I tak dalej. I tak dalej.

- Coś mi mówi, że sprawa została zamknięta w tej samej chwili, gdy wsiedliśmy do samolotu - stwierdził Ryerson, gdy opuszczali wyspę.

- Przestań się tym martwić. Dzięki tobie nic przecież nie zginęło. - Spojrzała na niego z rozbawieniem. - Mój bohater. Nawet gdy dożyję setki, nie zapomnę tego widoku. Wybiegłeś nagusieńki, a wróciłeś owinięty w różową serwetkę,

Ryerson nie był w nastroju do żartów. Obserwował przez okno samolotu, jak zielona wyspa zostaje powoli za nimi.

- Wciąż mnie zastanawia, czego on szukał.

- Pieniądzy, biżuterii, wartościowych drobiazgów, które goście trzymają w pokojach - odparła. - Nie można zapominać, że ten turystyczny raj jest pełen nędzy.

- Biżuteria - powtórzył cicho. - Ciekawe, czy ten ktoś nie szukał przypadkiem twojej bransoletki.

- Niemożliwe. Wiedział o niej tylko Brigman.

- No właśnie.

- Chyba nie sądzisz, że usiłował ją w ten sposób odzyskać?

- Czy ja wiem. Nie był zachwycony, gdy ją przegrał.

- Przecież on sam namówił cię do gry. Wygrałeś ją całkiem uczciwie. Jest nasza - dodała z przejęciem. - Mocniej przycisnęła do siebie torebkę. Bransoletka spoczywała bezpiecznie w wewnętrznej kieszonce,

Ryerson ujął Virginie za rękę. Na jego wargach błąkał się słaby uśmiech.

- Masz rację - przyznał. - Teraz należy do nas.

- Nie będziemy mieć jakichś kłopotów z celnikami?

- Wszystko sprawdziłem. Każdy przedmiot, który ma więcej, niż sto lat, może zostać wwieziony do Stanów bez cła. A certyfikat jubilera potwierdza, że ten klejnot jest dużo starszy.

- A więc naprawdę należy do nas - powtórzyła jego słowa. - Aż trudno mi uwierzyć. - Ale jeszcze trudniej było jej uwierzyć w swoje szczęście. To był prawdziwy skarb, który znalazła na Toralinie.

## ROZDZIAŁ 6

Dopiero po kilku dniach przymała się sama przed sobą, jak bardzo niepokoiła ją perspektywa powrotu do codziennych zajęć. W czasie tych niezwykle wakacji na Toralii nie była kimś innym. Teraz ogarnęły ją wątpliwości, czy potrafi stać się dawną Virginią. I czy tego zechce.

W tydzień po przyjeździe do Seattle umówiła się na kolację z Ryersonem. Szykując się do wyjścia, spojrzała z zadowoleniem na swoje odbicie w lustrze. Zmieniła się i ta metamorfoza - choć trudna do zdefiniowania - była widoczna już na pierwszy rzut oka. Emanowała z jej spojrzenia i ujawniała się na wiele innych sposobów.

Sukienka na ten wieczór nie prezentowała się aż tak ekstrawagancko, jak falbaniasta kreacja, która rozjuszyła Ryersona na Toralinie. Modny fason świadczył jednak o znacznym postępie w sposobie ubierania się Virginii. Przed wyjazdem na Karaiby nigdy nie kupowała awangardowych strojów. Co prawda dalej nosiła bawełnianą bieliznę pozbawioną wszelkich ozdób i koronek, ale pierwszy krok został zrobiony.

Kobieta, która patrzyła na nią teraz z lustra, była bardziej swobodna, odważniejsza i świadoma własnej urody. Ta kobieta pływała nago w morzu i teraz na przykład rozważała ewentualność wspólnej z A.C. Ryersonem kąpieli w specjalnej wannie.

Niestety, żadne z nich nie miało w domu takiego wspaniałego wynalazku, ale był to drobiazg bez większego znaczenia. Najważniejsze, że w ogóle przyszło jej coś takiego do głowy, pomyślała wkładając bransoletkę.

Na misternym zapięciu dostrzegła maleńki, wygrawerowany rysunek. Przyjrzała się mu z bliska i stwierdziła, że wygląda jak rodowy herb. Warto kiedyś sprawdzić, do kogo należał.

W godzinę później siedziała naprzeciwko Ryersona w przytulnej restauracji, która mieściła się w zabytkowej części Seattle przy Pioneer Square.

- Nigdy nie chciałeś mieć u siebie specjalnej wanny?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Mówisz o tej okrągłej wannie z bulgoczącą wodą? Szczerze mówiąc, nie myślałem o tym. Aż do teraz... - urwał, a jego wzrok powędrował w stronę bransoletki na ręce Virginii. -

Mógłbym zainstalować taką wannę w letnim domku na wyspie. Znajdzie się tam odpowiednie miejsce. A przy okazji, zabiorę cię tam niedługo. Powiedz mi, skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł?

Wzruszyła niewinnie ramionami.

- Po prostu przypomniałam sobie, jak wtedy w nocy pływaliś w morzu. Tak mi się skojarzyło.

- Bardzo rozsądnie - przyznał, nadgryzając kawałek chleba. - Już w tej chwili wyobrażam sobie nas oboje w tej wielkiej wannie.

- Naprawdę? I jak ten obraz działa na ciebie?

- Bardzo mnie podnieca. Musisz skończyć kolację, czy od razu pojedziemy do mnie?

- Ryerson, przecież nawet nie zaczęliśmy jeść. - Dusił się od śmiechu. - Jestem głodna.

- No dobrze, dobrze. Poczekam. - Westchnął z przesadnym żalem. - Zastanawiam się, jak długo potrwa zainstalowanie wanny. Pompę mógłbym zamontować własnoręcznie. Trzeba tylko kupić wannę. Gdybym jutro rano zamówił ekspresową dostawę, to...

- Nie ma sensu się spieszyć - odparła z uśmiechem. - Ten weekend i tak odpada. W niedzielę idziemy do Andersonów. Chciałeś, żebym cię wszystkim przedstawiła. - Andersonów od lat wiązały z Middlebrookami wspólne interesy. Virginia podejrzewała, że głównym powodem, który skłonił ich do urządzenia przyjęcia, była chęć poznania nowego właściciela Middlebrook Power Systems.

- Masz rację. Najpierw obowiązki, a później przyjemność. Dzisiaj i tak chodzi mi po głowie inny pomysł.

- Wzięłam trochę swoich rzeczy - przyznała miękko.

- Szczerze mówiąc miałem nadzieję, że ta torba na tylnym siedzeniu nie zawiera ciuchów do aerobiku. Ginny, chyba powinniśmy zamieszkać razem.

- Zamieszkać razem? Ty i ja?

- Nie, mówiłem, że chcę wziąć do domu kota - mruknął. - Oczywiście, że chodzi mi o nas. Pomyśl o tym, Ginny. To tylko kolejny, logiczny etap naszego związku. Bokiem mi wychodzi dojeżdżanie promem. A na dodatek w tym tygodniu mam spotkania z klientami wcześniej rano i późno po południu. W przyszłym też nie będzie lepiej.

Ogarnął ją dobrze znany niepokój. W pierwszej chwili pomyślała, że Ryerson znudził się nią niemal równie szybko, jak kiedyś jej mąż. Zdobyta na Toralinie pewność siebie zaczęła ją opuszczać. Virginia siłą woli zmusiła się do zachowania spokoju. Nie wolno wyciągać pochopnych wniosków. Przecież to Ryerson, nie Jack.

- Zaczyna cię denerwować dojeżdżanie? - spytała niepewnym głosem. - Jesteśmy ze sobą od niedawna. Wróciliśmy z Toraliny dopiero kilka dni temu. Myślałam, że jakoś nam się układa, że jesteś zadowolony. Nie przypuszczałam, że masz tego dość.

- Do diaska! Ty mnie w ogóle nie słuchasz. - Zmrużył gniewnie oczy, gdy pojął jej tok rozumowania. - Proszę cię, żebyś wprowadziła się do mnie. Wcale nie sugeruję zerwania. Wręcz przeciwnie. Co się z tobą dzieje? Nie rozumiesz, jak mówię do ciebie po angielsku?

Opuściła powoli dłonie na kolana. Nie widział, co robi, ale mógł się założyć, że nerwowo zgniata w kulkę papierową serwetkę.

- Powiedziałeś, że podróżowanie promem doprowadza cię do szału, więc uznałam, że ci się znudziły odwiedziny u mnie - odparła sztywno.

- I wydedukowałaś, że chcę zerwać z tobą, tak? Cóż za niedorzeczność. - Potrząsnął z niesmakiem głową, - Ginny, to co próbuję ci powiedzieć, jest całkiem proste i jasne. Chciałbym, żebyś ze mną zamieszkała. Dojeżdżanie promem wcale mnie nie zniechęciło, tylko jest uciążliwe, a to zasadnicza różnica.

- Niby jaka?

Miał wielką ochotę dać jej klapsa.

- Kiedy coś mnie nudzi, staram się tego unikać. A kiedy mam jakiś problem, usiłuję go rozwiązać. Takim rozwiązaniem jest właśnie zamieszkanie razem.

Patrzyła na niego uważnie.

- Więc chcesz, żebym się do ciebie wprowadziła?

- Moje gratulacje. Szybko zrozumiałaś, o co mi chodzi - parsknął.

- To, co proponujesz, przypominałoby małżeństwo - stwierdziła w końcu.

Zrozumiał, że popełnił błąd. Narzucił zbyt szybkie tempo. Gdyby tylko wiedziała, do czego naprawdę zmierzał, wpadłaby w popłoch. Musiał znaleźć sposób, żeby ją uspokoić.

- Virginio - zaczął uroczystym tonem, jakim zazwyczaj przekonywał niezdecydowanych klientów firmy. - Mieszkanie pod jednym dachem to zupełnie coś innego. Miałoby kilka dobrych stron małżeństwa...

- I wszystkie jego wady - ucięła szybko.

- Niekoniecznie.

- Czyżbyś już tego z kimś próbował?

- Nie, ale w naszym przypadku możemy oczekiwać sukcesu.

- Dla mnie to wygląda dokładnie tak jak zalegalizowany związek - powtórzyła zawzięcie.

Zaczynał powoli tracić cierpliwość.

- Niepotrzebnie się upierasz. Rozumiem twój niepokój, ale proszę, zaufaj mi. Ten wariant zasadniczo różni się od małżeństwa.

- Wątpię. - Machnęła z rozdrażnieniem ręką i pochyliła się do przodu. - Tylko pomyśl. Musielibyśmy prowadzić wspólny dom, mieć wspólną kasę. Ustalać, kto z nas w którym tygodniu sprząta. Kto robi pranie. No i jeszcze śniadania we dwoje oraz podział miejsca w szafach. Zdajesz sobie sprawę, że zajęłabym połowę twoich szuflad? Wkładałabym do twojego zlewu brudne filizanki, a w łazience ustawiłabym swoje kosmetyki. Tydzień na Toralinie był bajką. Życie we dwoje jest o wiele bardziej skomplikowane.

Miał ochotę ryknąć śmiechem. Powstrzymała go jedynie świadomość, że Virginia wcale nie żartuje.

- Ten pomysł cię przeraża, prawda?

Wyprostowała się i popatrzyła czujnie.

- Całkiem mnie rozstraja. Jest sprzeczny ze wszystkim tym, czego oczekiwaliśmy od naszego związku.

- To ty tak uważasz. Ja sędzę coś zupełnie innego. Nie mam takich uprzedzeń do małżeństwa, jak ty.

- Wiem. Według ciebie to wygodny układ, prawda? Z odpowiednią osobą, rzecz jasna - odpaliła. - Tak samo oceniasz mieszkanie razem. Ale zobaczysz, w praktyce będzie inaczej. Wyjdą na wierzch różne mniejsze i większe problemy. Takie, na które teraz nie zwracamy uwagi. Zaczną nam przeszkadzać bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić.

Uznał, że chwilowo powinien zrobić krok wstecz.

- Ginny, proszę cię, żebyś jedynie rozważyła taką możliwość. Gwarantuję, że nie ma to nic wspólnego ze ślubem. Zacznijmy to realizować po troszeczkę, jeśli oczywiście chcesz.

- W jaki sposób? - spytała podejrzliwie.

- Zdecyduj się spędzić u mnie parę dni w tygodniu. Na próbę.

- Po co mamy wszystko zmieniać - narzekała. - Jesteśmy przecież szczęśliwi.

- A uważasz, że będzie nam gorzej, jeśli zamieszkamy razem? - Powoli ogarniało go zniechęcenie. Jeszcze godzinę wcześniej nie miał żadnych wątpliwości, że potrafi przezwyciężyć jej opór.

- Nie wiem - szepnęła.

Zastanawiał się, w jaki sposób ją przekonać. Aż do tej pory był przeświadczony, że potrafi przełamać niechęć Virginii do instytucji małżeństwa. Uważał, że wystarczy zaufanie, namiętność i trochę czasu.

Zamierzał sukcesywnie oswajać ją z myślą o stałym związku. Liczył na to, że Virginia



stopniowo pozbędzie się swoich dawnych obaw, a uczucie weźmie górę. Nic z tego. Z oczu Virginii wycierał autentyczny strach.

- Ten twój mąż nieźle ci zalazł za skórę - stwierdził w poczuciu bezsilnej furii. - Szkoda, że nie żyje. Z chęcią bym mu pomógł przenieść się na tamten świat!

Oszołomiła ją gwałtowność tego stwierdzenia.

- Ryerson, sądziłam, że mnie rozumiesz.

Tego było już za wiele.

- Przypomnę ci po raz ostatni - huknął - że wcale nie proponuję ci małżeństwa. Chcę tylko, żebyś ze mną zamieszkała! - Wokół nich nagle zapadła cisza. Uświadomił sobie, że jego słowa słyhać było w całej restauracji. Ludzie przy sąsiednich stolikach z zaciekawieniem zerkali na niego i Virginie. Niektóre spojrzenia świadczyły o rozbawieniu. Inne były wyraźnie krytyczne. - Skończymy tę rozmowę później - warknął przez zaciśnięte zęby.

Zawahała się, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale na widok jego miny rozsądnie zrezygnowała.

Skończyli kolację w milczeniu. Ryerson na zmianę przeklinał w duchu, że zepsuł nastrój i pocieszał się myślą, że przecież w końcu musiał od czegoś zacząć. Po powrocie z Toraliny wiedział, czego chce - mieszkać razem z Virginie. Ale tak naprawdę pragnął o wiele więcej. Skłonić ją, żeby została jego żoną.

Virginia sięgnęła po kieliszek i w świetle lampy szmaragdy sypnęły seledynowymi iskrami. Spojrzał na bransoletkę. Pasowała do jej właścicielki i przyciągała wzrok do ładnych rąk o smukłych przegubach.

Do licha, musi jakoś pokonać upór Virginii. Musi skłonić ją do tego, żeby zaakceptowała jego i jego dom, a nie tylko samo łóżko. Do tej pory powinna już zrozumieć, że on jest innym człowiekiem niż ten jej cholerny mąż!

Zielonkawe błyski załamywały się w głębi przejrzystych klejnotów. Wabiły i obiecywały coś wspaniałego. Czyżby pragnęły mu coś powiedzieć?

- O co chodzi? - zapytała niespokojnie, widząc kierunek jego spojrzenia.

Dotarło do niego, że od dłuższej chwili wpatrywał się w bransoletkę. Potrząsnął przecząco głową.

- Nic takiego. Możemy już iść?

- Tak, oczywiście.

- No to chodźmy. - Wyjął z portfela kartę kredytową. - Pora wracać do domu. Specjalnie położył nacisk na słowo „dom”. Chciał sprawdzić, w jaki sposób Virginia

zareaguje.

Nie odezwała się. Wypiła resztę wina, czekając aż on podpisze rachunek.

Usiłowała zapomnieć o tym, co usłyszała w czasie kolacji. Przez całą drogę do mieszkania Ryersona zmuszała się do beztroskiego szczebiotu.

Mężczyzna odpowiadał monosylabami. Głównie jednak ponuro milczał. Na miejscu zaparkował mercedesa w podziemnym garażu. Wjechali windą na piętro. Ryerson otworzył drzwi i przepuścił Virginie przed sobą. Weszła pospiesznie do ciemnego apartamentu, zerkając ukradkiem na zaciętą twarz mężczyzny.

- Słuchaj - powiedziała cicho, gdy usłyszała trzask zamykanego zamka - powinniśmy porozmawiać i wszystko wyjaśnić.

- Dużo już powiedzieliśmy - odparł, zrzucając marynarkę. - Na razie wystarczy, skoro mówimy innym językiem. Zostańmy przy tym, co nam wychodzi bez problemów. - Jednym szarpnięciem zdjął krawat.

Cofnęła się, zaniepokojona dziwnym spojrzeniem Ryersona. Zazwyczaj czytała z jego twarzy jak z otwartej książki. Właśnie to tak bardzo ceniła w ich związku. Czowała, że rozumie tego człowieka. Dzisiaj było inaczej.

- Chwileczkę - zaczęła spokojnie, choć wewnętrznie dygotała. - Ten pomysł zamieszkania razem przewraca nasz dotychczasowy układ do góry nogami. Nie miałam zielonego pojęcia, że zaproponujesz coś takiego. Musimy o tym pomówić.

Podszedł do niej blisko. Koszulę miał całkiem rozpiętą. W mroku jego rysy wydawały się jeszcze bardziej surowe niż zwykle. Chwyił ją i przyciągnął do siebie. Pocałunek był namiętny i głęboki.

Opuściła ją chęć do dyskusji.

- Chyba masz rację - szepnęła oszołomiona, gdy w końcu podniósł głowę. - Może w ten sposób potrafimy lepiej się porozumieć.

Czowała jego twarde, napięte ciało i palce, które wpiły się mocno w jej ramiona.

- Nie sądz, że zawsze, kiedy zaczniemy się klócić na temat przyszłości, uda ci się rozproszyć moją uwagę seksem - ostrzegł szorstkim tonem.

- Miałam na myśli coś innego - wtrąciła szybko. - Poza tym sam niedawno uciąłeś rozmowę.

- Owszem, lecz zapamiętaj, że prędzej czy później do niej wrócimy.

- Ale nie teraz?

- Teraz mam inne plany. - Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Obudziła się w środku nocy. Męczyło ją silne pragnienie, a ostry ból rozsadał

czaszkę. Uznała, że są to klasyczne objawy kaca. Prawdopodobnie za dużo wypła. Leżała spokojnie i zastanawiała się, dlaczego pokój wygląda tak obco.

Skrzywiła się, czując gwałtowne skurcze żołądka. Przecież zamówiła podczas kolacji tylko jeden kieliszek wina. Przyczyną mdłości nie mogło być przedawkowanie alkoholu.

Poruszyła się niespokojnie na poduszce i rozejrzała wokół. Nie poznawała własnego domu. Czyżby to był sen?

Stwierdziła, że jest jej strasznie gorąco. Odrzuciła na bok prześcieradło i koc. Koniecznie musiała otworzyć okno. Spróbowała usiąść i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Kręciło się jej w głowie. Wstała i niemal upadła. Wyczuła pod stopami puszysty dywan, Nie przypominał w dotyku chodniczka z jej mieszkania. Na łóżku zobaczyła ciemny zarys potężnej sylwetki.

A więc znajdowała się w sypialni Ryersona.

Trochę ją to pocieszyło. Ruszyła do okna, starając się zapanować nad własną słabością. Nie mogła pojąć, że Ryersonowi nie przeszkadza ten potworny upał.

Dotarła na środek pokoju, gdy żołądek ponownie dał znać o sobie. Zawróciła szybko w stronę łazienki. Zbierało się jej na wymioty.

Miała wysoką gorączkę. To dlatego było jej tak gorąco. Wzdrygnęła się przerażona. Nie wolno jej chorować. Nie tutaj. Jack tego nie znośił. Doszła chwiejnie do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Ledwie zdążyła.

Po kilku minutach przykre skurcze ustały. Oparła się o umywalkę i dokładnie wypłukała usta, usiłując jednocześnie zebrać myśli.

Musiała stąd jak najszybciej zniknąć. Nie powinien zobaczyć jej w takim stanie. Na pewno poczułby do nic obrzydzenie i niechęć. Dokładnie tak jak Jack.

Właśnie dlatego nie chciała zaryzykować i zamieszkać wspólnie z Ryersonem. Jej złe samopoczucie czy jakieś inne głupstwo mogło wszystko między nimi popsuć.

Z trudem wróciła do sypialni. Marzyła, żeby znaleźć się już u siebie.

W głowie czuła pulsujący ból, ale na szczęście uspokoiły się skurcze żołądka. Gdyby tylko nie było jej tak słabo. Drżącymi rękami zebrała swoje rzeczy. Na szczęście Ryerson spał mocno.

Powlokła się do salonu i skoncentrowała cały wysiłek na ubieraniu się. Zadanie okazało się bardzo trudne. Bała się, że zemdleje. Trwało chyba godzinę, zanim zdołała zasunąć suwak w sukience.

Stała teraz i ciężko oddychała. Powinna zostawić jakiś krótki list. Inaczej Ryerson będzie rano niepokoił się, gdzie się podziała.

Obok telefonu zauważyła bloczek z kartkami i długopis. Zapaliła lampę i patrzyła tępo na papier. Przez dłuższą chwilę nie potrafiła wymyślić nic sensownego. W końcu napisała: *Kochany Ryersonie, musiałam pojechać do domu. Zadzwoń.*

Wreszcie Virginia zgasła światło i na miękkich nogach poszła do wyjścia. W holu wpadła na coś, co wcale nie chciało zejść jej z drogi. Po chwili stwierdziła, że był to nagi Ryerson.

- Wybierasz się gdzieś? - spytał podejrzenie obojętnym tonem.

Zachwiała się, więc chwyciła go za ramię, chcąc odzyskać równowagę. Nie drgnął, żeby jej pomóc. Odsunęła się i oparła o ścianę.

- Muszę jechać do domu - szepnęła.

- Miałaś zamiar wyjść, gdy spałem? Doceniam twoją troskliwość.

Usłyszała w jego głosie gryzącą ironię, ale nie miała siły, aby na nią zareagować.

- Zostawiłam kartkę.

- Wzruszające.

- Proszę cię, Ryerson. Muszę iść. - Przymknęła oczy. Nie miała ochoty porzucić solidnego oparcia za plecami.

- Dlaczego o trzeciej rano musisz jechać do domu, co? - spytał ostro. - Czyżby dlatego, że boisz się nawet jedną noc spędzić pod moim dachem? Na Toralinie nie uciekałaś z pokoju. Podobały ci się darmowe wakacje, tak?

- Przestań. - Usiłowała go wyminąć, ale nie ruszył się na krok. - Pozwól mi wyjść.

- Ciekawe, co zamierzasz zrobić o tej porze? Prom nie kursuje od godziny. Następny będzie rano. A do przystani jak chciałaś dojechać? Ukraść mi samochód?

- Wezwę taksówkę.

- No i co z tego? Pierwszy prom ruszy o szóstej trzydzieści.

Wreszcie zrozumiała sens tego, co mówił. Ani samochodu, ani promu. Była w pułapce. Oblizwała spieczone wargi.

- Zadzwoń do mojej siostry.

- Psiakrew, na pewno ci na to nie pozwolę. - Ledwie panował nad ogarniającą go wściekłością. - Jeżeli sądzisz, że możesz iść ze mną do łóżka, a później chyłkiem wymknąć się przed świtem, to muszę cię rozczarować. Tak łatwo nie uciekniesz. Zasługuję na więcej. Nie poznaję cię, Ginny. Chciałabyś zjeść ciastko, a jednocześnie zachować je w całości, prawda? Odkryłaś przyjemności, jakie oferuje seks, ale bez żadnych poważnych zobowiązań.

- Nic nie rozumiesz. - Boże drogi, przecież ona zaraz zemdleje, jeśli Ryerson jej stąd nie wypuści.

- Tak ci się wydaje - stwierdził gorzko. - Powoli zaczynam rozumieć. Jesteś albo cholernie egoistyczna, albo śmiertelnie przerażona. Ewentualnie i jedno, i drugie. Dlatego nie chcesz w żaden sposób związać się ze mną. Lubisz tylko to, co mogę ci ofiarować w łóżku.

- Proszę cię...

- Bawi cię seks, egzotyczne wyjazdy i kolacyjki w drogich restauracjach. Nic więcej, żadnych innych więzi. Wiesz Ginny, kto tak postępuje?

- Dostyc! - wydyszała. - Zejdź mi z drogi. Wychodzę.

- Akurat. Zostaniesz tutaj - w moim domu i w moim łóżku. Dopóki się nie nauczysz, że w naszym związku musisz także dawać, a nie tylko brać.

Wziął ją za ramię. Szamotała się przez chwilę bezskutecznie, ale nogi się pod nią ugięły, a przed oczami zawirowały ciemne kręgi.

- Ginny! - Trzymał ją mocno, żeby nie upadła. - Jesteś strasznie rozpalona. Co się z tobą dzieje?

- Próbowałam stąd wyjść. Nie pozwoliłeś mi. - Potrząsnęła niecierpliwie głową. - Pali mnie w środku. Daj mi wody.

- Kochanie, woda to za mało. Potrzebujesz lekarza. - Posadził ją na krześle. - Zaczekaj, zaraz się ubiorę.

- Dlaczego?

- Zabieram cię do szpitala, a personel nie byłby chyba zachwycony, gdybym wkroczył do izby przyjęć na golasa.

Szpital.

- Nie chcę iść do szpitala. Jestem zdrowa,

- Oczywiście. A ja jestem tancerzem w balecie – mruknął. Wyjął z szafy dzinsy i koszulę.

Siedziała skulona. Raz po raz wstrząsały nią dreszcze. Gorzej już być nie mogło.

- Dobrze - szepnęła z poczuciem klęski. - Pojadę taksówką.

- Nie mów głupstw. - Ryerson wszedł do holu. Schował do kieszeni kluczyki i portfel.

- Dasz radę zejść sama, czy mam cię wziąć na ręce?

- Pójdę sama. - Wstała niepewnie. Nie było sensu dłużej się spierać. Ryerson wkroczył do akcji, więc musiała się poddać. Nawet jeśli oznaczało to początek końca ich romansu. - Och, Ryerson, czuję się okropnie.

Objął ją wpół i niemal zaniósł do windy.

- Nie martw się, kochanie. Wyzdrowiejesz. Lekarz da ci coś na obniżenie temperatury. Później zabiorę cię do domu i położę spać.

- Do domu? Zawieziesz mnie do mojego mieszkania? - spytała z nadzieją w głosie.
- Przywiozę cię tutaj. Do mnie. W takim stanie musisz mieć kogoś obok siebie.
- Ale...
- Cicho, Ginny. Teraz ja tu rządzę.

## ROZDZIAŁ 7

Prawdopodobnie zatrucie pokarmowe, tak brzmiała diagnoza lekarza. Mimo ogarniającej ją senności Virginia dała upust swojemu oburzeniu.

- Nie mogę w to uwierzyć. To była taka dobra restauracja.

- Możliwe, że to początki grypy. Słyszałaś, co powiedział lekarz.

- Sądzę, że to jednak zatrucie - stwierdziła stanowczo. - W przypadku grypy czułabym się coraz gorzej. Moja noga nigdy więcej nie postanie w tej knajpie.

- Mogło ci zaszkodzić to, co jadłaś na lunch. Symptomy choroby pojawiają się nawet dopiero po kilku godzinach. - Ryerson krzątał się żwawo po pokoju. Poprawił poduszki i zasłonił żaluzje. - Takie przypadki zdarzają się w najlepszych lokalach. O ile to jest rzeczywiście zatrucie.

- Mam nadzieję, że tak.

- Ja też. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Bo jeśli to przeziębienie, to na pewno wkrótce wyląduję bez żalu obok ciebie. Nie chciałbym nieoczekiwanie dostać mdłości, gdy będziemy się kochać.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Sytuacja wciąż napawała ją lekkim niepokojem, choć zachowanie Ryersona dodało jej odwagi. Przez cały czas był troskliwy i opanowany, Zajął się wszystkim jak dyplomowana pielęgniarka i nie okazał ani trochę zniecierpliwienia.

- Przykro mi, że sprawiam ci tyle kłopotu - szepnęła. Ciągle miała dreszcze, więc podciągnęła wyżej kołdrę.

- Ginny, proszę cię, przestań wreszcie przeproszać, bo się zdenerwuję. Idę zrobić herbatę. Zaraz wracam.

Skinęła głową. Bała się, że ze wzruszenia nie wykrztusi ani słowa. Przymknęła oczy i zapadła w półsen. Ocknęła się, gdy wyczuła przy łóżku obecność Ryersona.

- Dziękuję. - Podniosła się i wzięła filiżankę.

- Nie ma za co. - Usiadł obok niej. - Jak się czujesz? Możemy porozmawiać?

- O czym?

- Znasz odpowiedź. Skoro najgorsze minęło, powinnaś mi coś wyjaśnić. Obudziłaś się w nocy słaba i chora. Dlaczego próbowałaś uciec po kryjomu?

Utkwiła wzrok za oknem.

- Nie wiedziałam, jak zareagujesz - odparła z westchnieniem. - Mój mąż nie tolerował w domu chorych ludzi. Potrafił być bardzo okrutny. Raz, kiedy miałam anginę, powiedział, że wyglądam o dziesięć lat starzej. Kazał mi się wynieść do mojej siostry i zostać u niej, dopóki nie wyzdrowieję.

- I przypuszczałaś, że ja zachowam się tak samo?

Wzdrygnęła się, bo usłyszała w jego głosie wyraźną urażę.

- Bałam się ryzykować - przyznała szczerze. - Nic chciałam pokazywać ci się w tym stanie. Myślałam, że to zrujnuje nasz związek.

- Obawiałaś się, że twoja choroba zniechęci mnie do ciebie? Aż tak bardzo nie masz do mnie zaufania? Ginny, za kogo ty mnie bierzesz? Tyle nas przecież łączy. Musimy troszczyć się o siebie nawzajem.

- Romans to nie małżeństwo. Nie ma w nim miejsca na sprawy codzienne i przyziemne.

- A gdybym ja się rozchorował, usiłowałabyś pozbyć się mnie szybko?

- Oczywiście, że nie! Jak możesz tak mówić?

- Zgadnij, kto poddał mi ten pomysł?

- To zupełnie coś innego.

- Zapomnij wreszcie o tym, jaki był twój zmarły mąż. Musisz nauczyć się mi ufać...

- Ależ Ryerson...

Zaklął pod nosem.

- Ginny, przestań się łudzić. Nie unikniemy wzajemnych zobowiązań. To nierealne. Spędziliśmy na Toralinie bajkowy tydzień - to prawda. Ale teraz najwyższa pora wrócić do rzeczywistości. Czy tego chcesz, czy nie. I im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej dla nas obydwójga.

Oparła głowę o poduszkę. Tej nocy Ryerson tyle dla niej zrobił. Ona postąpiłaby zresztą tak samo, gdyby chodziło o niego. Rzeczywiście byli do siebie bardzo podobni.

- Tak - powiedziała cicho. - Zaczynam to rozumieć.

- Jak wyzdrowiejesz, pomówimy o twojej przewodniczce do mnie - stwierdził spokojnie po chwili milczenia.

Może on ma rację, przyznała w duchu. Pierwszy raz zaczęła o tym myśleć poważnie. Pomysł, aby zamieszkać z Ryersonem wydał się jej trochę mniej ryzykowny.

Jeśli sprawy między nimi nie ułożą się zgodnie z ich oczekiwaniami, zawsze będą mogli się rozstać. Formalnie pozostaną przecież wolni. Czyżby wczoraj się myliła? To, co



zapropował Ryerson wcale nie musi przypominać małżeństwa.

A jeśli tak?

To pytanie wciąż kołatało się jej w głowie, gdy zapadła w sen.

Patrzył na nią w zamyśleniu.

Do tej pory nie mógł się pozbierać po przeżyciach sprzed kilku godzin. Zachowanie Virginii wywołało u niego nie tylko gniew, ale również sprawiło mu głęboką przykrość. Nie przypuszczał, że jej kompleksy wyniesione z nieudanego małżeństwa okażą się tak silne.

Zebrał filizanki, aby je zanieść do kuchni. Po drodze zauważył na stoliku skórzaną torebkę. Z jej wnętrza zamruwały do niego zielono-białe ogniki. Uśmiechnął się. Bransoletka była w zasięgu ręki i przypominała o tym, co zdarzyło się na Toralinie.

Przy odrobinie szczęścia będzie świadkiem tego, co wydarzy się tutaj, w Seattle. Do diabła, przecież szczęście sprzyjało mu bezustannie od tamtego wieczoru, gdy poznał Virginie. Nic nie zdoła go teraz zatrzymać.

Obudziła się w południe z o wiele lepszym samopoczuciem. Odetchnęła głęboko kilka razy i stwierdziła, że żołądek prawie nie daje o sobie znać. Ból głowy także zniknął. Nabrała ochoty na kąpiel.

Nogi trochę się pod nią uginały, ale na nic innego nie mogła narzekać. Poczłapała do łazienki, ściągnęła koszulę i weszła pod gorący prysznic.

Drzwi uchyliły się prawie natychmiast. Do kabiny zajrzał Ryerson. Z wielkim zainteresowaniem obejrzał lśniące od wody, apetyczne wypukłości.

- Jesteś gotowa na porcję ostryg i tataru?

- Nie. Ale podczas jutrzejszego przyjęcia u Andersonów będę w lepszej formie. Obiecuję. Dzisiaj pozostanę przy bulionie z krakersami.

- Moja specjalność, przekonasz się. Zainteresowanie jedzeniem oznacza chyba, że nie masz grypy?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Skądże. To musiało być zatrucie - zakomunikowała radośnie.

- Świetnie, ale nie wyprowadzisz mnie w pole tym szczebiotem.

- Nie rozumiem.

- Nigdzie dzisiaj nie pójdziesz.

Przyznała po cichu, że ta perspektywa wcale nie martwi jej tak bardzo, jak mogłaby się tego spodziewać. Ryerson już podjął decyzję, a poza tym była sobota.

- Dlaczego chcesz mnie zatrzymać? - spytała podejrzliwie.

- Twój stan wymaga obserwacji - odparł ze znaczącym uśmiechem. - I to bardzo dokładnej.

Kiedy wyszedł, gapiła się na drzwi z otwartymi ustami. A więc to już, pomyślała. Powoli, lecz nieodwołalnie jej życie zaczynało tworzyć wspólną całość z życiem Ryersona, choć nie przebywali już w nierealnym świecie Toraliny. Tutaj musiała stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością i przyznać Ryersonowi rację. Pozbawiony problemów, bajkowy romans nie był możliwy.

Po południu odkryła u Ryersona nie znane talenty. Zrobił zakupy i przyniósł jej kwiaty. Własnoręcznie ugotował obiad i podał go bardzo elegancko. Zagrał z nią w warcaby i nawet pozwolił dwa razy wygrać. Tej nocy nie usiłował się z nią kochać. Wiedział, że jest jeszcze osłabiona, więc tylko obejmował ją czule, dopóki nie usnęła.

Miniony dzień przekonał Virginie, że przyjaźń z domieszką namiętności może być naprawdę przyjemna. Ale podstawowe pytanie, czy zacieśnić ten związek, pozostawało dalej bez odpowiedzi. Wciąż bała się wystawić na próbę wszystko, co już osiągnęła.

W niedzielę przekonała się, że oboje mają podobny rozkład dnia. Bez pośpiechu zjedli późne śniadanie i popijając herbatę czytali gazety. Słuchali muzyki Mozarta. Spokojna, domowa atmosfera niemal przekonała Virginie, że zamieszkanie razem jest możliwe. Taki weekend mógł przecież być początkiem ich wspólnego życia.

Tak, to wszystko miało sens.

Ryerson wyczuł jej rozterki i uśmiechnął się w duchu. Szczęście go nie opuszczało.

Andersonowie wydawali przyjęcie w swojej siedzibie na Mercer Island. Wytworny, piętrowy dom stał prawie nad brzegiem jeziora. Schody dużego tarasu prowadziły do wspaniałego, zadbanego ogrodu. Za nim znajdowała się prywatna przystań jachtowa. Rodzina Middlebrooków od dawna należała do kręgów miejscowego biznesu, toteż Virginia знаła większość spośród zaproszonych gości. Przedstawiła ich Ryersonowi, który od razu został zaakceptowany w tym gronie.

Szybko zauważył, że jego znajomość z Virginią budzi pewną sensację. Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Każdy słyszał jakieś plotki o nim i Debby. Teraz widział wokół siebie zaciekawione spojrzenia. Ostatnio tak pochłoneły go próby przekonania Virginii, że całkiem zapomniał o przelotnym romansie z jej siostrą.

- Słyszałem o pańskim zainteresowaniu córką Johna Middlebrooka - stwierdził łysiejący jegomość w średnim wieku, gdy Virginia odeszła na chwilę. - Myślałem, że chodzi o młodszą. Kiedy się pobieracie? Aha, jestem Sam Heatherington. Znam Ginny od pieluch.

Miła z niej dziewczyna i świetny materiał na żonę.

Ryerson mocniej ścisnął szklanekę z whisky. Odszukał wzrokiem Virginie. Rozmawiała z ożywieniem, a jej śliczne, orzechowe oczy błyszczały. Emanowała dziś niezwykłym urokiem i pewnością siebie. Błękitnozielona jedwabna suknia podkreślała walory jej sylwetki. Rzeczywiście, to była wspaniała towarzyszka życia dla niego. Miedzy ludźmi prawdziwa dama, a w łóżku namiętna kochanka.

Zauważył na jej przegubie błysk szmaragdów. Złapał się na tym, że zaczyna traktować bransoletkę jak ślubną obrączkę. Przypominała stale o tym, co ich łączyło. Dziś wieczorem miał przemożną ochotę powiedzieć o tym wszystkim. Świadomość, że nie wolno mu tego zrobić, doprowadzała go do szału.

Pragnął jak najszybciej usankcjonować ten związek. Na dłuższą metę nie odpowiadał mu ten dziwny stan zawieszenia pomiędzy przyjaźnią a małżeństwem.

- Zgadzam się z panem - odparł, odwracając się do Sama Heatheringtona. - Muszę przyznać, że znaleźliśmy wspólny język z Ginny.

- Po prostu para dobrych kumpli, czy tak? - Heatherington mrugnął znacząco. - Nie ma sprawy, rozumiem.

- Naprawdę? - Ryerson spojrzał na niego chłodno.

- Jasne - odparł Sam ze zrozumieniem. - Choć jestem trochę zaskoczony. Ginny dużo przeszła. Ten skurczybyk, jej pierwszy mąż, dał jej nieźle popalić. To żadna tajemnica. Facet chciał położyć łapę na firmie, ot co. Prawda, skarbie? - zwrócił się do atrakcyjnej, lecz już niemłodej kobiety, która pojawiła się u jego boku. - Poznaj A.C. Ryersona, nowego właściciela Middlebrook Power Systems, Panie Ryerson, moja żona Anne.

- Bardzo mi miło. - Nie ukrywała ciekawości. - Od dawna przyjaźnimy się z Middlebrookami. Mój mąż ma rację. Jack Winthrop tylko raz zrobił coś dobrze, kiedy wpadł samochodem na drzewo. Ale przedtem wyrządził Virginii wielką krzywdę. Wątpiłam, czy ta dziewczyna kiedykolwiek zdecyduje się na powtórne zamążpójście. Cieszy mnie, że chyba się myliłam.

Ryerson odchrząknął. Tych dwoje wyraźnie ciągnęło go za język, a on nie mógł potwierdzić, że planuje ślub z Ginny. Ani nawet wspomnieć, że ona z nim mieszka. Psiakrew.

- Właśnie powiedziałem pani mężowi, że Virginia i ja jesteśmy - hm - dobrymi przyjaciółmi. Łączy nas wiele wspólnego. - Do licha, cóż to za dyplomatyczna wypowiedź. Kusilo go, żeby powiedzieć prawdę. Ale nie mógł. Jeszcze nie teraz.

- Mówi pan, że to tylko zrozumienie? A co o tym sądzą John i Leona? Ciekawe, jak oceniają przyjaźń córki z człowiekiem, który kupił ich rodzinne przedsiębiorstwo?

- Dlaczego sama ich pani o to nie zapyta? - warknął. Miał już tego dość. Odwrócił się na piecie i wmieszał w tłum. Wiedział, że jeszcze chwila i wybuchnie.

Inni goście okazali się mniej wścibscy, ale Ryerson zdawał sobie sprawę, że podobne pytania nurtują nie tylko Annę i Sama Heatheringtonów. A on musiał zachować dyskretne milczenie. W przeciwieństwie do niego, Virginia nie przejmowała się tymi wszystkimi objawami zainteresowania ze strony niektórych znajomych. Jej opanowanie zirytowało go jeszcze bardziej.

Tuż po dziesiątej rozejrzał się wokół, szukając Virginii. Zauważył ją bez trudu. Znacznie przewyższała wzrostem większość obecnych tutaj pań. Wyglądała jak królowa, pomyślał. Jest też równie dumna i uparta, dodał ponuro. Dopił trunek i zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę.

Na jego widok uśmiechnęła się z radością. Obecność Ryersona napawała ją optymizmem. Oto mężczyzna, na którym kobieta może polegać, przemknęło jej przez głowę.

- Cześć. Dobrze się bawisz? - zapytała.

- Niezbyt. Głównie staram się odpowiadać wymijająco na temat naszego związku.

- Wiem. - Parsknęła śmiechem. - Mnie też o to pytano. Najpierw usiłowali się połapać, czy chodzi o mnie, czy o Debby. Później chcieli wiedzieć, czy ty i ja mamy poważne zamiary.

- Chyba uświadomiłaś ich, że tak? - Wyjął jej z dłoni kieliszek. - Wyjdźmy na zewnątrz. Powinniśmy chyba porozmawiać.

- Teraz? Czy coś się stało?

- Nic, czego nie moglibyśmy naprawić. Chodź. - Wziął ją za rękę i wyprowadził na taras, a stamtąd do ogrodu.

Czerwcową noc była dosyć chłodna, ale Virginia odetchnęła z przyjemnością.

- Spójrz, jaki wspaniały widok. - Wskazała dłonią na światła miasta po drugiej stronie jeziora. - Powietrze jest dzisiaj wyjątkowo przejrzyste. Zdążyłam zapomnieć, że stąd roztacza się taka malownicza panorama. Ten ogród to oczko w głowie Billa Andersona.

Zaczekał, aż skończy paplać.

- Porozmawiajmy o nas, Virginio.

Aha, pomyślała, czując ogarniające ją napięcie. Ryerson stracił w końcu cierpliwość.

- Sądzisz, że to odpowiednie miejsce i czas, aby o tym mówić? - spytała cicho. Usiłowała dalej grać na zwłokę.

- Nie potrafię już dłużej czekać. - Puścił jej rękę i przesunął palcami po wypukłym ornamencie bransoletki. - Wszyscy chcą wiedzieć, czy planujemy małżeństwo. Nie proszę cię o zgodę na ślub. Odpowiedz mi tylko na pytanie, które zadałem ci dwa dni temu.

Zamieszkasz ze mną?

Zawahała się. Na końcu wąskiej, wyłożonej kamyczkami ścieżki znajdował się nieduży staw. Podeszła do rosnącego nad brzegiem krzaka i musnęła lekko aksamitny pączek róży.

- Rzeczywiście tego chcesz, Ryerson?

- Pragnę ciebie. Bez wizyt i dojazdów, lecz przez cały czas.

- Zastanawiałam się nad twoją propozycją - zaczęła ostrożnie,

- Znow próbujesz uciekać, Ginny? Zapomnij o bajkowej przygodzie. Myślisz, że dam się wodzić za nos?

- Słuchaj, Ryerson. Ten problem jest zbyt poważny, żeby mogła od razu powiedzieć tak lub nie.

- Do cholery, przecież to jakaś paranoja! - Podszedł do niej z groźną miną. - Nie widzę żadnego problemu, poza twoim tchórzostwem!

Wysunęła wojowniczo podbródek.

- Przestań wrzeszczeć. Usiłuję skłonić cię do rozsądnej dyskusji. To dotyczy nas obydwójga, więc wysłuchaj spokojnie moich argumentów.

- Znam je na pamięć. Są równie mądre, jak twój były mąż.

Przeraziła ją taka gwałtowność. Cofnęła się jeszcze o krok.

- Zrozum, Ryerson, że nie jest mi łatwo. Gdybyś chociaż...

- Gdybym co? Dal ci może trochę więcej czasu? Nie ma mowy. Żądam odpowiedzi i udzielimy ci jej teraz.

Tym razem zdenerwował ją nie na żarty.

- Jakim prawem tak mnie traktujesz? - wrzasnęła.

- Nie będę ci się tłumaczył, ty nędzny tchórze! Masz mi zaraz powiedzieć, że zamieszkasz ze mną!

- Wcale nie jestem tchórzem! - Krzyknęła, gdy obcas ześlizgnął się po omszałym kamieniu. - A poza tym... Och, nie! - Straciła równowagę i odruchowo złapała gałąź, która została jej w ręce. Virginia z głośnym chłapnięciem wylądowała w stawie.

- Do jasnej cholery, nic ci się nie stało? - Rzucił się nią, nie bacząc na to, że zniszczy kosztowne pantofle i garnitur.

Wypluła kilka liści i posłała mu mordercze spojrzenie.

- A jak myślisz? Woda jest lodowata. - Zignorowała jego wyciągniętą rękę i na czworakach wy dostała się na brzeg. Zwoje mokrego jedwabiu przylegały niedyskretnie do ciała. - Zobacz, co zrobiłaś!

- Ja?! Sama jesteś sobie winna! Nie musiałaś tak zwlekać.

- Och, naprawdę? - syknęła. - Moja wersja zdarzeń wygląda inaczej. Próbowalesz mnie zastraszyć. Przez ciebie wykapałam się w stawie i zniszczyłam sobie sukienkę. Nie dałeś mi żadnej szansy na kulturalne udzielenie odpowiedzi.

- Jaka jest odpowiedź? - ryknął.

- Odpowiedź brzmi: tak!

Na chwilę zaniemówił z wrażenia.

- Nie oszukujesz mnie? Będiesz ze mną mieszkać?

- O ile wcześniej nie umrę na zapalenie płuc - stwierdziła kwaśno.

- Ginny! - Chwycił ją w ramiona i niecierpliwie odnalazł jej usta. - Kochanie, przysięgam, że tego nie pożałujesz. Zobaczysz.

Instynktownie objęła go za szyję i przytuliła z całej siły.

- Skoro tak mówisz, Ryerson.

- Właśnie tak. - Znów wycisnął na jej wargach gorący pocałunek. Cofnął się i z dwuznacznym uśmiechem obejrzał ją od stóp do głów. - No to możemy jechać do domu. Mamy teraz doskonałą wymówkę. Jesteś całkiem przemoczona. - Otulił ją swoją marynarką.

- Masz rację. Strasznie mi zimno. Jeśli przemkniemy się tędy na podjazd, nikt nas nie zobaczy.

- Żadnego przemykania - zakomunikował stanowczo. - Wrócimy grzecznie na przyjęcie i powiemy gospodarzom: do widzenia.

- Oszalałeś? Spójrz, jak wyglądam. Twoje spodnie też są mokre. Co ludzie o nas pomyślą?

- Prawdopodobnie tylko tyle, że mieliśmy ochotę na małe sam na sam i przy okazji wpadliśmy do stawu.

Zachichotała.

- Żartujesz, Ryerson. W coś takiego nikt nie uwierzy. Za dobrze nas znają.

- Tak ci się wydaje. Za jednym zamachem wyjaśnimy im wszystkie wątpliwości, jakie mieli na nasz temat. Nikt już nie zapyta, czy mamy względem siebie poważne zamiary. Niech wreszcie poznają prawdę.

Godzinę później leżała w łóżku Ryersona. Zgasił lampę i wsunął się pod koc obok niej.

- Ty potworze - zaczęła oskarżycielskim tonem - zrobiłeś to specjalnie. Słyszałam, co powiedziałeś pani Anderson. Dałeś jasno do zrozumienia, że w chwili namiętności, przypadkiem zawadziłam nogą o kamień i pociągnęłam cię za sobą.

- Czyżbym kłamał? - Uśmiechnął się z zadowoleniem i przytulił ją do siebie.
- Oczywiście. To była przecież kłótnia. Nie mieliśmy wtedy zamiaru się kochać.
- Uważam, że na swój sposób kochaliśmy się.
- Nie rozumiem.

Pochylił się nad nią i kolanem uwięził jej nogę.

- Przecież wtedy powiedziałaś mi, że zgadzasz się na wspólne życie ze mną. Uznaję to za akt miłości.

Akt miłości. To sformułowanie zawisło między nimi. Powoli powtórzyła je w myśli.

Akt miłości. Te dwa słowa kojarzyły się jej z różnymi pojęciami. W eufemistyczny sposób określały uprawianie seksu. Ale miały także i inne znaczenie. Mówiły o prawdziwych uczuciach. Aż do dziś oboje z Ryersonem starannie unikali wyrazu miłość. W tej chwili analizowali jego znaczenie.

- Bez paniki - powiedział cicho. - Damy sobie radę.
- Na pewno? - Przecież on nie wierzy w miłość. Był zanadto praktyczny, aby przejmować się jej romantycznymi mrzonkami.
- Stawiam cały swój majątek, że wygram. Tak jak wtedy bransoletkę.
- Tyle zmian naraz - szepnęła. - To tempo trochę mnie niepokoi.
- Głowa do góry. Poradzimy sobie.
- Ty nie odczuwasz żadnych obaw?
- Postanowiłaś być ze mną, więc jestem pewny, że nam się powiedzie. - Schylił się i pocałował delikatnie jej szyję.

- Pomyśl, że jeszcze niedawno obojętnie dyskutowaliśmy o komfortowej przyjaźni, która do niczego nie zobowiązuje. - Zadrżała leciutko z rozkoszy, gdy poczuła ciepłe wargi na swoich nagich piersiach. Zagłębiła palce w jego włosy i uniosła się, aby przyłgnąć do niej jeszcze bardziej.

- Pamiętam. Ale nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi co wtedy. - Powoli przesunął ustami po jedwabistej skórze na jej brzuchu.

- Co się z nami stało?

- Nie wiem. Może Toralina była czymś więcej niż tylko baśniowym światem, który po tygodniu zostawiliśmy za sobą? Może zmieniła całe nasze życie? Zauważyłaś, Ginny, że stopniowo zachodzi w nas jakaś metamorfoza?

- Tak - szepnęła. - Chyba masz rację. - Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy pogładził ją po wewnętrznej stronie uda. - Zmieniliśmy się i przypuszczam, że dziś u Andersonów sporo ludzi zdało sobie z tego sprawę. Zwłaszcza po tym, jak

przemaszerowaliśmy przez salon, ociekając wodą.

Zaśmiał się cicho i sięgnął dłonią wyżej, do ciepłego, wilgotnego miejsca, które zaczął czule pieścić. Wtuliła się w niego i przerzuciła nogę przez jego biodro. Zrewanżowała się równie intymnymi pieszczotami. Wywołały one a Ryersona namiętne reakcje, które sprawiły jej niewymowną radość.

On zwodził ją i przedłużał w nieskończoność zmysłową grę, aż usłyszał, że błaga o spełnienie.

- Niedługo - obiecał. - Już niedługo.

- Teraz - szepnęła nagle. - Chcę ciebie.

- Powiedz mi dokładnie, jakie masz życzenia.

Przyciągnęła go do siebie i mocno oplotła nogami. Uwodzicielskim głosem wyjaśniła mu obrazowo, czego pragnie. Wiedziała, że jej słowa i gardłowa intonacja doprowadzały Ryersona do szaleństwa.

- Och, Ginny - zamruczał. - Moja słodka. Potrafisz zrobić ze mną wszystko, co zechcesz.

- W jaki sposób? - spytała. - Opowiedz mi o tym dokładnie.

Nie pożałował jej szczegółów.

Następnego dnia pojechali po pracy do domu Virginii. Ryerson, jak zwykle, zaplanował przeprowadzkę w najdrobniejszych szczegółach.

- Zabierzemy twoje ubrania i to, co zmieści się do bagażnika. Resztę weźmie na siebie firma przewozowa. Część rzeczy, na przykład niektóre meble, możemy wysłać do domku letniskowego. Nigdy nie zdażyłem go urządzić całkowicie.

- Może powinnam zatrzymać to mieszkanie - powiedziała z wahaniem, wkładając klucz do zamka. Wciąż nie mogła uwierzyć w zmianę w jej życiu.

- Nie będzie ci potrzebne - odparł krótko i pchnął drzwi.

Już chciała odpowiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach. To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie.

- O Boże - szepnęła bez tchu na widok pobojuwiska - zostałam okradziona.



## ROZDZIAŁ 8

- Jak to jest możliwe? - zawołała, dławiąc się z oburzenia. - Niech diabli wezmą tego łobuza, który to zrobił. Zaminuję całe podwórko. Kupię ogromnego psa. Albo karabin. Następnym razem nie pójdzie im tak łatwo. - Z wściekłością miotła się po pokoju, usiłując zaprowadzić w nim jakiś ład.

- Uspokój się, Ginny. Wezwaliśmy już policję. Obejrżeli każdy kąt i spisali protokół. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Chcę mieć strzelbę.

- Nie potrzebujesz broni. Będziesz mieszkać ze mną. - Ryerson spojrzał na rozprutą nożem poduszkę. Pierze wałało się po całej podłodze. Zacisnął pięść w bezsilnej złości, ale nic nie powiedział.

- Zobaczymy. Jeśli się teraz wyprowadzę, ten bandzior gotów pomyśleć, że napędził mi stracha.

Podszedł i ujął ją za ramiona.

- Ginny, to nie western. Masz prawo do gniewu, ale zachowaj rozsądek.

- Mam się po prostu grzecznie stąd wynieść? - Wszystko się w niej gotowało.

- Owszem. - Wyjął jej z rąk stos czasopism. - Uprzątniemy ten bałagan, spakujemy walizki i wrócimy do Seattle.

- Och, sama nie wiem. Chyba powinnam tu posiedzieć dzień lub dwa. Ten osobnik może wrócić.

- I chcesz na niego poczekać? Nie bądź niemądra, Ginny. Nie masz ani pistoletu, ani psa, ani nawet pułapki na myszy.

- Ty mógłbyś ze mną zostać.

- Mógłbym, ale nie chcę. Miałaś zamieszkać u mnie. I tak będzie. Zacznij pakować swoje rzeczy.

Odwróciła się niechętnie i poszła do holu. Wiedziała, że złość ją zaślepia. Ryerson rozumował logicznie, lecz wcale nie musiała głośno przyznać mu racji.

- I tak kupię pistolet - mruknęła z uporem.

- Nie ma mowy.

- Zobaczymy. Nauczę się strzelać.

- Virginio, oboje wiemy, czego dowodzą dane statystyczne. Większość broni palnej wyrządza krzywdę jej właścicielom lub niewinnym ofiarom. Rzadko się zdarza, że kula dosięgnie przestępcy.

- Przestań mnie pouczać.

- Zrobisz tak, jak mówię.

- Och, daj mi spokój.

Skoczył w jej stronę z taką miną, że cofnęła się przestraszona.

- Ryerson? - szepnęła.

Patrzył na nią zimnym wzrokiem.

- Żadnej broni - powiedział twardo. - Zrozumiałaś? Nie umiesz się nią posługiwać i w ciągu paru dni się nie nauczysz. Cholera, nawet ekspert popełnia czasem błąd. Słyszałaś, co powiedziałem o przypadkowych postrzałach? Nie wysłałem tego z palca.

Zaczynała rozumieć, do czego zmierzał.

- O czym ty mówisz? - spytała przez zaciśnięte gardło.

- Mój ojciec kolekcjonował dubeltówki, Oczywiście pokazał mnie i mojemu młodszemu bratu, jak należy się z nimi obchodzić. Zawsze twierdził, że znajomość zasad i ostrożność są gwarancją bezpieczeństwa. Którejś nocy Jeremy wrócił późno z randki i nie chciał nikogo budzić. Wszedł przez okno, ale ojciec sypiał czujnie.

Przymknęła oczy. Wiedziała, co zaraz usłyszy.

- Pomyślał, że to włamywacz i strzelił. Jeremy cudem przeżył. Nasz tato nigdy nie wybaczył sobie tego, co się stało. Następnego dnia wyrzucił z domu ten cały arsenał.

- Straszna historia.

- Tak. Dlatego powtarzam: żadnej broni, Virginio.

Straciła chęć do kłótni.

- Jednego nie rozumiem - odezwała się po dłuższej chwili. - Zdemolowali całe mieszkanie, ale nic nie ukradli. Już drugi raz spotyka mnie taka niemiła przygoda. Najpierw na Toralinie, a teraz tutaj. To nie fair.

- Zgadzam się.

Zastanowił ją dziwny ton jego głosu. Intuicyjnie wyczuwała, że Ryerson myśli o tym samym. Wróciła do salonu.

- Chyba nie przypuszczasz, że...

- Że te przypadki mają ze sobą coś wspólnego? - dokończył. - Skądże. To zupełnie nieprawdopodobne. Toralina znajduje się daleko stąd. Tamten facet był po prostu hotelowym

złodziejem. Szukał czegoś cennego. - Próbował ją uspokoić, ale mu się nie udało.

- Może i tu chciał znaleźć coś wartościowego. - Oblizła wargi, - Przewrócił cały dom do góry nogami, bo miał dużo czasu - spekulowała.

- Ale nic nie zabrał.

- Może nie znalazł tego, czego szukał?

- Virginio, ponosi cię wyobraźnia. Nie ma żadnego związku między tymi dwoma włamaniami. W przeciwnym razie ktoś musiałby nas śledzić przez cały czas od powrotu z Meksyku. I dlaczego akurat nas? Tam było mnóstwo zamożniejszych ludzi niż my.

Przycupnęła na poręczy kanapy.

- Bransoletka.

Nie okazał zdziwienia. Natychmiast zrozumiała, że on także o tym pomyślał. Odłożył naręczę gazet i usiadł w fotelu. W milczeniu wpatrywał się w czubki swoich wielkich mokasynów.

- Wiedział o niej jedynie Harry Brigman - stwierdził w końcu.

- A jeśli spróbował ją odzyskać? Jeśli to rzeczywiście rodzinny klejnot, którego nie miał prawa stracić? Dużo cenniejszy, niż nam się wydaje?

- Może Brigman po prostu nie lubi przegrywać. - Oparł łokcie na kolanach.

- Zdajesz sobie sprawę, że zaczynamy fantazjować? Pospolite kradzieże zdarzają się codziennie w najlepszych hotelach na całym świecie.

- Prawdę mówiąc wolałabym, żeby tych dwóch zdarzeń nic nie łączyło.

- Jest sposób, żeby szybko wyjaśnić nasze wątpliwości.

- Jaki?

- Mogę wysłać fax do komisariatu policji na Toralinie i dowiedzieć się, czy złapano tego złodzieja. Jeżeli wpadł i siedzi w więzieniu, to z pewnością mieliśmy tu wizytę kogoś innego.

- Doskonały pomysł.

- Zajmę się tym jutro. Teraz zrobimy trochę porządku i jedźmy. Prom nie poczeka.

- Gdyby jednak się okazało, że mamy powody do niepokoju. Wtedy chyba powinnam kupić pistolet.

Ryerson złapał ją za ramię i stanowczo skierował w stronę sypialni.

- Dosyć, Virginio. Ani słowa więcej na ten temat. Spakuj wreszcie walizki.

- Ryerson, muszę cię ostrzec. Długo mieszkałam sama. Strasznie nie lubię, gdy ktoś mi rozkazuje.

- Ja też muszę cię ostrzec. Źle reaguję na taki ośli upór. Bierz swoje rzeczy.

Dwa dni później Virginia siedziała przy biurku, gdy zadzwoniła Debby.

- Zapraszam cię na lunch.

- Zapraszasz, czy płacimy po połowie?

- Dzisiaj niech będzie na mój koszt. Musimy uczcić twoją kapitulację,

- Co takiego?!

Debby zaśmiała się wesoło.

- Rozmawiałam z mamą. Mówiła, że podałaś swój nowy adres.

- Jak rodzice przyjęli tę nowinę? - Virginia nerwowo postukiwała ołówkiem w blat. - Mama sprawiała wczoraj wrażenie zaskoczonej, ale oszczędziła mi morałów. Powiedziała tylko: Och, rozumiem.

- Cieszy się, że wreszcie kogoś masz, a jednocześnie jest zgorzonna, że żyjesz z nim bez ślubu. Upowiedziałam ją, żeby zanadto nie liczyła na prawowitego zięcia. Wiesz, ona mi wciąż ma za złe, że nie wyszłam za Ryersona.

- Chyba nie sądzi, że ja to zrobię. Ryerson i ja nie chcemy się wiązać ma stałe.

- Ech, początkowo wszyscy tak mówią - enigmatycznie stwierdziła Debby. - Co z tym lunchem?

- Musisz obiecać, że darujesz sobie toasty za moją, hm... uległość.

- No dobrze, ale psujesz mi zabawę.

Ustaliły godzinę oraz miejsce i Virginia odłożyła słuchawkę, ale w głowie wciąż dźwięczało jej słowo ślub. Napawało niepokojem. Ale przecież ona i Ryerson nie zamierzali się pobrać. Mieszkali ze sobą i był to wygodny układ oparty na wzajemnym zrozumieniu i namiętności. Nic więcej.

Ta argumentacja trochę ją uspokoiła.

Spotkały się o pierwszej w Pike Place Market, eleganckiej restauracji w centrum miasta. Jak zwykle Debby była w znakomitym humorze i paplała bez przerwy.

- Co za spotkanie. Jakaś autorka podrzędnej literatury miała temat na bestseller. Oto my - dwie rodzone siostrzyczki, które zakochały się w tym samym mężczyźnie Jakie to ekscytujące. A wszystko odbyło się bez łez i konfliktów.

Virginia uśmiechnęła się z rozbawieniem i spojrzała uważniej w śliczne oczy Debby.

- A był jakiś powód do łez?

- Coś ty, zartowałam. Cieszę się, że to ty zajęłaś moje miejsce u boku Ryersona. Tworzycie udaną parę. Gdybyś miała jeszcze jakieś wątpliwości, to on nigdy do mnie nie należał.

- Wiem - mruknęła.

- Naprawdę? - Debby zachichotała. - Głowę dam, że wyjaśnił ci to w ciągu pierwszego kwadransu waszej znajomości.

- Szczerze mówiąc, tak.

- Cały Ryerson. Niczego nie owija w bawełnę, prawda? Zawsze rzetelny i dokładny. Straszny nudziarz, nie ma co. Początkowo nawet mi się podobał. Kawał chłopca, no i taki solidny. Zawsze można na niego liczyć. Często jednak nie wiedziałam, co on naprawdę myśli. Nie potrafiłam go rozruszać. Nawet perspektywa wspólnego wyjazdu nie robiła na nim większego wrażenia. Wtedy się połapałam, że coś jest nie tak.

- Dajmy spokój tym rozważaniom. Najważniejsze, że już ci na nim nie zależy.

- Ojej, Ginny. Strasznie lubię plotkować o mężczyznach. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi takie interesujące okazy.

- Znajdźmy inny obiekt. Na kogo teraz zarzuciłaś sieci?

- Na Toma Cantera. Jest maklerem na giełdzie. W zeszłym roku zarobił dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów z samych tylko prowizji. Świetny facet. No i przepada za hard rockiem.

- Ryersonowi puchły od tego uszy.

- Jego muzyczne gusty są równie beznadziejne, jak twoje. Co zamawiasz?

- Makaron z papryką i wędzonym łososiem.

- Brzmi apetycznie. Ja chyba wezmę rybę. I może małą sałatkę.

- Mógłbym się przysiąść? - Rozległ się znajomy, męski głos.

- Ryerson! - Nieoczekiwane spotkanie bardzo Virginie ucieszyło. Schylił się i pocałował ją w policzek. - Siadaj. Debby, nie masz nic przeciwko temu?

- Skądże. Skończyłyśmy już mówić o tobie, Ryerson i obgadujemy już kogoś innego. Co robisz w śródmieściu? Chyba zakupy, sądząc po tej torbie. Masz tam coś ciekawego?

- Nic specjalnego - mruknął, wpychając pod krzesło plastikowy worek z firmowym nadrukiem jakiegoś butiku. - Ginny, chciałem cię zabrać na lunch, ale sekretarka powiedziała, że ubiegła mnie twoja siostra.

- Masz szczęście. Debby dzisiaj stawia.

- Zaraz, zaraz. - Debby zrobiła przerażoną minę. - Zaprosiłam jedną osobę, a nie dwie.

- Przypomnij sobie, ile wydałem na te ohydne koncerty. Masz okazję do rewanżu.

- Musisz wiedzieć, że ten lunch ma uroczysty charakter. Świątujemy z okazji przełomowej decyzji, którą ostatnio podjęła Ginny.

Ryerson uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Hm, przyznaję, że oboje z Ginny już to uczciliśmy na swój sposób. Niech ci będzie, płacę za siebie.

- Przestańcie się handryczyć, bo nie zdążymy zjeść - wtrąciła szybko Virginia. Obserwowała siostrę i Ryersona. Zachowywali się swobodnie. Nic nie wskazywało na to, że Debby czegoś żałuje.

Kończyli już posiłek, gdy Ryerson zauważył w sali kogoś znajomego.

- Ginny, powiedz kelnerowi, żeby dolał mi kawy, dobrze? Muszę zamienić parę słów z Rawlinsem. Podobno szukał mnie od samego rana.

Wstał, a pakunek pod krzesłem zaszeleścił tajemniczo. Virginia zerknęła na torbę z zainteresowaniem. Ryerson nie wspominał, że czegoś potrzebuje. Jej biuro mieściło się tuż obok centrum handlowego. Mogła z łatwością kupić jakieś drobiazgi. Zastanawiała się, dlaczego jej o to nie poprosił.

- A teraz szybko wyznaj prawdę - rozkazała Debby, gdy zostały same. - Macie zamiar założyć rodzinę?

- Wiesz, że nie podejmuję dyskusji na ten konkretny temat - odparła stanowczo. Dobry nastrój ulotnił się w jednej chwili.

- Chcesz z nim tylko wspólnie mieszkać, ale za niego nie wyjdiesz?

- Właśnie tak postanowiliśmy. Rozumiemy się doskonale i to nam zupełnie wystarcza. I przestań wreszcie mnie męczyć.

- Ale co naprawdę Ryerson o tym sądzi? On nie jest typem wiecznego kawalera. Uwielbia domowe ognisko i wszystkie jego rozkosze.

- Już ci mówiłam, Ryerson akceptuje mój punkt widzenia. Wolny związek odpowiada nam obojgu. Porozmawiajmy o czymś innym.

- Psiakość, dlaczego starsze siostry nie pozwalają młodszym na odrobinę uciechy. A przecież... Ojej, uważaj!

Kelner usiłował ominąć kogoś, kto nieoczekiwanie zerwał się od sąsiedniego stolika. Gorąca kawa chlapnęła na krzesło Ryersona.

- O Boże, paczka! - jęknęła Virginia.

- Mam ją. - Debby błyskawicznie złapała torbę, ale tak niefortunnie, że niechcący wyrzuciła jej zawartość.

Na podłogę spłynął z wdziękiem czerwony i niesamowicie seksowny gorsecik z podwiązkami.

Virginia gapiała się na niego z otwartymi ustami. Debby pękała ze śmiechu.

- Nigdy w życiu bym nie uwierzyła, że A.C. Ryerson kupi coś tak erotycznego dla

swojej wybranki! Jezu drogi, Ginny, ta szmatka jest niesamowita!

Oszołomiony kelner wymamrotał przeprosiny, wytarł krzesło i umknął na zaplecze. Virginia sięgnęła po gorset. Czując, że jej twarz jest dokładnie w tym samym kolorze, lecz mimo to miała ochotę parsknąć śmiechem.

Nieoczekiwanie czyjaś wielka dłoń chwyciła białe bielizniane cudo. Obszuty koronkami cieniutki jedwab wyglądał w silnych palcach wyjątkowo delikatnie. Ten widok przypomniał Virginii, jak czuły a jednocześnie silny był w łóżku Ryerson. Poczuli, że rumieni się jeszcze bardziej. Napotkała jego wzrok. Było w nim tkliwe rozbawienie.

Ryerson bez słowa wrzucił bieliznę do torby. Zabawny incydent wcale go nie zmieszał. Z równie obojętną miną zasiadał pewnie na dorocznym zebraniu rady nadzorczej.

- Kiedy już przestaniecie chichotać, to wypijemy kawę i pójdziemy. - Spojrzał na zegarek. - Robi się późno.

Debby na szczęście zachowała dyskretne milczenie i Virginia była jej za to niezmiernie wdzięczna. Ryerson odprowadził ją do pracy.

- Kupiłem to dla ciebie na dzisiejszy wieczór - szepnął, całując ją na pożegnanie. - Dziś jest rocznica.

- Jaka rocznica?

- Minęło dziesięć dni od naszej pierwszej nocy na Toralinie.

- Och! Rozumiem. Daj mi tę torbę. Będę w domu wcześniej niż ty.

- Chcesz to mieć na sobie, szykując koktajle?

- Może nie będą mi dziś potrzebne - zamruczała uwodzicielsko i pchnęła szklane drzwi biurowca.

Patrzył na nią z uśmiechem. Wyobrażał ją sobie z bransoletką na ręce i w skąpym gorsecie, który więcej ujawniał, niż zakrywał. Poczul przyływ podniecenia.

Ruszył do mercedesa, cicho pogwizdując. Był najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Wpadł do mieszkania jak burza. Już nie gwizdał radośnie. Stwierdził, że Virginii jeszcze nie ma i jego niepokój zmienił się w przerażenie. Zajrzał do każdego pokoju, ale nie zauważył śladów jej bytności. A więc nie wróciła.

Zawsze przychodziła dużo wcześniej niż on. Pracowała dwa kroki stąd. Złapał słuchawkę i zadzwonił do jej biura. Nikt nie odpowiadał.

Patrzył przez okno na zatokę i próbował się opanować. Virginia mogła przecież wstąpić do sklepu lub załatwić pilną sprawę służbową, o której zapomniała mu powiedzieć.

Da jej jeszcze kwadrans.

No dobrze, a co później? Ma zawiadomić policję, bo Ginny spóźniła się o pół godziny?

Przesłuchał taśmę automatycznej sekretarki, ale nie znalazł żadnej wiadomości dla siebie. Niecierpliwie wystukał numer telefonu Debby. Bez rezultatu.

Jej rodzice.

Znów sięgnął po aparat, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Pognał do holu.

- Gdzie ty się, do licha, podziewałaś?

Odłożyła kilka pakunków i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Odebrałam rzeczy z pralni. Nie przypuszczałam, że zjawisz się wcześniej. Ryerson, czy coś się stało?

- Powinnaś od dawna być w domu.

- Tak, ale w ostatniej chwili przypomniałam sobie o tych ubraniach. Nie rozumiem, dlaczego się denerwujesz. Na pewno zdążę włożyć ten seksowny gorsecik.

- Niech go diabli wezmą - zgrzytnął. - Od dzisiaj będziesz mnie uprzedzać, że się spóźnisz. Chcę wiedzieć, co przez cały dzień robisz i gdzie bywasz. Musisz zostawiać wiadomość na taśmie albo u pani Clemens. A najlepiej, jak spiszesz swój rozkład dnia i zaczniesz go przestrzegać. Co do minuty. Czy to jasne?!

Rozkład dnia! Tego już za wiele.

- Słuchaj no, Ryerson. Po pierwsze, uprzedzałam, że nie lubię żadnych rozkazów. Po drugie, ani mi się śni wyliczać ze swojego czasu. Jeśli sądzisz, że potulnie zastosuję się do twoich śmiesznych żądań, to bardzo się mylisz. Nie możesz wpadać w gniew, gdy przychodzę pięć minut później z pracy.

Zaatakował ją zbyt gwałtownie i dobrze o tym wiedział. Natomiast ona nie mogła zrozumieć, dlaczego. Musi jej to wyjaśnić.

- Już dobrze, Ginny. Uspokój się.

- Raczej ty się uspokój. Gdybym przypuszczała, że taki z ciebie choleryk, nie zamieszkałabym z tobą. Nie jesteśmy małżeństwem, Ryerson. A nawet gdybyśmy byli, to nie zgodziłabym się na takie traktowanie. Przypominasz mojego męża. Nigdy więcej nie pozwolę już żadnemu mężczyźnie na takie traktowanie.

W głosie Virginii pojawiła się nuta hysterii. Zdawał sobie sprawę, że z jego winy.

- Zaczekaj. Pozwól mi wszystko wyjaśnić.

- Nie zaczekam. Jestem wściekła. Nie wolno ci na mnie wrzeszczeć. Jeszcze tego pożałujesz. Nie masz prawa zachowywać się w ten sposób.



- Właśnie, że mam! - ryknął. - Odchodziłem od zmysłów, czekając na ciebie.
- Z powodu paru minut spóźnienia? - prychnęła ze złością.
- Wcale nie dlatego! Dziś po południu dostałem wiadomość z Toraliny. Ktoś w końcu raczył odpowiedzieć na mój fax.
- Z Toraliny? - powtórzyła cicho. - Złapali wreszcie tego złodzieja?
- Niezupełnie. Wcale go nie szukali. Byli zajęci czymś dużo poważniejszym. Zabójstwem.
- Kogoś zamordowano? W hotelu?
- Tak. Harry'ego Brigmana. Możliwe, że wtedy w nocy do naszego pokoju zakradł się morderca.

## ROZDZIAŁ 9

- Nie powinienem był tak krzyczeć, gdy weszłaś - przyznał cicho.
- Tym razem ci wybaczę. Biorę pod uwagę okoliczności łagodzące - obiecała wielkodusznie. - Kto wie? Może gdyby chodziło o ciebie, zachowałabym się podobnie.
- Jesteś bardzo wyrozumiała.
- Później dokończysz przeprosin. Teraz opowiedz, czego się dowiedziałeś - poleciła. Patrzyła na Ryersona trochę łagodniej. Biedak miał za sobą ciężkie chwile.
- Właściwie nie znam wielu szczegółów. - Nerwowo przemierzał pokój od ściany do ściany. - Akurat tyk, żeby mieć podstawy do obaw. O najważniejszym już ci powiedziałem. Zaraz po naszym wyjeździe z Toraliny pokojówka znalazła ciało Brigmana.
- Mówiłeś, że ten nasz włamywacz nie był uzbrojony. Jeśli zabił wcześniej Brigmana, to musiał mieć rewolwer lub coś innego.
- Właśnie, coś innego. Brigman dostał cios nożem. Po ciemku mogłem go nie zauważyć.
- Och! - Na myśl o brutalnym morderstwie ciarki przeszły jej po plecach. - A ty pobiegłeś za nim bez żadnej broni.
- Tak czy owak, cała sprawa jest bardzo niepokojąca, prawda?
- Oczywiście. Spotykamy dość nerwowego hazardzistę, który wierzy w swoje szczęście, ale ze mną przegrywa. Brakuje mu gotówki, więc spłaca dług cennym klejnotem. Następnie zostaje zamordowany, a ktoś wkrada się nocą do naszego hotelowego apartamentu. Opuszczamy wyspę w błogiej nieświadomości co do losów Brigmana, a tydzień później jakiś włamywacz buszuje u ciebie w domu.
- Myślisz, że naprawdę szukał bransoletki?
- Wziąłem tę ewentualność pod uwagę - przyznał - Rozmawiałem z policjantami, którzy przyjęli twoje zgłoszenie. Mieli skontaktować się z toralińską policją i zebrać informacje, ale sama wiesz, jak wygląda międzynarodowa współpraca przedstawicieli prawa. Tylko w kryminalnych filmach wszystko odbywa się szybko i sprawnie. W praktyce oznacza to masę papierkowej roboty i żadnych widocznych efektów.
- A śledztwo wlecze się bez końca.

- Owszem, Poza tym odniosłem wrażenie, że nikt nie dopatrył się żadnego związku między zabójstwem w hotelu a włamaniem do twojego mieszkania. Brigman uważany był za samotnika, który lubił atmosferę Karaibów i pokera. Z nikim się nie przyjaźnił.

- Mówiłeś policjantom o bransoletce?

- Wspomniałem o niej w faxie. Uznali, że to nie ma znaczenia.

- Jednym słowem nikt nie przypuszcza, że w powrotnej drodze ktoś nas śledził, z zamiarem odzyskania bransoletki.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Ja też uważam, że to mało prawdopodobne. Brigmana zabił pewnie złodziej, którego zaskoczył na gorącym uczynku. Między morderstwem a zdemolowaniem twojego domu nie ma żadnego związku.

- Masz rację. - Odetchnęła z ulgą. - Ale mimo wszystko cieszę się, że jestem tutaj z tobą. Na tym moim odludziu czułabym się dziś trochę niepewnie.

- Miło, że dostrzegasz dobre strony naszego współżycia.

- Pomijając krzyki na powitanie, reszta jest przyjemnym doświadczeniem - odparła pogodnie.

- Przyjemne doświadczenie - powtórzył z zasepioną miną. - W ten sposób określasz nasze stosunki? Jak jakiś pobyt w motelu?

- Wiesz, że nie o to mi chodziło. - Poczula się trochę nieswojo. Ryerson był w wyjątkowo drażliwym nastroju. Ale nic dziwnego, miał powody do zmartwienia. - Nie chciałam cię urazić - odezwała się pojednawczym tonem. - Stwierdziłam tylko, że jest nam razem zupełnie dobrze. Początkowo miałam sporo obaw, sam wiesz. Nie byłam pewna, czy potrafię kogoś zaakceptować. Ceniłam swoją niezależność i własny kąt.

- Teraz pozbyłaś się tych obaw, bo sprawiedliwie podzieliłem się z tobą wieszakami i miejscem na półkach, tak? Jacy z nas sympatyczni przyjaciele. Mamy jedno mieszkanie i jedno łóżko. Jak myślisz, kim my jesteśmy? Współlokatorami?

- Ryerson, rozumiem przyczyny twojego zdenerwowania, ale nie musimy się kłócić.

- Czyżby? Nazywasz nasz związek „przyjemnym doświadczeniem” i dziwisz się, że się denerwuję.

- Denerwujesz? - spytała, parszkając wbrew sobie samej śmiechem.

Odwrócił się gwałtownie w jej stronę. W srebrzystoszarych oczach nie było ani cienia wesołości.

- Moja pani, któregoś dnia staniesz przed trudnym wyborem. Albo w pełni zaangażujesz się w ten związek, albo będziesz musiała walczyć o swoje życie.

Jej rozbawienie natychmiast się ulotniło. Patrzyła na niego wstrząśnięta do głębi.

- O czym ty mówisz? Dlaczego miałabym walczyć o życie?

- Ponieważ spróbuję zmusić cię do całkowitej uległości i lojalności. Nie odpowiada mi ten obecny lokatorski schemat.

Zbladła.

- Przecież właśnie tego chciałeś. Nie wiedziałam, że rzecz ma się inaczej.

- Masz chęć poznać całą prawdę? A więc słuchaj. Toleruję nasz układ, bo uważam go za wstępny krok do małżeństwa. Wolę mieszkać z tobą niż bez ciebie. Wcale się nie denerwuję, Virginio Elizabeth, tylko odczuwam zniecierpliwienie.

Zacisnęła dłonie na oparciach fotela i wstała. Stopniowo ogarniał ją coraz większy gniew.

- Już ci kiedyś wyjaśniłam mój punkt widzenia. Myślałam, że się rozumiemy. Przeżyłam już jedno małżeństwo z człowiekiem, który mnie nie kochał. Było klęską. Dlaczego miałabym próbować jeszcze raz? - Nie czekając na odpowiedź, poszła do sypialni.

- Virginio!

Zignorowała go. Zdjęła pantofle i wyciągnęła z szafy dzinsy.

- Jak możesz porównywać mnie z tym durniem? - warknął od drzwi.

- Wcale tego nie robię. - Zdjęła rajstopy. - Jesteś zupełnie inny i zdaję sobie z tego sprawę - dodała z westchnieniem. - Ale mnie nie kochasz.

- Zaraz mnie szlag trafi! - ryknął. - Czy ty naprawdę sądzisz, że zgodziłem się na te wszystkie bzdury, aby tylko dzielić komorne?!

W jednej ręce trzymała dzinsy, w drugiej rajstopy i patrzyła na niego oszołomiona.

- Ryerson, co chcesz przez to powiedzieć?

- Kocham cię! - wrzasnął wcale nie jak kochanek. - Słyszałaś, paniusiu?

- Ryerson! - Upuściła ubrania i podbiegła do niego. - Tak się cieszę. Ja także cię kocham. Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Objęła go w pasie i gwałtownie uścisnęła.

Wziął ją w ramiona.

- Powtórz! - rozkazał.

- Kocham cię. Wiem o tym już od kilku dni.

- To znaczy od kiedy?

Podniosła głowę. W jego oczach zobaczyła prawdziwe uczucie.

- Chyba od samego początku, ale na pewno od tego wieczoru, gdy wpadłam u Andersonów do stawu. A ty? Kiedy zrozumiałeś, że to poważne uczucie?

- Od tej nocy, kiedy zachorowałaś. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Ale z nas para

ognistych romantyków.

- Myślałam, że nie wierzysz w miłość.

- Byłem głupcem. Po prostu nigdy jej nie przeżyłem. Musiała zdzielić mnie po łbie, żeby ją dostrzegł.

Wtuliła się w niego i rozchyliła usta, oddając mu się bez reszty. Ona zawsze wiedziała, że miłość istnieje. Nie przypuszczała tylko, że znajdzie w sobie tyle śmiałości, aby ponownie zaryzykować. A jednak zdobyła się na odwagę. Teraz wypełniało ją zadziwiające poczucie wolności.

- Do czego się tak uśmiechasz?

- Wreszcie czuję się wolna.

Z jękiem przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej.

- Ginny, skarbie, przestań się łudzić. Jesteśmy ze sobą związani na milion sposobów. Twoja wolność to iluzja.

- Nic nie rozumiesz, Ryerson. - Pieszczotliwie wsunęła palce w jego włosy. - Moja wolność polega na tym, że mogę nareszcie wybrać to, czego pragnę. Potrafiłam zostawić za sobą przeszłość, zapomnieć o niepowodzeniach. I znów się zakochać. W tobie.

Pocałował ją z wielką namiętnością i zaniósł do sypialni. Sięgnął do klamerci zapinanego z przodu staniczka. Słumionym głosem szeptał słowa przepojone miłością i pożądaniem. Już miała na nie odpowiedzieć...

- Ferris.

- Co takiego? - Gładził otwartą dłońią jej pierś. Nagłe odezwanie Virginii zupełnie go zaskoczyło.

- Dan Ferris - powtórzyła głośno. - Podobno policja na Toralinie określiła Brigmana jako odludka, który z nikim nie utrzymywał kontaktów. To nieprawda. Znał przecież Dana Ferrisa. Pamiętasz, jak wracaliśmy przez ogród? Oni się wtedy kłócili.

- Rzeczywiście. Chodziło o opuszczenie wyspy. Ferris nalegał na wyjazd. Brigman nie chciał się zgodzić.

- Obaj przez cały czas udawali, że się nie znają. Nigdy nie zauważyłam, aby w restauracji czy kasynie rozmawiali ze sobą lub wypili razem drinka.

- Wyjątkiem była ta noc, gdy podsłuchaliśmy ich rozmowę. Dlaczego utrzymywali swoją znajomość w tajemnicy?

- Może się mylimy. Nie obserwowaliśmy ich bez przerwy.

Ryerson potarł w zamyśleniu czoło.

- Ferris odwrócił się, gdy krzyknęłaś. Zobaczył nas.

- Domyślił się, że słyszeliśmy ich kłótnię. - Patrzyła na Ryersona przestraszonym wzrokiem. - Sądysz, że zabił Brigmana?

- Nie sprzeczekali się na temat bransoletki

- No tak, ale słyszeliśmy tylko fragment ich sprzeczki. Wcześniej mogli sobie skakać do oczu z innego powodu. Natomiast Ferris nie wiedział, co usłyszeliśmy z ich rozmowy.

- Ale zrozumiał jedno. Tylko my możemy potwierdzić fakt, że znał Brigmana.

- Dokąd idziesz?

- Mam zamiar jeszcze raz połączyć się z policją na Toralinie. To trochę potrwa, więc zrób kolację, jeśli chcesz.

Spojrzała na swoją rozpiętą bluzkę.

- Rozumiem, że scenę uwodzenia będziemy kontynuować później.

- Ciąg dalszy nastąpi - odparł z uśmiechem.

Jednak po telefonicznej rozmowie jego myśli krążyły wokół czegoś innego.

- Ta sprawa nie daje mi spokoju - stwierdził, siadając przy kuchennym stole. - Obiecali sprawdzić, kim jest Ferris, ale raczej chcieli się mnie pozbyć. Według nich był po prostu jednym z wielu hotelowych gości. Już go nie ma na wyspie. Twierdzą, że Brigmana zabił złodziej, który później zakradł się do innego apartamentu.

- Czyli naszego? Może naprawdę tak było.

- Zaczynam wątpić w tę wersję. Zwykły złodziejaszek zadowala się kradzieżą. Zmuszony do popełnienia morderstwa uciekałby, gdzie pieprz rośnie. Jedyne zawodowce zachowałby w takiej sytuacji zimną krew.

- Brak związku między tymi dwoma włamaniami oznaczałoby, że nic nam nie grozi.

- Nie próbujmy się tym pocieszać. - Ryerson odsunął talerz i przez chwilę patrzył w milczeniu na twarz Virginii. - Co sądzisz o krótkim urlopie?

- Chcesz gdzieś wyjechać?

- Spędzimy kilka dni w moim letniskowym domku na San Juan. W tym czasie być może śledztwo na Toralinie posunie się do przodu.

- Martwisz się, prawda? - spytała cicho.

- Jeśli Ferris lub ktoś inny nas szuka, to powinniśmy zniknąć. Tu, w mieście, stanowimy łatwy cel. Na wyspie nikt nas nie znajdzie. Będziemy bezpieczni, jak u Pana Boga za piecem. Tylko parę osób zna moją wakacyjną kryjówkę. No i trzeba mieć łódź, żeby się tam dostać.

- Dobrze, zrobmy tak, jak mówisz. A co z bransoletką?

- Jutro włożymy ją do skrytki w banku.

Zanim poszli spać, Ryerson dwa razy sprawdził, czy drzwi wejściowe są zamknięte na wszystkie blokady.

Virginia leżała już pod kołdrą, gdy wrócił do sypialni. Rozebrał się i położył, ale nim zgasił światło, zajrzał jeszcze pod łóżko.

- Szukasz Ferrisa? - spytała z udaną powagą.

- Sprawdzam moją polisę ubezpieczeniową.

- Trzymasz ją pod łóżkiem?

- Czemu nie? Każdy kawałek wolnego miejsca powinien być racjonalnie wykorzystany, zwłaszcza od kiedy tu mieszkasz i zajmujesz moje szafy.

- Ryerson - zaczęła ostrzegawczo.

- Musimy wynająć większe mieszkanie - ciągnął niezrażony.

- Ryerson - powtórzyła. - Co tam masz?

- Dwie walizki i tę polisę. Jeśli kupimy specjalny kufer to zmieści się jeszcze więcej rupieci.

Oparła dłonie na jego klatce piersiowej i spojrzała groźnie.

- Nie oszukuj. Schowałeś tam broń, prawda?

Objął palcami jej nadgarstki.

- Głupstwa pleciesz. Znasz moje zdanie na ten temat. Lepiej chodź tutaj bliżej i jeszcze raz mi powiedz, jak bardzo mnie kochasz. - Przyciągnął ją do siebie i pocałunkiem zduślił protesty. Nie miał zamiaru się przyznać, że kupił ten cholerny pistolet następnego dnia po włamaniu do jej domu.

Zjawili się w banku z samego rana. W bagażniku mercedesa leżały torby ze spakowanymi rzeczami. Byli gotowi do drogi. Ryerson chciał wyjechać jak najszybciej. Virginii zauważyła jego nastrój. Ktoś, kto nie znał dobrze Ryersona nie miałby pojęcia, że drażny go niepokój. Lecz ona potrafiła już rozpoznać, co i kiedy gryzie tego człowieka. Dzisiaj jego opanowanie skrywało czujną gotowość, charakterystyczną dla polującego zwierzęcia, które wyczuwa w pobliżu zdobycz. Choć jeszcze jej nie widzi.

- Podpisz tutaj - polecił. - Chcę, żeby na kwicie były oba nasze nazwiska. Bransoletka w połowie należy do ciebie.

Posłusznie wzięła pióro i zaczęła pisać, ale coś ją powstrzymało.

- Wolałabym nie zostawiać bransoletki w sejfie.

- Dlaczego? Tutaj będzie całkiem bezpieczna.

- Zabierzmy ją ze sobą - powiedziała z niezrozumiałym dla niej samej uporem.

- Ależ Ginny...

- Proszę cię - nalegała. - Musisz się zgodzić. Wiem, że to głupie, ale czuję, że powinniśmy ją wziąć. Zrób mi przyjemność. Poza tym, jeśli ktoś nas tropi, jest przekonany, że mamy ją przy sobie. I tak nie zrezygnuje z pościgu.

- Bez sensu jest wozić taki cenny przedmiot - nie dawał za wygraną.

- To przecież jest nasza maskotka. - Zdecydowanym ruchem wrzuciła bransoletkę do torebki.

- No dobrze - przystał z rezygnacją. - Skoro tak ci na tym zależy. A teraz chodźmy. Zmarnowaliśmy już mnóstwo czasu.

Wiedziała, że nie jest zadowolony. Postanowiła przeczekać ten zły humor. W czasie jazdy przez zatłoczone śródmieście siedziała cicho jak myszka. Przerwała milczenie, gdy wyjechali na międzynarodową autostradę.

- Nie potrafię ci tego wyjaśnić, Ryerson. To było silniejsze ode mnie. Naprawdę chciałam zostawić bransoletkę w banku, ale nagle jakiś impuls kazał mi ją zatrzymać. Może to przecucie?

- Oszczędź mi tej opowieści o meandrach babskiej logiki - mruknął.

- Przecież jestem kobietą.

- Nie mogę zaprzeczyć - stwierdził z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Dojechali w milczeniu do przystani. Virginia znów spróbowała podjąć przerwana wcześniej rozmowę.

- Czy ten prom kursuje aż do San Juan?

- Nie. Wsiądziemy na najbliższym postoju. Stamtąd popłyniemy łodzią.

- Masz zamiar wściekać się na mnie przez cały weekend?

- Ja się wściekam? - Jego oczy wyrażały niebotyczne zdumienie.

- A może medytujesz nad moim brakiem rozsądku?

Przyglądał się jej z namysłem.

- Mam ci powiedzieć, co mnie gnębi, Ginny?

- Tak, jeśli chcesz.

- Przyszło mi do głowy, że ostatnio zachowuję się bardziej jak mąż niż kochanek.

Zerknęła na niego spod oka.

- Rozumiem.

- Wątpię. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale daleko mi do ideału mężczyzny. Wczoraj wpadłem w złość. Dziś rano też się na ciebie zdenerwowałem. Nie mogę zagwarantować, że



ostatni raz. Brak mi kwalifikacji na romantycznego kochanka.

- Na Toralinie dawałeś sobie radę - przypomniła.

- Czy dlatego wydaje ci się, że mnie kochasz? Ponieważ na Toralinie byłem dla ciebie miły? Jeżeli tak uważasz to nasz związek nie ma sensu.

- Ryerson, mnie się nie wydaje, że cię kocham. Ja to wiem. I potrafię zaakceptować cię takiego, jakim naprawdę jesteś.

- Nawet, jeśli zacznę okazywać humory jak rozgniewany mąż?

- Nie szkodzi. Gorzej, gdy ja będę się zachowywać jak pyskata żona. Co wtedy zrobisz?

Uśmiechnął się po raz pierwszy od wyjazdu z domu. Objął ją za szyję i powoli, ale stanowczo przyciągnął do siebie,

- Zniosę wszystko, choćbyś okazała się najgorszą żoną.

Czyżby z niej żartował? Spojrzała mu w oczy, ale nie dostrzegła w nich wesołości. Przeciwnie. Ryerson patrzył na nią bardzo poważnie. Spuściła wzrok. Uznała, że powinna zignorować wzmiankę o żonie. W końcu to ona sama najpierw użyła tego słowa.

Dwie godziny później Ryerson wprowadził motorówkę do małej zatoczki i zacumował przy molo. Virginia stała na rufie i rozglądała się wokół. Drewniany pomost prowadził do niedużej przystani. Dalej, między drzewami stał domek.

- Czy ktoś mieszka tutaj na stałe?

- Nie. Po drugiej stronie jest kilka letniskowych domków, ale ich właściciele rzadko je odwiedzają. Mogę więc uważać się za udzielnego księcia tej wyspy. - Wypakował z łodzi torby i pakunki. - Dom jest dosyć prymitywny. Nie urządziłem miłego gniazda.

- Żadnych lustrzanych sufitów i tapet z czerwonego pluszu?

- Niestety. Nie ma też telefonu ani zmywarki do naczyń. Jesteś rozczarowana?

- To zależy. Co z ciepłą wodą i elektrycznością?

Posłał jej urażone spojrzenie.

- Kochanie, za kogo mnie bierzesz? Znam się na systemach zasilania. Jest zarówno gorąca woda, jak i światło. A także sprzęt stereo. Muszę tylko uruchomić generator.

- Wobec tego nie będę narzekać - stwierdziła radośnie.

Wnętrze domku powitało ich chłodem i wilgocią, ale wszystko się zmieniło, gdy Ryerson włączył prąd. Następnie rozpałił ogień w kominku. Virginia naląła do szklanki whisky i przygotowała zapiekankę.

Po kolacji oboje usiedli na wielkiej, starej kanapie.

- Cudownie. Ten wieczór przypomina mi nasze pierwsze spotkanie. Brakuje tylko

Mozarta i burzy.

- Zaraz otrzymasz i jedno, i drugie. - Wyjął z plastikowej koperty płytę kompaktową i wsunął ją do odtwarzacza. Wyrzwał przez okno. - Deszcz już zaczyna padać.

- Jak miło - zamruczała, pociągając łyk wina.

- Burza na specjalne zamówienie - stwierdził z dumą. Pokój wypełniły dźwięki koncertu skrzypcowego. - Muszę ci coś powiedzieć, Virginio. Tamtej nocy w twoim domu z trudem zasnąłem. Wyobrażałem sobie, jak się rozbierasz. Miałem ochotę wejść do twojej sypialni i wsunąć się pod kołdrę. Już wtedy wiedziałem, że wpadłem po uszy.

- Ja też o tobie myślałam - wyznała. - Szkoda, że pierwszy raz przyjechaliśmy na wyspę, aby się ukryć, a nie wyłącznie dla przyjemności.

- Rozumiem dobrze, co czujesz - odparł cicho, ale w jego głosie pojawił się twardy ton. - Musiałem cię tu przywieźć. Bałem się, że w mieście grozi ci niebezpieczeństwo.

- Myślę, że jednak nie ma związku między śmiercią Brigmana a bransoletką. Prawdopodobnie nikt nie wiedział, że ją ma.

- Mógł o niej powiedzieć Ferrisowi. I o tym, że dał mi ją jako rozliczenie długu karcianego.

Dalsze rozważania były bez sensu. Zbyt mało oboje wiedzieli. Virginia wypila resztę wina i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Zaczekaj na mnie, Ryerson.

- Gdzie idziesz?

- Przygotować się do spania.

- Chętnie ci pomogę - zaproponował z błyskiem w oku.

- Nie trzeba. Zaraz wrócę.

Zamknęła za sobą drzwi do sypialni. Szybko wyciągnęła z walizki purpurowy gorset, który zabrała w tajemnicy przed Ryersonem. Rozebrała się i włożyła to niezwykle erotyczne cudo. Niepewnie zerknęła w lustro. Gorsecik był niczym więcej jak przejrzystą siatką z jedwabiu i koronki. Podkreślał wszystkie wypukłości jej pełnej, dojrzałej figury, Virginia przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrezygnować z tego stroju. Wyglądał tak rozpustnie. Potrzebowała czegoś, co dodałoby jej śmiałości. Otworzyła torebkę i wyjęła z kieszonki bransoletkę.

Szmaragdy rozjarzyły się na jej przegubie dziwnie ciepłym blaskiem. Natychmiast nabrała odwagi. Odetchnęła głęboko i poszła do saloniku.

Ryerson klęczał na jednym kolanie przy kominku, podsycając ogień. Usłyszał ją i spojrzał przez ramię.

- Chodź tutaj - powiedział cicho.

Zbliżała się do niego krok za krokiem. Ogarniało ją podniecenie. Czowała się tak swobodnie, oczekując rozkoszy.

- Oszłomiłeś Debby tym zakupem, Ryerson.

- Tak? - Objął ją i pociągnął na dywan. Z wyraźną przyjemnością wsunął kciuki pod cienkie, jedwabne tasiemki.

- Wcale nie byłam zdziwiona, gdy to czerwone cudo wyleciało w restauracji na podłogę. - W jej oczach igrały wesołe iskierki. - Przeczuwałam, że ten pomysł wpadnie ci kiedyś do głowy.

- Zrobiłem to pierwszy raz w życiu. Masz pojęcie, ile potrzeba tupetu, aby wejść do sklepu z damską bielizną i kupić coś takiego? Miłość naprawdę czyni cuda. - Delikatnie zsunął ramiączka i koronkowe miseczki opadły niżej.

Zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła jego głowę.

- Wobec tego ja podaruję ci kiedyś malutkie, czarne slipy.

- Lepiej nie - odradził. - Moja odporność ma swoje granice. - Powoli opuścił gorsecik aż do bioder i z widoczną przyjemnością gładził miękkie piersi. - Powiedz, że mnie kochasz.

Powiedziała mu to wiele razy, gdy powoli zdjął z niej gorset i bez wahania zaczął ją dotykać. Za słowa miłości zrewanżował się rozkosznie zwodniczymi pieszczotami, które sprawiły, że ciało Virginii rozkwitło. Schylił się wtedy i zaczął scałowywać wilgoć z jedwabistych płatków. Przyłgnęła do niego, drżąc w paroksyzmie niewyobrażalnej rozkoszy.

- Kocham cię, Ginny.

Prawda tych słów była równie oczywista, jak jego bliskość, gdy ich ciała wreszcie się połączyły.

# ROZDZIAŁ 10

Ryerson wstał ostrożnie i popatrzył na śpiącą kobietę. Kochali się tak długo i namiętnie, że oboje byli całkowicie wyczerpani. Dwie godziny temu zaniósł Virginie do sypialni, ale mimo zmęczenia nie mógł później zasnąć. Teraz minęła północ.

Przez cały wieczór dręczył Ryersona trudny do sprecyzowania niepokój. Wiedział, jak go chwilowo rozładować. Mógł położyć się obok Virginii i zacząć ją pieścić. Po przebudzeniu przyjęłaby go w swojej ciepłej miękkości, obejmując jego biodra długimi nogami. W takich chwilach zapominał o całym świecie. Liczyło się tylko to wspaniałe przeżycie. Wtedy należeli bez reszty do siebie i obawa na jakiś czas zniknęła. Ryerson zdawał sobie sprawę, że w głębi serca jest nieskomplikowanym człowiekiem. Seks z Ginny przynosił mu nadzwyczajną satysfakcję. Nic nie dawało się z tym porównać.

Ale te przeżycia już mu nie wystarczały. Niechętnie odwrócił się od łóżka i przeszedł przez hol do drugiego pokoju. Wciągnął dzinsy i koszulę. W domku panował chłód. Ogień na kominku prawie wygasł, a ogrzewanie nie było włączone. Na dworze wciąż padało, choć ulewny deszcz przeszedł w mżawkę.

Ryerson po omacku podszedł do okna. Nie chciał zapalać światła, aby nie zbudzić Ginny. Wymacał na niskim stoliku butelkę i nalał sobie kieliszek koniaku.

Niebo nad zatoką trochę pojaśniało, a spomiędzy chmur wyzierał chwilami księżyc. Zapowiadało to rychłą poprawę pogody. Zaczumowana przy moło łódź podskakiwała na fali. Patrzył na spienioną powierzchnię wody i myślał o tym, jak wyglądała Ginny, gdy siedziała na rufie motorówki

Nigdy przedtem nie przywiózł tutaj żadnej dziewczyny. Ta wyspa stanowiła jego kryjówkę, miejsce, do którego uciekał od cywilizacji. Zawsze sam. Aż do tej pory. Przypomniawszy sobie, jak Virginia drżała dziś wieczorem w jego ramionach. Rozsadzała go dumą zdobywcy, gdy doprowadził ją na szczyt seksualnego uniesienia. Napawał się swoją męskością, dzięki której Virginia wciąż od nowa rozkwitała kobiecością.

Ona także potrafiła ofiarować mu spełnienie, które przynosiło satysfakcję i ukojenie.

Rozumiał teraz, dlaczego mężczyzna staje się tak zaborczy, gdy w jego życie wkracza właściwa kobieta.

Potrzebował Ginny. Zrobiłby wszystko, aby należała do niego całkowicie. Pragnął jej bardziej, niż kogokolwiek innego przez całe swoje życie. W jaki sposób mógłby mocniej ją do siebie przywiązać? Ryerson nie wierzył w trwałość wolnych związków. Na dłużej na pewno nie zaakceptuje tego układu.

Tyle razy powiedziała mu dzisiaj, że go kocha, ale jemu wciąż było mało. Zżerała go zachłanność. Siła uczuć nie pozwalała mu zatrzymać się w pół drogi. A mieszkanie pod wspólnym dachem szybko okazało się połowicznym rozwiązaniem. Teraz dążył do ślubu. I na pewno z tego nie zrezygnuje.

Zdawał sobie sprawę, że jest w trudnym położeniu.

Jeśli naprawdę kochał Ginny, to nie powinien zmuszać jej do małżeństwa. Zanadto przerażała ją myśl o tym radykalnym kroku, a on znał przecież przyczynę jej wątpliwości i oporów.

Została jego kochanką, ale ten fakt na dłuższą metę nie mógł go zadowolić. Właśnie dlatego, że zbyt mocno ją kochał. Potrzeba, jaka nim owładnęła, była stara jak świat. Dopóki obawiała się małżeństwa, dopóty on nie był pewien, czy Virginia należy w pełni do niego. Nie potrafił się z tym pogodzić.

Może z czasem przywyknie do tej sytuacji? Ginny stała się przecież częścią jego życia. Miał ją w swoim łóżku. Czego jeszcze potrzeba mężczyźnie do szczęścia?

Cholera, dużo więcej. Dopóki Ginny nie wyjdzie za niego za mąż, dopóty istniała możliwość, że ją może stracić. Dobrze o tym wiedział. Ta świadomość przyprawiała go o rozpacz.

Pociągnął łyk koniaku i popatrzył w zadumie na szarpaną wiatrem łódź.

- Ryerson?

Z niewesołych rozważań wyrwał go cichy, pytający głos Virginii. W miękkim, frotowym szlafroku wyglądała delikatnie, a jednocześnie niezwykle pociągająco. Stała boso przy drzwiach i patrzyła na niego zaspanymi oczami. Zauważył, że nie zdjęła przed zaśnięciem bransoletki. Poruszyła lekko dłońią i szmaragdy, jak zwykle, sypnęły iskrami.

- Dlaczego wstałaś?

- Obudziłam się, a ciebie nie było.

Podeszła bliżej i dała się zamknąć w uścisku.

- Niepokoiłaś się?

- Tak.

- Wiesz, że nigdy nie odejdę od ciebie.

- Wiem - przyznała po chwili milczenia. Poczwała, że przytulił ją mocniej.

- Kocham cię, Ginny. Nie będę cię zmuszał do niczego. Nie zawlokę siłą do ołtarza. Wiem, że sama myśl o małżeństwie wciąż wydaje ci się przerażająca. Będzie tak, jak sama zechcesz.

Objęła go i pocałowała w szyję.

- Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko, Ryerson.

- Nie dziękuj. Przyznaję, że nie mam wyboru - odparł wdychając zapach jej włosów. - Chcę, żebyś była ze mną szczęśliwa, Ginny. Nasz związek nie może stać się dla ciebie pułapką.

- Jestem szczęśliwa.

- I tylko to się liczy. - Odchylił jej głowę do tyłu, aby móc sięgnąć do warg. Usłyszał, jak leciutko westchnęła. Wyczuł zarys piersi pod szlafrokiem, którego poły rozsunęły się kusząco.

Sięgnął dłonią, aby sprawdzić, co kryje się głębiej, gdy coś nagle odwróciło jego uwagę. Niewyraźny cień mignął przelomie na brzegu zatoki.

- Co się stało? - Virginia wyczuła jego napięcie.

- Zauważyłem jakiś ruch na molo. Nie wiem, co to było.

- Czyżby zwierzę?

- Możliwe. Ale raczej takie, które chodzi na dwóch nogach. - Puścił ją i przysunął twarz do okna. Usiłował przebić wzrokiem ciemności. Znów zobaczył czyjąś sylwetkę. Zmierzała w stronę łodzi. Ryerson odwrócił się szybko do Virginii.

- Zamknij się w domu i nigdzie nie wychodź. Idę na przystań.

- Pójdę z tobą - odparła bez wahania.

- Nie. - Poszedł do sypialni i wyjął spod łóżka rewolwer. Na widok broni Virginia zamarła.

- Ryerson, nie powinieneś tam iść.

- Muszę. Nie możemy zawiadomić policji. Najbliższy posterunek jest na stałym lądzie. Do diabła, myślałem, że tu będziemy bezpieczni. - Odwrócił się na chwilę. - Pamiętaj, co mówiłem, Ginny. Zostań tutaj i nikomu nie otwieraj.

- Ryerson, proszę cię...

Przymknął cicho drzwi i poczekał, aż szczęknie zamek.

Okrzyknął domek i skierował się w stronę przystani.

Miał przewagę. Znał teren jak własną kieszeń i nie musiał korzystać ze ścieżki. Deszcz tłumiał odgłosy jego ostrożnych kroków. Ryerson rozglądał się uważnie, ale na razie nikogo nie zobaczył. Ktokolwiek był na wyspie, musiał w tej chwili przebywać w okolicy łodzi. Było

mało prawdopodobne, że chciał ją ukraść. Raczej zniszczyć i Ryerson zaczynał domyślać się, dlaczego.

Dan Ferris.

A więc niepokojące wydarzenia miały bezpośredni związek z bransoletką. Instykt ostrzegał, że tak właśnie było.

Rozłożyste sosny dawały osłonę prawie do samego brzegu. Tam jednak Ryerson musiał przebiec kilka metrów po odkrytej przestrzeni. Rewolwer dziwnie ciążył mu w dłoni. Ostatni raz miał do czynienia z bronią w wojsku. Od tego czasu minęło wiele lat.

Łódź zachybotała się nagie i jakiś człowiek wyszedł na pomost. Ryerson usiłował się odprężyć. Musiał przecież sprawiać wrażenie kogoś, kto panuje nad sytuacją. Zupełnie jak na posiedzeniu rady nadzorczej, przemknęło mu przez głowę.

W tej chwili obcy wszedł do budki ze sprzętem. Ryerson natychmiast zrozumiał, że ta szansa może się nie powtórzyć. Drzwiczki zamykały się od zewnątrz. Jeżeli zdąży je zatrzasać, intruz będzie chwilowo uwięziony.

Spóźnił się o ułamek sekundy. Nieproszony gość postanowił bowiem wyjść. Ryerson z impetem rzucił się na metalowe drzwi. Usłyszał stłumiony okrzyk. Pistolet i latarka z cichym pluskiem wpadły do wody, a człowiek, który je trzymał, przetoczył się zręcznie po podłodze i znikł. Ryerson zaklął. Nie miał czasu do stracenia. Z budki można było wydostać się dołem. Skoczył do ciemnego wnętrza,

Powitało go silne uderzenie. Obaj mężczyźni zwarli się w gwałtownym pojedynku. Ryerson obawiał się, że otrzyma pchnięcie nożem. Tak przecież zginął Brigman. Policja na Toralinie stwierdziła, że morderca znalazł się na swoim krwawym rzemiośle.

Walczyli zaciekle ze sobą. W pomieszczeniu było zupełnie ciemno. Ryerson próbował walnąć przeciwnika pistoletem w głowę. Trafił niestety na zwój liny. Odrzucił broń i skoncentrował cały wysiłek na walce gołymi rękami.

Dostał dwa ciosy pięścią - w pierś i ramię, ale i jemu udało się osiągnąć pewien sukces. Po swoim kolejnym sierpowym usłyszał charakterystyczny trzask oraz zduszony jęk. Jego przeciwnik jednak nadal wściekle atakował.

Musiał być potężnie zbudowany. W pewnej chwili zyskał nawet pewną przewagę. Ryerson upadł na bok i zamarł bez ruchu. Usiłował zapanować nad oddechem, aby nie zdradzić, gdzie się znajduje. Intruz skradał się w jego stronę.

Usłyszał jego głośne sapanie. Po chwili nieco bliżej skrzypnęła deska. Ryerson sięgnął ręką w bok i trafił na metalową skrzynkę z narzędziami. Wiedział, że obok powinna leżeć duża, rybacka sieć.

Ostrożnie ściągnął ją z półki i ukląkł. Zdawał sobie sprawę, że nie porusza się bezszelestnie, ale nie miał innego wyjścia.

- Mam cię frajerze! - syknął napastnik.

Ryerson wyczuł ruch i coś świsnęło mu tuż obok głowy. Facet znalazł pewnie młotek albo klucz francuski.

Ryerson nie czekał. Zamachnął się z całej siły. Miękka, nylonowa siatka spowiła ofiarę od stóp do głów.

Mężczyzna zaklął brzydko i miotał się jak oszalały, usiłując się uwolnić. Dzięki temu mocne zwoje nylonu opłotły go jeszcze silniej.

Ryerson wstał, wymacał latarkę i skierował silny strumień światła na swoją zdobycz. Szamoczący się wściekle osobnik wyglądał jak wielka, bezradna ryba.

- Nie jesteś Ferrisem, ty łobuzie.

Błysk w oczach obcego świadczył o tym, że zna to nazwisko. Wniosek nie był pocieszający. Ryerson zdał sobie sprawę, że na wyspie mógł być jeszcze ktoś.

A Ginny została sama.

Podniósł kawałek linki i zbliżył się do swojej ofiary. Potrzebował informacji i to natychmiast.

- Czy Ferris przypląnął z tobą? - Wiązał metodycznie nogi i ręce mężczyzny.

- Idź do diabła.

Ryerson zauważył pistolet, który wcześniej upuścił. Podniósł go z podłogi. Obcy patrzył ironicznie. Najwyraźniej nie obawiał się, że Ryerson mógłby użyć broni. Co gorsza, ten kretyn miał rację.

Ale należało go czymś przestraszyć.

Ryerson oparł stopę na jego ramieniu i zaczął naciskać.

- Co, do cholery... - Mężczyzna nie dokończył, bo wbrew własnej woli przeturlał się nad skraj pomostu.

- Tutaj jest płytko - uprzejmie poinformował Ryerson. - Jeśli uda ci się stanąć, to będziesz miał brodę nad powierzchnią. Na razie. Później przyplływ zaleje ci usta. Wtedy zacznij oddychać nosem. Za jakieś pół godziny poziom podniesie się o trzydzieści centymetrów. Ty chyba już nie rośniesz.

- Nie możesz tego zrobić!

- Chcesz mi zabronić? - Ryerson pchnął go jeszcze bliżej krawędzi. - Właściwie nie musisz się obawiać utonięcia. Woda ma taką temperaturę, że wcześniej zamarzniesz. Ale nie będziesz się przynajmniej długo męczył.



- Niech cię szlag!

- Nieładnie. A chciałem tu wrócić, gdybyś mi powiedział, czego mogę się spodziewać.

- Lekkim kopnięciem przesunął nogi mężczyzny.

- Nie zabijesz mnie?

- Ani myślę. Zrobi to woda. Masz wybór. Powiedz tylko, gdzie jest Ferris?

Facet patrzył na niego w bezsilnej złości.

- Jest tu na wyspie - warknął. - Wylądowaliśmy w dwóch różnych miejscach. Ja miałem uszkodzić twoją łódź. On zamierzał się rozejrzeć i poczekać na mnie. Do domu chcieliśmy wejść razem.

Ryerson zgasił latarkę i ruszył do wyjścia.

- A co ze mną? - wrzasnął związany gagatek.

Odpowiedziało mu trzaśnięcie metalowych drzwiczek.

Stała z nosem przy szybie. Przymusowa bezczynność była trudna do zniesienia. Po kilku przeraźliwie długich minutach Virginia dostrzegła ciemną postać, która weszła do budki na pomoście. Za chwilę ktoś inny skoczył w stronę drzwi. Ryerson. A więc postanowił zaatakować. Musiała mu pomóc.

Pognała do sypialni i złapała ubranie. Szybko wciągnęła dżinsy i koszulę z długimi rękawami. Nie traciła czasu na zapinanie mankietów. Jeszcze buty. Ręce jej się trzęsły, gdy wiązała sznurowadła. Wybiegła z domu i pognała ścieżką na przystań.

Potknęła się na wystającym kamieniu. Złapała sosnową gałąź, aby odzyskać równowagę. W tym momencie zauważyła kątem oka jakiś cień. Ktoś unieruchomił ją mocnym chwytem za szyję.

- Proszę, proszę - syknął jej prosto w ucho Dan Ferris. - Dama z dekoltem. Myślałem, że woli pani cieplejszy klimat, panno Middlebrook.

- Ferris - wyszeptała bezradnie. Nie mogła się ruszyć, bo dusił ją i przyciskał brutalnie do siebie. Czowała zapach jego potu.

- A jakże, Dan Ferris. Mam przez ciebie i Ryersona same kłopoty. Po waszym wyjeździe z Toraliny z trudem udało mi się was odszukać. Musiałem węszyć przez cały tydzień. Dać łapówkę, żeby facet na przystani sypnął, dokąd popłynęliście swoją łódką. Chodź malutka, poszukamy Ryersona.

- On... jego tu nie... - Ramię zacisnęło się mocniej. Poczowała na szyi dotyk czegoś zimnego i ostrego. Harry Brigman zginął od noża. - Czego... czego pan od nas chce?

- Bransoletki. To na początek. A później, panno Middlebrook, oczywiście waszego

milczenia. - Bezlitośnie włókł ją po nierównej ścieżce.

Nie miała wątpliwości, jak należy rozumieć jego słowa. Zamierzał ich zabić. Ukryta pod długim rękawem bransoletka paliła jej przegub. Ciekawe, co zrobiłby Ferris, gdyby wiedział, że mają w zasięgu ręki.

Dotarli do budki na molo. Ferris wzmocnił chwyt i zawołał:

- Jesteś tam, Seldon? Co się dzieje? Mam kobietę.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wyczuła, że Ferrisa ogarnia napięcie, które mogło się dla niej źle skończyć. Chłodne ostrze drgnęło na jej szyi. Przymknęła oczy. Żeby tylko Ryerson był bezpieczny.

- Hej, Seldon!

Z wnętrza budki dobiegł ich głuchy jęk.

- Tutaj. Mam związane ręce i nogi. Uważaj na Ryersona. Drań wie, co robi.

Ferris zaklął szpetnie i szarpnął Virginie w stronę drzew.

- Dostyc tego, Ferris. Puść ją. - Lufa rewolweru w dłoni Ryersona lśniła zimnym blaskiem.

Widziała jego twarz i prawie jej nie poznawała. Malowała się na niej ogromna determinacja i lodowaty spokój. Czy to był ten sam człowiek, który uwielbia muzykę klasyczną i uroki domowego ogniska?

- Mam ją puścić? - zadrwił Ferris. - Niby dlaczego? Panna Middlebrook zapewnia mi bezpieczeństwo. Strzelaj, jeśli jesteś taki dobry, ale obawiam się, że raczej trafisz w nią. Dobrze o tym wiesz. Odłóż tę spluwę.

- Nie rób tego, Ryerson. On i tak nas zabije. Zaryzykuj - powiedziała z opanowaniem, które ją zadziwiło.

- Czego chcesz, Ferris?

- Już powiedziałem damie twego serca. Bransoletki i milczenia.

- Dostaniesz i jedno, i drugie, jeśli pozwolisz jej odejść.

- Akurat. Mam ci uwierzyć na słowo? Odłóż pistolet, bo dam jej po gardle.

Ryerson opuścił nieco lufę i postąpił kilka kroków do przodu.

- Powiedziałem, odłóż! - zawołał histerycznie Ferris. Pociągnął Virginie w powrotem w kierunku przystani.

- Jak tylko ją puścisz. - Ryerson znów nieco się zbliżył.

- Ani myślę. Ale zaraz się przekonasz, że nie żartuję.

Mocniej przycisnął ostrze do szyi Virginii. Zadrzała. Co dziwniejsze, bransoletka zaczynała niemal przyć. Nieświadomie sięgnęła dłonią pod mankiet.

- Dobrze - powiedział Ryerson. - Oddam ci broń. Masz.

- Rzuć na ziemię.

Wykonał polecenie.

- Teraz ją uwolnij.

- Nie ma mowy. - Ferris zaczął posuwać się wraz z Virginią w kierunku leżącego na sosnowych szpilkach pistoletu, ale nie zwolnił uścisku.

Ukradkiem odpięła zameczek i chwyciła zsuwającą się bransoletkę.

- Tego szukasz, Ferris? - spytała cicho. Szmaragdy, złoto i brylanty zaśniły w bladym świetle księżyca.

- Bransoletka! Daj mi ją, dziwko!

Ubiegła go. Zamachnęła się i rzuciła bransoletkę do morza.

- Ty suko! - Pociągnął gwałtownie nożem, ale Virginia zdążyła mocno szarpnąć się w bok. Tym razem jej wzrost okazał się przydatny. Ferris na moment stracił równowagę i poślizgnął się na miękkim poszyciu.

Poczuła ostry ból w ramieniu i w tej samej chwili Ryerson rzucił się na nich całym ciałem.

Upadła i potoczyła się w bok. Ryerson i Ferris walczyli zaciekle. Ścisnęła drżącymi palcami krwawiące ramię. Było jej niedobrze. Potrząsnęła głową, usiłując dojść do siebie. Z przerażeniem stwierdziła, że Ferris dosięgnął pistoletu.

Podniosła się chwiejnie. Musiała mu za wszelką cenę przeszkodzić.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie i skoczyła, żeby go ubiec. Za późno.

Ferris chwycił broń i wycelował w Ryersona. Pociągnął za spust.

Rozległ się suchy trzask, ale strzał nie padł.

Zanim Ferris zdążył się otrząsnąć ze zdumienia, Ryerson trafił go pięścią w szczękę. Potężne uderzenie zważyło bandytę na ziemię. Broń wyleciała mu z ręki.

Virginia nie wierzyła własnym oczom.

- Nie był naładowany?

- Oczywiście, że nie. Wierzę w dane statystyczne i nie lubię ryzykować.

- Więc czemu w ogóle go kupiłeś?

- Ponieważ byłeś taka uparta i chciałaś mieć broń. Ponieważ nie wiedziałem, co może nas spotkać. Nie umiałem wymyślić nic lepszego, aby cię ochronić. Wystarczy? Jak widzisz, wszystko okazało się zbędną fanfaronadą. Ten pistolet i tak nie za wiele się nam przydał.

- Niektórym mężczyznom takie groźne przedmioty nie są potrzebne - odparła słabym głosem. - Bez nich też dają sobie radę. Chyba jesteś właśnie kimś takim, Ryerson. - Nagle

zrobiło się jej ciemno w oczach i padła bezsilnie w jego ramiona.

- O Boże, Ginny, ten łobuz cię zranił. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Właśnie miałam zamiar - szepnęła przepaszająco.

# ROZDZIAŁ 11

- Na pewno dobrze się czujesz? - zapytał chyba po raz setny. Lekarz w pogotowiu założył Virginii kilka szwów i dał tabletki przeciwbólowe. - Mogliśmy pojechać do Seattle. Nie musieliśmy tutaj wracać.

Poczekala, aż Ryerson przywiąże łódź i wyszła na molo. Wciąż miała na sobie zakrwawioną koszulę. Spod przeciętego rękawa wзираł biały opatrunek.

- Czuję się świetnie. Ręka prawie nie boli. Powierzchowne zranienie, tak powiedział lekarz. Teraz muszę znaleźć bransoletkę.

- To zupełnie nieprawdopodobne. Nie mamy się co łudzić, Ginny. Nie wiemy dokładnie, w którym miejscu wpadła do morza, a odpływ porwał ją na pewno daleko od brzegu - tłumaczył cierpliwie.

- Jest za ciężka, żeby uniosła ją fala.

- Powiedzmy. Ale mogła się zaplątać w wodorosty lub zostać pokryta mułem. Nie licz na to, że się odnajdzie.

- Musimy mieć nadzieję, Ryerson. - Szła wzdłuż pomostu i uważnie badała wzrokiem piasek. - Tę bransoletkę coś z nami łączy. Jestem tego pewna. Znajdziemy ją. Musi należeć do nas. Pomogła nam przecież uratować życie.

- Rzeczywiście sprytnie rozegrałaś tę scenę. Rzut do wody okazał się genialnym pomysłem. Ferris stracił na moment głowę.

- A ty umiałaś to wykorzystać. Zachowałeś się wspaniale, Ryerson. Absolutnie wspaniale.

- Ty też byłaś niezła - przyznał krótko. - Ginny, nie masz pojęcia, jak potwornie się o ciebie bałem, gdy próbowałem skłonić Ferrisa, żeby cię uwolnił w zamian za mój nie naładowany pistolet.

- Wcale nie wyglądałaś na przestraszonego. Przeciwnie, sprawiałaś wrażenie bardzo niebezpiecznego i zdecydowanego na wszystko. - Wstrząsnęła się na myśl o tym, co przeszli.

- Natomiast Ferris miał stracha. Czulałam to.

- Nie pocieszaj mnie, Ginny. Bałem się jak cholera. Ferris mógł najpierw poderżnąć ci gardło, a dopiero później złapać pistolet. Odwróciłaś jego uwagę upuszczając bransoletkę i

niemal go przewróciłaś. Uratowałaś życie nam obojgu.

- Tobie także? - spytała ze zdziwieniem. - Pognałbyś za nim, a on miał przecież nóż.

- Tym nożem mógł zabić i ciebie, i mnie. Nie zapominaj, że to zawodowiec. Tak mówili policjanci. Gdyby zrobił ci krzywdę, chyba bym oszalał. Najchętniej rzuciłbym się mu do gardła z gołymi rękami. Nie jest to może najlepszy sposób, żeby walczyć z kimś uzbrojonym. Wiesz, co bym czuł, widząc, jak ten drań chce cię zabić?

- Och, Ryerson. - Objęła go. - Przestań o tym myśleć. Nic nam się nie stało. Już po wszystkim. Bardzo cię kocham.

- Ja też cię kocham, Ginny. - Ukrył twarz w jej włosach i przytulił ją do siebie.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Jak na specjalistkę od systemów komputerowych i inżyniera, to całkiem nieźle nam poszło, prawda? - Spojrzała nad jego ramieniem w stronę morza. - Ryerson, ona tam jest!

Pobiegła wzdłuż mola i zeskoczyła na piasek. Zrzuciła buty i weszła na pływacznię. Bransoletka leżała na skale tuż pod powierzchnią wody.

- Cały czas tutaj była! Czekala, aż wrócimy, żeby ją znaleźć! - zawołała radośnie. W porannym słońcu szlachetne kamienie zaśniły oszalamiająco, a krople wody dodały im jeszcze blasku. - Spójrz Ryerson. Znow ją mamy. Należy do nas.

Kucnął na pomoście i przez chwilę w milczeniu przyglądał się szmaragdom i brylantom w misternej, złotej oprawie.

- Sądzisz, że naprawę jest nasza? - zapytał w końcu. - Skoro Brigman, Ferris i Seldon prawdopodobnie ją ukradli?

- Rzeczywiście - przyznała z westchnieniem. Miejsce euforii zajęło rozczarowanie. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Nabrałam takiego dziwnego przekonania, że powinna zawsze być z nami. Wydaje mi się, że kieruje naszym losem i przynosi szczęście. Od kiedy ją wygrałeś, zdarzyło się tyle dobrego w naszym życiu. Zakochaliśmy się w sobie. Pomogła nam uratować życie. Trudno mi będzie się z nią rozstać.

- Wiem. - Zszedł z pomostu na piasek i zaczął, aż Virginia wyjdzie z wody. Na jego ustach błąkał się szczególny uśmiech. - Naprawdę myślisz, że coś między nami może się zmienić, jeśli oddamy ją prawowitemu właścicielowi? Kocham cię, Ginny. Nikt i nic tego nie zmieni.

Przymknęła na chwilę oczy. Ogarnęło ją uczucie wielkiego spokoju. Bransoletka była piękna i godna pożądania, ale miłość znaczyła dla niej o wiele więcej.

- Jak zwykle masz rację. Kocham cię, Ryerson i nigdy nie przestanę.

- Wobec tego postaram się sprawdzić, do kogo należała. Ten jubilerski certyfikat musi

nam w tym pomóc.

Wyciągnął dłoń, a ona ufnie podała mu swoją. Poszli ścieżką w stronę domu. Bransoletka w palcach Virginii migotała tajemniczo.

- Musicie mi wszystko opowiedzieć - zażądała Debby dwa dni później w czasie wspólnego lunchu. - Słyszałam coś niecoś od mamy i taty, ale chcę mieć wieści z pierwszej ręki. Opowiedzcie mi o Brigmanie. czy jak mu tam. Skąd wytrzasnął tę bransoletkę?

- Ty jej powiedz - mruknął Ryerson. Virginia z wielkim zainteresowaniem wpatrywała się w łososia na swoim talerzu. - Ja jestem głodny.

- Ferris, Brigman i Seldon tworzyli przestępcze trio. Polowali na bogatych turystów w rejonie Karaibów. Wybierali raczej spokojne miejsca, jak na przykład Toralina. Brigman był zawodowym pokerzystą. Wciągał upatrzone ofiary do gry. W tym czasie Ferris czarował i zabawiał ich żony. A Seldon po cichu odwalał brudną robotę czyli okradał apartamenty hotelowe, które zajmowały ich upatrzone ofiary. Byli niezmiernie ostrożni. Unikali się nawzajem. Dzięki temu nikt ich o nic nie podejrzewał.

- Rozumiem.

- Mimo że działali wspólnie, w końcu doszło między nimi do nieporozumień. Zadaniem Brigmana było spieniężanie ukradzionej biżuterii. Od pewnego czasu Ferris i Seldon zaczęli podejrzewać, że wspólnik ich oszukuje. Podejrzewali, że nie dzieli łupu sprawiedliwie.

- Mieli rację - wtrącił Ryerson. - Brigman ukradł bransoletkę na swoje konto, bez wiedzy wspólników.

- Prawda wyszła na jaw w czasie naszej ostatniej nocy na Toralinie. Pokłócili się wtedy i zabili Brigmana. Jak się okazało, Ferris to nożownik z zamiłowania. - Virginią wstrząsnął dreszcz.

Ryerson podjął przerwany wątek.

- Nim zginął, wygadał swoim kumplom, w jaki sposób stracił bransoletkę. Ferris zdecydował się przeszukać nasz apartament. Seldon wpadł w panikę. Morderstwo wytrąciło go z równowagi. Postanowił się przycząić.

- Ale udało ci się wystraszyć Ferrisa, prawda? Chociaż tamten miał nóż i nie obawiał się go użyć?

- Ferris zeznał na policji, że suszarka którą trzymałem w ręce, wprowadziła go w błąd. Był pewien, że to rewolwer.

Virginia spojrzała na niego z dumą.

- Ryerson zachował się wtedy wspaniale.
- Jasne. Okryłem się chwałą i różową serwetką.
- Różową serwetką? - Debby patrzyła na nich pytająco,
- To długa historia - powiedziała Virginia.

- Mogę sobie wyobrazić. Wiecie, aż trudno uwierzyć, że akurat was spotkała taka niesamowita przygoda. To zupełnie nie w waszym stylu - zauważyła Debby z siostrzaną szczerością.

- Miłość wywiera dziwny wpływ na swoje ofiary - zauważył Ryerson. - Z chęcią jednak powrócę do ustabilizowanej egzystencji. Ginny wprowadza do niej wystarczająco dużo podniecających elementów.

- No i co było dalej? - niezmordowanie domagała się Debby.

- Policja niezbyt przejęła się sprawą skradzionej biżuterii - wyjaśniła Virginia. - Według Ferrisa Brigman ukradł ją na wyspie St. Thomas, ale tam nikt nie zgłosił kradzieży. Możliwe, że Brigman po prostu wygrał ją w karty. Dlatego uznał, że nie musi się dzielić. Pewnie już nigdy nie dowiemy się prawdy, choć Ryerson szuka na własną rękę właściciela bransoletki. Mam nadzieję, że bezskutecznie, bo uwielbiam to cacko.

Ryerson zakasłał.

- Właśnie chciałem ci coś powiedzieć, Ginny. Jubiler, który wystawił certyfikat, poinformował mnie, że należała do państwa Grantworth. Mieszkają w San Francisco. Zadzwoń do nich dziś po południu.

Virginia westchnęła z żalem.

- Cóż, łatwo przyszło, łatwo poszło. Przyjemnie było mieć ją chociaż przez jakiś czas. - Uśmiechnęła się. - A swoją drogą jestem bardzo ciekawa, jacy są ci Grantworthowie.

- Dlaczego? - Debby zmarszczyła zabawnie nos.

- Ta bransoletka ma nadzwyczajne właściwości. Z chęcią odwiedzę kobietę, która ją nosiła.

- Hm, przecież to tylko cenny przedmiot, nic więcej - zdziwiła się Debby. - Owszem, śliczny, ale...

- Zareczam ci, że jest czymś więcej - powiedziała Virginia z przekonaniem. Spojrzała Ryersonowi w oczy. Zrozumiał ją.

- Tak - przyznał cicho. - To nie jest jedynie kosztowna ozdoba. Zwrócimy ją Grantworthom osobiście. Ja też chciałbym ich poznać.

George i Henrietta Grantworth ze zdumieniem i radością przyjęli telefoniczną



wiadomość. Nie mogli się doczekać przyjazdu pary, w której posiadaniu znalazła się ich bransoletka. Virginia i Ryerson polecili w sobotę rano do San Francisco. Taksówka zawiozła ich do eleganckiej dzielnicy Pacific Heights. Wyszli przed pięknym, wiktoriańskim domem.

- Wymarzone miejsce dla bransoletki, prawda? - zauważyła Virginia. Aż do tej chwili liczyła na to, że nastąpiła jakaś pomyłka. Odnaleźli jednak prawowitych właścicieli klejnotu. Stopniowo nabierała przekonania, że Ryerson postępuje właściwie.

- Chyba tak - odparł i zadzwonił do drzwi. - Spójrzmy na to w inny sposób. Oddamy ją i dzięki temu uczynkowi pocujemy się nadzwyczaj cnotliwie.

- Okropność - jęknęła. - Brak cnotliwości zaczął mi się naprawdę podobać...

- Cóż za upadek dobrych obyczajów.

- Włożyłam na dzisiejszy wieczór czerwoną bieliznę - szepnęła kusząco.

Oczy mu zabłysły. Chciał coś odpowiedzieć, ale ktoś otworzył drzwi. Na progu stała kobieta w stroju pokojówki. Spojrzała na nich pytająco.

- Słucham?

- Virginia Middlebrook i A.C. Ryerson. Państwo Grantworth nas oczekują.

- Tak, oczywiście. Proszę bardzo.

Weszli do zadbanego, stylowego salonu. Na ich powitanie podniosło się dwoje ludzi. Natychmiast przypadli Virginii do gustu. Uznała, że jeżeli już musi oddać bransoletkę, to odda ją z przyjemnością.

Henrietta Grantworth wyglądała na ponad siedemdziesiąt lat. Mimo zaawansowanego wieku emanowała elegancją i wdziękiem. W latach młodości na pewno była piękną kobietą. Srebrzyste włosy miała starannie uczesane w kok, a w niebieskich oczach błyszczała inteligencja i sympatia dla przybyłych.

Pan Grantworth musiał być nieco starszy, ale również trzymał się znakomicie. Imponował dystynkcją i urokiem. Podał gościom rękę z wyraźną przyjemnością.

- Jesteśmy ogromnie wdzięczni, że zadali sobie państwo tyle trudu - odezwała się Henrietta, gdy usiedli. - Bransoletka zniknęła z naszego pokoju w hotelu na wyspie St. Thomas kilka tygodni temu. Zgłosiliśmy ten fakt na policji, ale po naszym wyjeździe nikt się tym nie zajął. Ostatnio okazało się, że nawet nie istnieje żaden oficjalny raport dotyczący kradzieży. Nie sądziliśmy, że jeszcze kiedyś ujrzymy to etui i jego zawartość.

- Mieliśmy ją od wielu lat - dodał George i popatrzył ciepło na żonę. - Henrietta otrzymała ją mniej więcej w tym czasie, gdy się poznaliśmy. Twierdziła, że ten przedmiot wywiera wpływ na nasze losy. Strata bransoletki bardzo ją zmartwiła.

Henrietta przyglądała się z uśmiechem Virginii.

- Nie mogłam przeboleć, że prawdopodobnie wpadła w ręce jakichś łobuzów. Myśl o tym nie dawała mi spokoju. Zupełnie jakbym nie znała tej bransoletki. Ona przecież za każdym razem trafia do odpowiednich ludzi.

- Co pani przez to rozumie? - spytała Virginia.

George zachichotał i zerknął na Ryersona.

- Moja żona święcie wierzy, że te szmaragdy mają w sobie szczególną moc. Nie chodzi mi o ich wartość. Wiąże się z nimi nadzwyczaj romantyczna historia. Te klejnoty zawsze w jakiś magiczny sposób trafiają do zakochanych. Henrietta dostała je od kuzynki, która zakochała się w swoim przyszłym mężu niedługo po tym, jak odziedziczyła bransoletkę w spadku po babce. Ta z kolei także podobno twierdziła, że temu cacku zawdzięcza małżeńskie szczęście. I tak dalej.

- Te opowieści sięgają kilku pokoleń wstecz - zapewniła Henrietta. - Są prawdziwe. Znam również pewną legendę. Według niej bransoletka była własnością arystokratycznego francuskiego rodu Montclair. Stanowiła część kompletu biżuterii, który został podzielony w czasie rewolucji. Nie wiem, co stało się z resztą klejnotów, ale jednego jestem pewna. Ktokolwiek będzie właścicielem bransoletki, może liczyć na miłość i szczęście.

Virginia słuchała oszołomiona.

- A więc zawsze należała do zakochanych?

- Tak. Prędzej czy później trafiała do ludzi, którzy się kochali i pobierali. George śmieje się ze mnie, gdy opowiadam tę historię, ale chyba sam w nią wierzy. Prawda, mój drogi?

Spojrzał na nią z oddaniem.

- Mądry mężczyzna nie spiera się ze swoim szczęściem. - Podniósł do ust i ucałował delikatną rękę żony. - A ja nigdy nie wątpiłem, że jestem szczęśliwym człowiekiem.

Virginia patrzyła na tych dwoje zafascynowana. W sercu czuła dziwną tęsknotę. Przecież tak powinno być, pomyślała z nagłym przekonaniem. Właśnie tego pragnęła, wzajemnej miłości i szczęścia z Ryersonem przez całe życie.

Zauważyła, że on patrzy na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zwróciła się do pani Grantworth:

- Cieszę się, że bransoletka należy do pani - wyznała.

- Dziękuję, kochanie. - Henrietta otworzyła aksamitne pudełko. W milczeniu patrzyła na jego zawartość. Nikt nie śmiał się odezwać. W końcu podniosła głowę i spojrzała na Ryersona. Jej błękitne oczy były podejrzenie wilgotne. - Bransoletka ma związek z miłością i małżeństwem - szepnęła.

Ujął dłoń Virginii.

- Mieliśmy ją krótko, ale mogę panią zapewnić, że i nam przyniosła szczęście i miłość.

- Tak - przyznała Henrietta. - Zauważyłam to. - Zdecydowanym ruchem zamknęła pudełeczko. Napotkała wzrok męża. Porozumieli się bez słów. - Jestem pewna, że to prawda. Ale co z małżeństwem? Ryerson, muszę pana ostrzec, że wszyscy mężczyźni, którzy mieli coś wspólnego z bransoletką, szybko trafiają przed ołtarz.

Prawie zgniótł palce Virginii w swojej wielkiej dłoni.

- Tak głosi legenda? - spytał z uśmiechem. - Trzeba się oświadczyć?

- Bez wątplenia - zapewniła. - Dawniej honorowy mężczyzna nie miał innego wyjścia, jeśli był zakochany. Jak widać czasy się zmieniły. Teraz niektórzy mężczyźni wolą wolne związki.

Na policzki Virginii wypłynął silny rumieniec.

- Pani Grantworth, w ciągu ostatniego półwiecza rzeczywiście wiele się zmieniło. Obecnie bywa tak, że to kobieta usiłuje za wszelką cenę wykręcić się od ślubu.

W pokoju zapadła cisza, tylko duży zegar tykał spokojnie dalej. Trzy pary oczu wpatrywały się w Virginie. Zerknęła na George'a Grantwortha. Patrzył na nią z pobłażliwym zrozumieniem. W spojrzeniu Henrietty zobaczyła zachętę.

Z twarzy Ryersona nie wyczytała nic. Przełknęła z trudem ślinę i podjęła decyzję.

- No dobrze, Ryerson. Kiedy masz zamiar postąpić honorowo i zrobić ze mnie wreszcie porządną kobietę?

Chwycił ją w objęcia i gwałtownie uściskał.

- Kiedy tylko załatwimy formalności.

George Grantworth roześmiał się z zadowoleniem.

- Dobrze wiem, co pan czuje, Ryerson.

- Musicie pozwolić mojemu mężowi i mnie, abyśmy wręczyli wam pierwszy ślubny prezent. - W głosie Henrietty brzmiało zdecydowanie. Wyciągnęła do nich dłoń, w której trzymała zielone etui.

Virginia odwróciła się w ramionach Ryersona.

- Prezent? - spytała zdumiona. - Och, nie, pani Grantworth. Proszę tego nie robić. Należy do pani.

- Ona sama wybiera swoją właścicielkę. Teraz powinna znaleźć się na pani ręce. Takie jest przeznaczenie. George i ja mamy wszystko, czego potrzebujemy. Nic nie zmieni naszej miłości. Najwyższy czas, aby bransoletka znalazła się u kogoś innego. Teraz wasza kolej.

- Ależ pani Grantworth - zaprotestowała słabo Virginia. - Ona jest zbyt cenna, żeby

dawać ją obcym.

- Jej prawdziwa wartość nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Przypuszczam, że sami o tym najlepiej wiecie. Daję wam ją razem z moim błogosławieństwem i nadzieją, że będziecie równie szczęśliwi, jak my.

Ryerson mocniej przytulił Virginie.

- W porządku - powiedział cicho. - Możemy ją przyjąć.

Usłyszała w jego słowach pewność. Sięgnęła po puzderko. Wydawało się jej, że z jego wnętrza promieniuje ciepło.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować - szepnęła,

- To zbyteczne - odparła z uśmiechem Henrietta. - Ta bransoletka sama wybiera sobie właściciela. Moja droga, na jej widok od razu zrozumiałam, że już nie jest moją własnością. Musi należeć do pani. Nie mam zamiaru zmieniać przeznaczenia.

- Wiecie co - odezwał się beztrąsko George Grantworth, nalewając gościom sherry. - Już dawno przyszedł mi do głowy pewien pomysł, choć nie udało mi się zrealizować go. Chciałbym poznać historię tej bransoletki. Może się okazać fascynująca.

- Gdzie rozpoczęłyby pan poszukiwania? - spytał Ryerson.

- Oczywiście we Francji. Kiedyś, z ciekawości, sprawdziłem ten herb. Montclairowie to stara arystokracja. Nad rodową posiadłością górował średniowieczny zamek. Pewnie już nie istnieje, ale kto wie...

Tydzień później Virginia rzuciła na łóżko stos folderów z biura podróży i wyciągnęła się na brzuchu obok nich. Miała na sobie jedynie czerwony gorset i bransoletkę, a na palcu gładką, złotą obrączką.

- Wyobraź sobie, że ten zamek wciąż tam jest! Po tylu latach! Cóż za wspaniałe miejsce na miodowy miesiąc. Posłuchaj, co piszą: „W słynnym zamku rodziny Montclair znajduje się obecnie luksusowy hotel dla turystów, którzy szukają odpoczynku na francuskiej prowincji”. Pomyśl tylko, Ryerson - francuskie wino, francuska kuchnia i ciuchy prosto z Paryża.

- Chyba nie spędzisz podróży poślubnej na bieganiu po sklepach?

- Francuzi słyną z tego, że projektują najbardziej seksowną bieliznę na świecie - poinformowała obojętnym tonem.

- Naprawdę?

- Wiem to z pewnego źródła.

- Hm, w takim razie pomyślimy o zakupach. - Przyciągnął ją bliżej, - Zostałaś

stworzona do noszenia takiej bielizny.

- A ty? Co z tego będziesz miał?

- Ja? Moją pasją jest zdejmowanie z ciebie tych podniecających koronek. - Zsunął z jej ramion jedwabne tasiemki i zawahał się. - Ginny?

- Uhm? - Bawiła się włosami na jego piersi.

- Nie żałujesz?

Wiedziała, że pytanie odnosi się do ich ślubu. Pobrali się tego popołudnia.

- Nie żałuję - szepnęła z przekonaniem. Dotknęła dłonią jego twarzy. - Czekałam na ciebie przez całe życie, A.C. W końcu zrozumiałam, czego pragnę.

Ogarnęła go radość.

- Oczekiwanie skończone. I dla ciebie, i dla mnie. - Zgasił lampę i odnalazł usta Virginii.

Bransoletka Montclairów rozbłysła w mroku. Obiecywała miłość i szczęście.